



JAN KASPROWICZ
DZIEŁA
POETYCKIE



DZIEŁA POETYCKIE

JAN KASPROWICZ

DZIEŁA POETYCKIE

WYDANIE ZBIOROWE
LUDWIKA BERNACKIEGO

T. II
OBRAZY DRAMATYCZNE



LWÓW — 1912
NAKŁADEM TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
WARSZAWA: E. WENDEI SP. (T. HIŻ. I A. TURKUŁ)



KAS
DZIE.

330

OBRAZY DRAMATYCZNE

1

ŚWIAT SIĘ KOŃCZY!

OSOBY DRAMATU:

CIERPIK, lat około pięćdziesięciu.

MIĘTA, lat pięćdziesiąt kilka.

WALEK, syn Mięty, lat dwadzieścia kilka.

KOŚCIELNY, lat około czterdzieści.

WRÓBEL, lat około sześćdziesięciu.

WOJTASZEK, lat około trzydziestu.

KOMORNIK SĄDOWY w urzędowym uniformie.

JAGNA, żona Cierpika, lat około czterdziestu.

MAŁGOSIA, córka Cierpika, lat dziewiętnaście.

MARYŚKA, lat trzydzieści.

KARCZMARKA.

KUMOSZKI, CHŁOPI, ROBOTNICY.

Rzecz dzieje się w jednej z okolic Wielkopolski. Czas: około r. 1880.

ODSŁONA PIERWSZA.

Dzień odpustu. Obszerny plac w mieście trzeciorzędnem. Tłum ludzi. W dali kościół. Po stronach placu szynki, sklepy etc. Maryśka i Mięta, wracając od strony kościoła.

MARYŚKA.

A bodaj-że was... Chcecie niby, żebym była waszą gospodynią...

MIĘTA.

A juści, że chcę... A juści... Ale usiądźma sobie na ławeczce... Siadają przy jednym ze stołów, stojących około szynku. Mięta zwracając się w stronę drzwi: A jest tam kto?... Wychodzi chłopiec. Wódki kwaterkę, abo co!... Chłopiec przynosi wódkę. Do Maryśki. A juści, mówię, a juści...

MARYŚKA.

A na czym ja będę gospodynią?... Walek, wasz syn, wiadoma jest rzecz, że się chce żenić; sprowadzi gospodynię w dom, a ja pójdę z wami na chleb*), na wycug... E! e! Macieju! to nie żaden interes... Poszukajcie sobie innej, kiedy wam się tak chce koniecznie.

*) Dożywocie.

MIĘTA.

Jakże ja mam poszukać sobie innej, kiedyś ty mnie w oko wpadła, Marychna, a nie żadna inna... Jakem ino cię ujrzał, takem sobie zaraz powiedział: »Stary jestem, ale...«

MARYŚKA.

Gdzie wy stary, Macieju! gdzie wy stary!... Młody jesteście, macie przed sobą jeszcze ze trzydzieści lat życia!...

MIĘTA.

Ze trzydzieści lat życia... Miałbym rychtyk ośmdziesiąt i sześć, jakbym umierał... O! to za wielka starość, to za wielka starość... Człowiekowi by się sprzykrzyło... No, ale na zdrowie...

MARYŚKA.

Co? przy takiej kobiecie jak ja? Na zdrowie. *Piją* Nigdy wam się nie sprzykrzy! Rozrucham, rozchucham; wszystko ino wam będzie się uśmiechało...

MIĘTA.

E! rezolutna jesteś... daj ci Boże długie lata za to... Bogaty jestem... zapłacili Niemcy dobrze za morgi, pieniądze są, będzie ci dobrze...

MARYŚKA.

Dobrze, nie dobrze... jakże ma być dobrze, kiedy to wasze bogactwo spadnie na syna... Walek sprowadzi w dom gospodynię, a ja pójdę na chleb razem z wami... A kto wie, jaki on będzie?

MIĘTA.

No, no! nie troszcz się o to... Nie zły z niego jest chłopak.

MARYŚKA.

Jak się nie mam troszczyć, jeżeli macie zamiary na doprawdy...

MIĘTA.

Juści, że nie na żarty.

MARYŚKA.

Anoć, widzicie: jak będzie wam miał odmierzyć korzec żyta, tak powie: »Dziadu! na co ci żyto?... A bo to nie masz chleba u mnie?...« Czy to nie dzieje się tak w niejednym domu, choć dzieci niby najlepsze? Czy to ja na takie rzeczy nie patrzała własnymi oczyma?...

MIĘTA.

Juści... juści... Toć i mój Walek niby od niejakiego czasu... A może mnie ino tak się wydaje.

MARYŚKA.

Gdzie wam się wydaje?... Po prawdzie jest... A jak pożądacie kawałka chleba, tak on wam znowu zamaluje gębę: »Parobek, tak powie, który musi pracować, nie zje tyle, co wy, choć nie robicie nic...« Jak będzie miał zaprządz konie, ażeby stary ojciec mógł też gdzie jechać, albo na jarmark, albo na odpust, i miał swoją paradę, jaka mu się za jego dobytki po prawie i po wszelakiej słuszości należy, tak on powie: »A czy to, dziadu, nie możesz piechty chodzić?... A może jeszcze z macochą chcecie paradować?... he?...« O Macieju! nie chcę ja takiej dobroci... Poszukajcie sobie innej... *Chce niby odchodzić.*

MIĘTA *powstrzymując ją.*

Nie tak gorąco, duszyczko, nie tak gorąco!... Nie doczeka się tego...

MARYŚKA.

Juści, że nie powinien się tego doczekać; nie powinniście zapisywać nic... Wszak macie jeszcze ze trzydzieści lat życia przed sobą... Walek jest młody... Niech pracuje; teraz mają budować fabryki, niech chodzi na fabrykę... Wy pozostaniecie przy wszystkim, będzie dobrze i wam i mnie... A niech z naszego małżeństwa co wyniknie, syn albo co?... Co wy mu wtedy dacie, jak panem będzie Walek?... O Macieju! nie pójdę ja za człowieka, co jest na łasce syna, a co memu dziecku...

MIĘTA.

A kto o tem mówi?... Gospodarzem jestem i gospodarzem pozostanę... A ty, Marychna, będziesz gospodynią całą gębą...

MARYŚKA.

Naprawdę, ciekawość wielka, kto zwycięży, czy wy, Macieju, czy Walek. Zawsze Walek ma wielką podporę...

MIĘTA.

W kim ma wielką podporę?...

MARYŚKA.

Tak gadacie, jakbyście się dopiero narodzili... W kim ma mieć wielką podporę, kiej nie w Cierpiku, w przyszłym swym panu-ojcu *).

MIĘTA.

Już ja z tym Cierpikiem dam sobie radę... Nie lubiłem go nigdy... Zawsze miałem z nim jakieś termedyje, a teraz jeszcze mam większą ankurkę do niego. Zazdrosny jest, że Niemcy kupili odemnie morgi... Od-

*) Teść.

stręcza mi syna... Walek ino u niego przesiedzi... Tak coś knują... Pewnikiem przeciwko mnie...

MARYŚKA.

U niego, jak u niego, ale najwięcej u jego córki Małgosi... Powiadają wszędzie, jako jest z nią rozmaicie... Będziecie mieli synowę, która niby...

MIĘTA.

Nie będę miał synowej... Niema o czym gadać... Zresztą wstydby mnie było wchodzić we familiją takiego człowieka, co jest niby jak bankrut...

MARYŚKA.

Wtemci jest cała sprawa. Ja myślę, że z Walkiem nie potrzeba robić wielkich krętów; podciąć nogi Cierpikowi, tak ci już wszystko zrobione od razu... Sam Walek nie będzie przecie taki głupi, żeby miał sobie brać na kark córkę człowieka, który jest bez chudoby.

MIĘTA.

Głupi nie głupi... Znam ja go, że o majątki nie stoi... Jak raz postanowi, tak weźmie i w jedynącej koszuli... Ale jakby to ino najlepiej zrobić...

MARYŚKA.

Co za wielkie cuda!... W tej sprawie najlepszy jest Wróbel; samiście powiadali, że mu Cierpik jest sporo winien.

MIĘTA.

Marychna! ciebie ino ozłocić!... Daj nam Boże zdrowie!... Sam powiadałem, a teraz mi to na myśl nie przyszło... A no, ty mi tak siedzisz w tej mózgownicy i w sercu... Już to wy kobiety zawsze niby trochę

prędsze w każdej medytacyi... Nie co innego, ino trzeba będzie jutro pójść do Borzęcina.

MARYŚKA.

Po co ptaka szukać w polu, kiedy jest pod pułapem...
Wróbla widziałam zdaleka w kościele, jest na odpuscie.

MIĘTA.

A no, to trzeba wejść pomiędzy ludzi: tu i owdzie do szyneczku, może go i znajdziemy... Chodź Marychna...

MARYŚKA.

Toć niby razem nie pójdziemy: wy w jedną, a ja w drugą stronę; prędzej się znajdzie. Ja tak pójde ku kościołowi. Pewnie został na litanii; opuszczać nie lubi...

MIĘTA.

A juści, znowu masz racya... A spotkamy się tutaj, koło Cwancigera... Zapłacić muszę... *Ku drzwiom.* He! a jest tam kto? Zapłacić chcę... *Wchodzi chłopiec, Mięta płaci, wstając.*

MARYŚKA.

A ino jak będziecie go szukać po szyneczkach, to niech was chętką nie ciągnie za bardzo do szynkfasu...

MIĘTA.

Nie bój się... A jak pociągnie, to wypiję na twoje zdrowie i na nasze szczęście, Marychna... *Chce ją chwycić w pódł.*

MARYŚKA *odpychając.*

Idźcie! idźcie!... sprawcie się dobrze, to wtenczas...
Mięta odchodzi. Maryśka zabierając koszyczkę ze stołu.
Trzydzieści lat życia! roku, dziadu, nie dożyjesz, a przy dobytках znajdzie się i dla mnie młody, choć mówią,

że i ja niezadługo będę jak spróchniałe drewno... *Gi-
nie poza sceną.*

*Z pośród tłumu ludzi wchodzi na scenę Wróbel, otoczony
kilkoma gospodarzami.*

JEDEN Z GOSPODARZY.

A toć przecie bądźcie litościwszy, nie wyganiajcie mnie
z temi sierotami z ostatniej chudoby.

WRÓBEL.

Nie wyganiem, robaszku, nie wyganiem, ino chcę mieć
swoje pieniądze, robaszku... A toć wam mówiłem, pa-
mięćcie, robaszku: »Ej! ej! nie będziecie mogli od-
dać, powiecie, że wam krzywdę robię«. A wy sumi-
towaliście się, robaszku: »Oddam! Oddam!« A gdzież
jest wasze słowo, robaszku?... A gdzież jest wasze
sumienie?... Nie ja was krzywdzę, ino wy mnie chce-
cie skrzywdzić, robaszku...

PIERWSZY Z GOSPODARZY.

Nie mam zamiaru was krzywdzić, ino, że jeszcze wam
oddać nie mogę, ale oddam wszystko, tylko pocze-
kajcie.

WRÓBEL.

Nie mogę czekać, robaszku, nie mogę czekać. Prze-
padnie mi krwawy grosz; supastacya być musi, ro-
baszku... Ale dajcie mi spokój... Czasum Panu Bogu
nie ukradł, żeby go z wami marnować... Dajcie mi
spokój, supastacya być musi, robaszku.

JEDEN Z GOSPODARZY.

To wasze ostatnie słowo, Wróblu?

WRÓBEL.

Ostatnie, robaszku.

PIERWSZY Z GOSPODARZY.

A bodajecie zmarnieli, jak pies, za moją krzywdę...
Odchodząc. Niech się dzieje wola Boża...

WRÓBEL.

Widzicie, robaszku! Taką człowiek dostaje nagrodę za swoją dobroć... Ale tak się już zawsze dzieje sprawiedliwym ludziom. Dzięki-ś ci, Boże i za to, robaszku... Więc tobie, robaszku, dwadzieścia i pięć talarów.

DRUGI Z GOSPODARZY.

Juści, dwadzieścia i pięć.

WRÓBEL.

Dobrze, robaszku, dobrze... A na co ci to potrzeba? Na krowę, mówiłeś, na krowę? Nie prawda?... *Do trzeciego z gospodarzy.* Wam, robaszku, czterdzieści... Czterdzieści talarów na rok, na cały rok, to, mój robaszku, uczyni z niewielkim procencikiem sześćdziesiąt talarów. *Zjawia się Maryśka.* A! Marysia? co ja to widzę...

MARYŚKA.

Szukam was po mieście. Miałabym do was interes.

WRÓBEL.

Troszeczkę poczekaj, robaszku; ino z tymi tu skończę... *Do jednego z gospodarzy.* A więc na cały rok, to uczyni z niewielkim procencikiem sześćdziesiąt talarów. A i koni dasz, jak będzie potrzeba; pomożesz zwieźć do stodoły tę odrobinę żyta, co człowiekowi świeci na polu.

TRZECI Z GOSPODARZY.

A bójcie się żywego Boga! sześćdziesiąt za czterdzieści.

WRÓBEL.

Jak wam się podoba, jak wam się podoba; nie namawiam... *Do drugiego z gospodarzy.* A wy, robaszku, wystawicie rewersik.

DRUGI Z GOSPODARZY.

A bo ja wiem, jak pisać rewersy?... Nigdy w życiu tego nie robił, a ino teraz, że mnie taka bieda nacisnęła.

WRÓBEL.

Nauczysz się, nauczysz... Napiszesz tak: Ja, Wojciech Biedola, poświadczam, jako pożyczyłem czterdzieści talarów, wyraźnie czterdzieści talarów, robaszku.

DRUGI Z GOSPODARZY.

Ale nie żadne czterdzieści, ino dwadzieścia pięć.

WRÓBEL.

Dwadzieścia pięć niby tak, a czterdzieści tak... Wyraźnie: czterdzieści — remuneracya w to wchodzi — i zobowiązuję się po prawie i po sumieniu oddać tę sumę Jakóbowi Wróblowi — tak napiszesz, robaszku.

DRUGI Z GOSPODARZY.

Niech już będzie, jak wam się żywnie podoba, bylbym ino pieniądze zaraz dostał... Potrzebuję jutro ze świtem iść na jarmark, kupić jakie takie krowiątko... Zawsze bez kapki mleka to jakoś trudno w chałupie.

WRÓBEL.

Juści, prawda, robaszku, bez mleka niedobrze jest w chałupie... A jak będzie dojna, tak przyniesiesz i osełczyne masła; na moje krowy padło jakieś nieszczęście... A teraz wystawisz rewersik, bo na mnie będzie niedługo czas na nieszpory. Dzisiaj jest nieszpór

z wystawieniem, a że jestem w bractwie, tak muszę być, robaszku, do świecy; potrzebny jestem do świecy.

TRZECI Z GOSPODARZY.

Słuchajcie, Wróbel, a z moimi czterdziestoma?...

WRÓBEL.

Z sześćdziesięcioma, robaszku, nie inaczej, remunera-cya w to wchodzi... Sześćdziesiąt, robaszku, duży grosz! trzeba zaciągnąć na hipotekę... Jak suma przechodzi półsetkę, tak mam we zwyczaju na hipotekę... Ale teraz już za późno... Jutro, jutro... *Do drugiego z gospodarzy.* A ty idź do szyneczku, wystaw rewersik, każ dać kwaterczynę »uściwej«^{*)}, kiej chcesz; ja tu jeszcze pozostanę z Maryską, interes ma... *Gospodarze odchodzą.* Więc, Marysia, robaszku, interes masz do mnie? Słyszę, niedługo gospodynią będziesz?

MARYŚKA.

Żeli będę, to ino przez was, nie przez kogo innego.

WRÓBEL.

No, no, robaszku, przezemnie, przezemnie? O! o! nikogoć ja jeszcze nie wyswatał, a zdałoby się! Zdałoby się przyczynić się też czemś do boskiej chwały... Bo juści jest zawsze lepiej ślubować, niżeli tak ni w pięć ni w dziewięć tumanić się po świecie.

MARYŚKA.

Pijecie do mnie?... Ej! Wróblu, Wróblu! widać dobry zrobiliście interes, kiedy wam tak żartobliwie na duszy.

WRÓBEL.

Dobry, nie dobry, robaszku. Z jednej strony dobry, a z drugiej strony zły...

^{*)} Dobrej wódki.

MARYŚKA.

I ja bym miała do was interesik... Zarobili byście; moglibyście kupić do kościoła jaki obraz święty, abo co...

WRÓBEL.

Juści, że dobrzeby to było, robaszku... Chcesz na nieduży procencik odemnie?... O robaszku... robaszku. U mnie tak na wiatr, to nie można nic...

MARYŚKA.

Ja też nie chcę tak na żaden wiatr, ino tak na dubelt... Ale mnie pieniędzy nie potrzeba... Będę gospodynią, żeli wy mnie dopomóżecie. A wtenczas opłacę wam się sowicie.

WRÓBEL.

Co nie mam dopomódz... Ale za kwitem...

MARYŚKA.

Jak wam powiem, to obejdzie się i bez kwitu... Słyszę, że Cierpik wisi u was...

WRÓBEL.

Juści, że wisi... Chciałbym już raz, żeby się urwał, bo mi jest ciężko, tak go dźwigać za sobą... Duży grosz, robaszku, ciężki grosz, tak mi jest jak kamień... *Nadchodzi Mięta.* A! a! jak się macie, Mięta; jak się macie, robaszku... Zarobiliście ładny grosz; warto, robaszku, roztasować się na swoim; warto sobie wygodzić, wprowadzić w dom gospodynię...

MIĘTA.

Szukałem was tu i owdzie po szyneczkach.

MARYŚKA.

I takeście sobie zaraz tu i owdzie kieliszeczek gołnęli.

MIĘTA.

Cicho! moja duszko, cicho! A bo to nie mam na to?...

MARYŚKA.

Juści, że macie; ino że Wróbel się wej! skarży, że Cierpik u niego wisi i że mu jest ciężko z tem.

MIĘTA.

Będzie wam ciężej, kumoterku! będzie wam ciężej... Cierpik nawet podatku nie ma za co płacić... Chcieli go już fantować...

WRÓBEL.

Chcieli go fantować!... To przepadnie i mój krwawy grosz!

MIĘTA.

Przepadnie, kumoterku, przepadnie! »Cukierniki*)« przyšli, nie kupili od niego nic, a ino odemnie. Dokupię sobie ślaczek tu, dokupię sobie ślaczek tam! zaokrągłę grunt, a grosz wasz przepadnie.

WRÓBEL.

E! e! robaszku! Podam na supastę coprędzej. Uratuje się jeszcze cokolwiek, uratuje.

MIĘTA.

Jak się pospieszycie, to i uratujecie.

WRÓBEL.

Zaraz jutro, robaszku, albo jeszcze dziś, choć niby jest wielkie święto...

MIĘTA.

Wielkie święto, nie wielkie święto, ale zawsze swojego trzeba strzedz!...

*) Cukiernia = cukrownia.

WRÓBEL.

Prawda, robaszku, prawda. Jest takie przysłowie: Cudzego nie pragnij, swego we psią nie daj — choćby nawet w święto.

MIĘTA.

Dobrze na tem wyjdziecie; zagarniecie rolę Cierpi-kową; Miemcy teraz kupują grunta na wszystkie strony, odkupią, żeli nie dziś, to jutro, zarobicie ładny grosz, albo może i ja sam nabędę...

WRÓBEL.

Nie ma co gadać, robaszku; nie ma co gadać; pójdę zaraz do »folcyera« *) i zrobię, robaszku, jak potrzeba. Z Panem Jezusikiem. *Odchodzi.*

MIĘTA.

Niech wam tam Pan Bóg dopomoże we wszystkim.

MARYŚKA.

Z Panem Jezusem! A niech wam się tam poszczęści.

MIĘTA.

Tak! widzisz, Marychno!... O psie, Cierpiku! Buntujesz syna przeciwko mnie, aby się sprzeciwiał mojemu ożenkowi... Zazdrościsz mi grosza!... Pójdziesz na żebry, co ci się już dawno należało. Chcesz się wkręcić w moją familią przez swoją poćiwą córkę... A! poćiwa jak ty!... Chodź, Marychna! wypijemy sobie jednego na to nasze szczęście. *Odchodzi.*

ZASŁONA SPADA.

*) Komornik sądowy.



ODSŁONA DRUGA.

Karczma na wsi. Przestronna izba, zaopatrzona w stoły, stołki etc. Za szynkfasem karczmarka, zajęta sprzedażą, porządkowaniem etc. Ludzie wchodzi po sprawunki i wychodzą etc.

Cierpiak, Kościelny przy jednym ze stołów, pijąc wódkę. Karczmarka za szynkfasem.

KOŚCIELNY.

Świat się kończy.

CIERPIAK.

A bo co?

KOŚCIELNY.

Jakto? I wy się jeszcze pytacie tak niby z głupia frant: »a bo co?« Czy to nie wiecie?

CIERPIAK.

Wam-ci jest zawsze lepiej wiedzieć, aniżeli mnie; zawsze jesteście niby człowiek nauczyły, blisko kościoła, księdza...

KOŚCIELNY.

Ha ha ha ha!... Co to znaczy blisko kościoła? Nie kpilibyście sobie z człowieka... Prawda, uwiesiłem się

niby tak z biedy u wrót kościelnych, ale czy wam się zdaje, że mnie dziady odpustowe filozofii uczyły?... Jeżeli wiem to i owo, to wcale nie dlatego, że jestem blisko kościoła... Wiem to ino już z natury...

CIERPIK.

I ja niby mam równie jak i wy naturę, a jednak nie wiem nic.

KOŚCIELNY.

Medyk z was; lubicie tak wszystko ino tłumić w sobie; nie chcecie się wypowiadać z niczego!...

CIERPIK.

A z czego miałbym się spowiadać?...

KOŚCIELNY.

Nie udawajcie... *Do karczmarki*. Hejże, kumoszko! tak jeszcze z kwaterczynę, ale tego jędrnego...

CIERPIK.

Fi! fi! jakoś sadzicie się dzisiaj... Widno, że z onegdajszej mszy za urodzaj i wam coś skapło.

KOŚCIELNY.

Gdzież tam!... Świat się kończy... Od czasu jak te oberwipołcie brandebury przywlekły się do nas, to i nasi zmądrzeli... Powiadają jedno: Czy msza będzie dobrze zapłacona czy nie, to się nic nie zmieni: jak ma być urodzaj to będzie, a jak nie, to nie!...

CIERPIK.

Ha!

KOŚCIELNY.

Z wami się dogadać nie można.

CIERPIK.

A co ja będę gadał, kiedy nic nie wiem? Powiem wam ino to: Ludzie zmańdrzeli, bo juści nie mogą być zawsze głupimi.

KOŚCIELNY.

Co to? i z was już jakiś heretyk! Pewnie i wy tak samo byście sobie postąpili, jak ten Zalesik, który niezadługo popadnie w klątwę kościelną.

CIERPIK.

A cóż on takiego zrobił?

KOŚCIELNY.

Posłuchajcie: Wchodzą do niego z tacką i pochwalwszy Pana Boga — »jako przyślim też do was, powiedzą, że składką na mszę za urodzaj«. »A mnie co do urodzaju, powiada niby ten bezbożnik; mnie, powiada, urodzaj ani ziębi ani parzy... Zrobiłem, powiada, interes z Miemcami; jako chcą, powiada, fabrykę budować na moim gruncie. Pszenicy siał nie będę ani jęczmień, więc też, powiada, nie potrzebuję wam dawać na mszę...«

CIERPIK.

A no, a no...

KOŚCIELNY.

Daj nam, Boże, zdrowie, a grzesznym ludziom upamiętanie...

CIERPIK.

Daj nam, Boże, zdrowie.

KOŚCIELNY.

A grzesznym ludziom upamiętanie...

CIERPIK.

Czy to niby przytyk do mnie?...

KOŚCIELNY.

Nie! to ino tak się mówi dawnym obyczajem; chociaż głoszą po wsi, że i wam niezadługo też nie będzie chodziło o urodzaj...

CIERPIK.

A to gwoli czego?...

KOŚCIELNY.

Znowu udajecie, jakbyście niby mieli przed sobą jakiegoś nieletniaka. Wiadomo przecie, że i na was spadnie łaska miemiecka.

CIERPIK.

U mnie-ci jeszcze żaden »rozpór« *) nie był, nie potrzebuję miemieckiej łaski... Zresztą moja scheda wcale nie przytyka do owego gruntu, na którym mają stanąć fabryczne budynki.

KOŚCIELNY.

Prawda! prawda! macie rację, choć z drugiej strony nie macie racji...

CIERPIK.

Jakto?

KOŚCIELNY.

Przecie zachodził już brandebura do Mięty i kontrakt już gotowy: kupuje od niego kawał ziemi i płaci dzieśnięć razy tyle, ile przedtem był warcien... Ładny grosz, no, i pozostanie we familii.

*) Surdutowy pan.

CIERPIK.

Bzdurzycie, jakbyście nie wiedzieli o tem, że Mięta nie żadna familia... Mięta oszalał, i co wy tak bez zachłyśnięcia stawiacie mnie jakoś na równi z człowiekiem, który ani Bogu ani ludziom na pociechę nie jest? To nie żadna familia...

KOŚCIELNY.

Że oszalał, to prawda... prawda... Ale cóż w tem dziwnego?... Świat się kończy... Dawniej to Mięta od świtu do późnej nocy harował, jak bydlę w jarzmie, a teraz powiada, niby jaki zaganiacz: »wypchałem cielaka *) talarami, tak też, powiada, nie zawadzi trochę użyć...«

CIERPIK.

Oj! używa, używał...

KOŚCIELNY.

Niech używał Nie zawiśćcie mu tego; dla was zawsze jeszcze zostanie tłusty połec...

CIERPIK.

Dalibyście sobie już raz spokój... Otrębina! postawcie nam jeszcze z półkwaterek, niech sobie ten gaduła zaleje gębę.

KARCZMARKA.

Oho! coś się święci, Cierpiku, kiedy i wy natrząsacie trzosiku!

CIERPIK.

Gadacie do wiersza, a ja wam mówię: nic się nie święci, ino niech ten gaduła zaleje sobie gębę...

KOŚCIELNY.

Co wam, karczmarko, mieszać się w nie swoje rzeczy... należcie likierku i kwita. A wy, kumotrze, słuchajcie

*) Torba skórzana

tyłe. Zaleję czy nie zaleję, zawsze będę wiedział to, co wiem; a wiem to, że syn Mięty ma się ku waszej córce i że takim prawem wszystko pozostanie we familii.

CIERPIK.

Jak jeszcze raz wspomnicie o tem, tak sobie pójdę.

KOŚCIELNY.

Nie bądźcie zaraz taki pyszny, bo i ja shonornieję, a co prawda, to prawda!

CIERPIK.

Niech taką prawdę wcierniasty!... Nibyście człowiek mądry, a nie potraficie sobie ułożyć w swojej mózgownicy, że z tej mąki chleba być nie może... Stary Mięta oszalał... Żeni się... Zaleca się jak ostatni rozpustnik do tego tłuka, co go wiatr przygnał do nas, Bóg wie jedyny skąd i po co? Gruntu Walkowi nie da. Stary oszalał i nie ma tego dnia, aby nie bluźnił przeciw Najwyższemu i przeciwko ludziom... Ciekawość, dlaczego nie ma go dzisiaj w karczmie... Prawda! jest na odpuscie w mieście... Ale powiadam wam, że ino go słychać tutaj... Patrzcie! patrzcie! o wilku mowa, a wilk włązi do obejścia... Pijaniuteńki i do tego z muzyką... *Za sceną słychać gwar i muzykę. Ludzie, wracający z odpustu, wypełniają karczmę. Mięta wchodzi, mocno podchmielony, na czele grajków i tłumu.*

MIĘTA wchodząc do karczmy.

Hej-że! wy muzykanty, hej! wy darmozjady! Roztasujta się, jak możeta... Ty niby, z piekła Bartek, usiądź tu naprzeciwko pani oberżysiny, a ty, basisto, przypcupnij, gdzie ci się ino żywnie podoba. Bez jednego dziury w niebie nie będzie; abo ty smyczyskiem wywijasz, abo nie, to wszystko jedno, kij abo drewno!...

Pani kumolu! Pani Otrębina! na mój rachunek postawcie tym kudłatym psom choćby półkwarcie! nie! szczerą kwartę, abo cały stuf. Co się nie mamy ucieszyć!... Ale też, kumolu, szeroka jesteście w piersiach, jak kłoda, a w biodrach to ino wam pogwizdać.

KARCZMARKA.

Fe! stary grzeszniku! widać, że was złe do cna opętało...

MIĘTA.

Opętało, nie opętało... tak wam się widzi, mnie się widzi inaczej, mnie się widzi tak: *Śpiewa, przytupując.*

A ino do tej, Jasiu, do tej,
Co ma na palcu pierścień złoty;
Mać ona też i korale,
Ale zęby jak szynale!... *)

Ba! moja-ci nie ma żadnych koralii, ale jej sprawię korale, duże jak gołębie jaja, a czerwone jak wej! ta krew!... *Wskazując na twarz zranioną.* Zadrasnałem się trochę w gębę...

KARCZMARKA.

Jak bela takeście się spili... To niby tak z odpustu?... Pewnikiem leżeliście gdzie w rynsztoku, abo też weszliście komu w drogę i ten wam pozostawił taki znaczek.

MIĘTA.

A co wy to myślicie? Czy to ze mnie jaki zawa-dyaka? czy co? Czy to jestem świnią, która chodzi w cudzy groch?... To mnie napastowali; chcieli mi odbić moją wej! Marysię!... A pokaż się ino dzie-wucho! Nie wstydz się! jeszcze ci wianek z głowy nie spadł... Ale ci spadnie! spadnie niedługo! A bo

*) Gwoździe do pobijania szyn.

to mitręgę będziesz miała za męża?... Mam jeszcze ze trzydzieści lat życia przed sobą... Pokaż się ino w całej okazałości... *Wyciąga ją z tłumy. Maryśka udaje wstydliwą.*

MARYŚKA *do karczmarki.*

Jak się macie, pani Otrębina...

KARCZMARKA.

Bóg zapłać! Bóg zapłać... Słyszę, rzucacie święte panieństwo...

MARYŚKA.

Taka juści wola Boża... Dosyć mną napopychali po świecie; czas też wypocząć...

KARCZMARKA.

Pewnie, że czas... Z trzydziestkę już liczycie...

MARYŚKA *do Mięty.*

Po co mnie wyciągacie, jakby na jakie widowisko!

MIĘTA.

Na jakie widowisko? A bo to ci czego braknie? Patrzcie, kumolu, patrzcie, Otrębina! Niczego jej nie braknie! Nie ma żadnego feloru; niby trochę piegowatą, ale co to szkodzi... *Bierze Maryskę i chcąc tańczyć, śpiewa:*

Nie uważaj, Jasiu, na to,
Ze ja jestem piegowatą,
Ino zimą, ino zimą,
To i wszystkie piegi zginą...

Maryśka mu się wyrzywa i ginie w tłumie. Co? serduszko? wstydzisz się?... Do muzykantów. A czemu wy nie gracie?... Czy to darmo będę wam lał dar boży w te wasze gardziele?

KOŚCIELNY, *który dotychczas na pół osłonięty natłokiem, siedział z Cierpikiem, przypatrując się scenie.*

Świat się kończy.

MIĘTA *dosłyszawszy.*

A! to wy, panie kościelny! Niech się i kończy... Byleby się tylko nie skończyło szczęście z moją Marysią.

KOŚCIELNY.

Ty zbereźniku!... poganie jakiś!... Lepiej, byś zapłacił zawczasu dziadom, co by ci grób wykopali...

MIĘTA.

Kto? »ty?...« Czy ja to z wami wieprze pasał?... Co wam do mojej śmierci?... Z miemieckich pieniędzy nic na was nie spadnie. Ze się merdacie koło kruchty, to już myślicie, że wam się wolno natrzasać z każdego człowieka?... hę?...

KOŚCIELNY *do Cierpika.*

Mieliście racją, ten dziadyga się wściekł; bisurman, który nie wierzy w Pana Boga.

MIĘTA *do Cierpika.*

Kumotrze! kumoterku! Połamały się wam szprychy u koła, rozlazła się wam rozwórka, ale ja wam naprawiać nie będę. Słysząc, że mają was podać na supastę, a waszą córkę widzieli ludzie, jak chodziła za zapłocie z moim Walkiem. Ale nic z tego nie będzie. Jeżeli psia wiara chłopak potrafił się pokręcić, to hańba waszej Małgosi, nie moja...

CIERPIK.

Cooo?...

MIĘTA.

A dyc; to hańba waszej Małgosi, a nie mojego Walka... Walek zięciem waszym nie będzie...

CIERPIK.

Nie chcę ja mieć zięciem syna takiego ojca, coby mi zapługawił całą chałupę...

MIĘTA.

Ej! ej! nie brdysajcie tak, kumoterku, jakbyście mieli za wiele owsa. Wiadomo przecie, że jesteście niby ten koń przy pustem korycie... Żeby tak chciał, to-byście spokornieli, że was ino do rany przyłożyć... Ale nie tędy wiatr wieje... Nie dla psa kiełbasa... Nie dla Cierpikowej córki syn Macieja Mięty, któremu brandebury zapłacili za morgę po pięćset talarów!... Dokupię ślaczek tu, dokupię ślaczek tam i zao-krąglę grunt, a wy co?... Pójdziecie na żebry; zdechniecie gdzie na cudzym gnoju.

CIERPIK.

Cicho! bo wam stulę ten pysk, aż się wam w oczach zaświeci... Patrzcie... *Podnosi się.*

KOŚCIELNY *wstrzymując go.*

Dajcie spokój; co będziecie się walać takim plu-gactwem. Złego lepiej nie tykać, prędzej się uspokoi.

MIĘTA.

Macie, panie od kruchty, taką słuszność, jak ten Piłat, co to powiedział żydom, że Pan Jezus a Barabasz to jedno... Jakby kto nie znał Barabasza z Orpikowa i nie wiedział, że jest ostatni powsinoga i że tak mu do Pana Jezusa, jak, nie przymierzając... Nauczały je-steście, czy tak nie stoi w piśmie?...

KOŚCIELNY.

Bluźnierco!

MIĘTA.

E! wasze słowa to rychtusinek tyle znaczą u mnie, jak ten wiatr, co wieje na Cierpikowych szczyrkach,

abo jak Cierpikowa Małgosia razem z jego jałówką, z jego krową, coby ją można miechem zabić, razem z jego szkapkiem i z całą het! peknerką!*) Ale co ja się będę cektował z jakimiś tam chudopachołkami, ja, któremu brandebury oddają honór: Herr gospodarz! Herr gospodarz! *Zwracając się do tłumu, który potwo- rzył grupy, pijąc, rozprawiając etc.*

A gdzieś mi się ty, dziewulo,
Gdzieś mi się podziała?

Tup! tup! tup!...

Czemu ci się oczki tułą,
Czemu tak drżysz cała?

Tup! tup! tup!...

Zeszła się cała kupa narodu! Czemu sobie nie wywi- nieta? Muzyka zapłacona i wódki dam, że się wam po brodzie poleje... Pijta i tańczta na moje szczęście, jako dałem dzisiaj na zapowiedzi!... Pani Otrębina! Kumolu! Wytoczcie ino z beczki, ile wam się podoba... Czego tak się ociągacie, czy to nie ma u mnie mie- nieckich groszy?

KARCZMARKA.

Nie chcę, żeby na mnie spadła kara boża... Zaleliście swoje sumienie, i innym chcecie je zalać... Taki zysk to jest dla ućciwego człowieka jak jęczmienne plewy; oczy wyżre...

MIĘTA.

E! nie bójcie się, nie wyżre wam oczu; a wyżre, to wyżre, zawsze jeszcze znajdziecie swojego koło sie- bie... *Śpiewa:*

I ja znajdę cię, Marychno,
Zawsze koło siebie —

Tup! tup! tup!...

Wchodzi Walek.

A ty co robisz tutaj, nicponiu?

*) Chudoba.

WALEK *nie zwracając uwagi na ojca, podchodzi do Cierpika i całuje go w rękę.*

Jak się macie, panie-ojciez *). Byłem u was w chałupie, ale pani-matka **) powiedziała, żeście wyszli z Idzikiewiczem »na jednego«... ***) Tak i przywlokłem się za wami.

MIĘTA.

Jakto? Obcych całujesz w rękę, a własnego rodzica masz za nic?... *Do Cierpika.* Kumoterku! kumoterku! psujecie mi syna, a ja wam powtarzam, że nic z tego nie będzie... *Do domu, Walek!*

WALEK.

Dopierom przyszedł... *Do Cierpika.* Ponoć z Zalesikiem zrobili już układ, a mówią, że mają wielką chęć i na grunt Pietrzaka... Już to się wszyscy teraz pobogacą...

CIERPIK.

Ha!

KOŚCIELNY.

Że się pobogacą, to juści niby jest pewno, jak słońce na niebie, ale że w tem wszystkim nie będzie błogosławieństwa bożego, to równie jest pewno, abo jeszcze pewniej. Ludzie dostaną pomieszania z takich dostatków i wszystko wypsieje.

MIĘTA *przysiadłszy się.*

E!...

KOŚCIELNY.

Do was nie gadam.

MIĘTA.

Wielki mi honor!

*) Teść.

**) Teściowa.

***) Kieliszek wódki.

KOŚCIELNY *do Walka, nie zwracając uwagi na Miętę.*

Na ten przykład, ten sam Zalesik — odrazu wyrzucił Pana Boga ze serca, nawet na mszę za urodzaj dać nie chciał.

MIĘTA.

Po co miał dawać... Onemu już urodzaj na nic... *Do Walka.* A ty, Walek, do domu! Idź oprzątać konie!

WALEK.

Mówię wam, żem dopiero przyszedł... Byłoby lepiej, żebyście wy poszli i nie robili takiej wzgardy... Wstyd mnie za was...

MIĘTA.

Ha ha! Bodaj już własnemu ojcu chcesz dawać przepisy, choć jeszcze nie na żadnym chlebie. Coby to się stało, jakbyś tak zagarnął wszystko i był panem w chałupie!... Zamknąłbyś dziada w chlewku! Ale nie twoje doczekanie...

WALEK.

Żeby tak nieboszczka matka wstała z grobu!

MIĘTA.

Oklepali ją łopata na wszystkie strony, teraz ci inna będzie matka. *Do tłumu zwrócony.* Chodź ino, Marychna, niech ci mój syn odda honor! *Maryśka odłącza się od jednej z grup.*

MARYŚKA *podchodząc do Walka i podając mu rękę.*

Witam cię, Walek, witam, jako twoja przyszła matka.

WALEK.

Przywlekliście się ze świata robić różnice między synem a między ojcem i jeszcze nie wstydzicie się patrzeć mi w oczy?

MIĘTA.

Nie podasz ręki matce?

MARYŚKA.

Ha! widno, że wielką ma pychę w sercu... Mówiliście, że jest nie najgorszy, a on zły jest.

MIĘTA.

Tak! zły jest... Jeszcze raz ci powiadam: Oddaj honor matce.

WALEK.

Wolałbym, nieprzymierzając, być hyclem i psy łapać po drodze, niżeli takiemu ścierwu...

MARYŚKA *odwracając się.*

O! Walek! Walek!... zobaczymy...

MIĘTA *uderzając go w twarz.*

Masz!...

WALEK *zamierza się.*

Gdybyście nie byli ojcem, to...

KOŚCIELNY *chwyta go za rękę.*

Nie zapominaj ty przynajmniej, że ci Pan Bóg dał rozum... I to jeszcze o kogo? O takiego obleciświata.

MIĘTA.

Jego rozum! Ale go nabędziesz, synu, jak pójdziesz na tagielkę *) do fabryki... Myckę z czerwonym obrębkiem ci dam na głowę — fajnie będziesz wyglądał; na plecy sprawię ci okrycie, że ci nawet nie okryje twojego »Boże zmiłuj się«. Tobołek w rękę i szpadel i tak podyrdasz dyr! dyr! dyr! pomiędzy brandebury ha! ha! ha!

*) Dzienny zarobek.

WALEK.

Nie doczekacie się tego.

MIĘTA.

A bo co? Myślisz może, że jeżeli mam gospodarstwo, to mam je dla syna?... hę? Mam ci je dla syna — słuchajcie, kumotry, ale nie dla tego. W szczerem złocie wykąpię syneczka, co przyjdzie w sam czas, abo i prędzej. Kto tam wie tak na włos, kiedy żyto dostanie kolanka... Pokrzyżuję wszystkie wasze szyki...

CIERPIK *do siebie*.

Ha! niech się dzieje wola Boża.

MIĘTA *dostyszawszy*.

Juści, że bez woli Pana Boga nic się dzieć nie może... Bez woli Pana Boga nie byliby Miemcy zajrzeli do mnie; bez woli Pana Boga nie byłoby we mnie chęci do żeniaczki, bez woli Pana Boga nie byłbym też znalazł mojej Marysi... Ale gdzie ona?...

JEDEN Z TŁUMU.

Rozgniewała się i poszła... Ale nie trwożcie się o to; taki obleciświat to niema wstydu w oczach, wróci w sam czas...

MIĘTA.

O!... o!... wróci... Bo jakżeby nie miała wrócić?... Coby się stało z żeniaczką?... *Do Walka*. Bo musisz wiedzieć, synu, że żeniaczka będzie pewnikiem... Na przyszłą niedzielę pierwszy raz spadnę z ambony, a potem drugi i trzeci, a potem... Hi hi! smarkaty jesteś! nie powinienesz wiedzieć, co potem...

WALEK.

Stary jesteście, a brniecie w grzechu.

MIĘTA.

Ha! ha! Stary ale jary!... Nie mam siwych włosów, a żeli mam, to ze zgryzoty... Poco ty łązisz, jak zmo-
kły finek, za serdakiem córki tego tu peknera *), któ-
remu jutro ostatnią pierzynę za długi sprzedadzą? Wi-
dna jest rzecz, że nad jego domem niema łaski bożej,
bo, inaczej, to jego grunt leżałby na tem miejscu, gdzie
brandebury chcą budować fabryki... Zakupiliby, pod-
reperowałby się, a tak, to go bierze oskoma na cu-
dze... A ta jego Małgosia!... Fe! fe!... ponoć cho-
dziła z tobą za stodołę?...

WALEK *zrywając się.*

Ojcze!...

CIERPIK *rzucając się na Miętę.*

Nie mogę już wytrzymać... A ty psi gatunku!...

KOŚCIELNY.

Cierpiku! na rany boskie!... Dajcie spokój. Widzicie,
że to złe tak przemawia z niego, a ze złem nie da
sobie grzeszny człowiek rady.

WALEK *do Cierpika.*

Panie-ojcze! idźcie do domu! nie mocujcie się z pi-
jakiem, choć to mój rodzony.

KOŚCIELNY.

Jeszcze może z tego wyniknąć jakie nieszczęście... Li-
cho nie śpi, ino kusi... Poco wam na stare lata zapo-
znawać się z cuchthauzem...

INN1 *rozrywając ich.*

Puście go, Cierpiku, z lada czem nie ma się co za-
dawać. *Cierpić wychodzi groźac.*

*) Chałupnika.

CIERPIK.

Poczekaj!...

MIĘTA *zwrócony do tłumu.*

Kto jest lada czym?

KARCZMARKA *z poza szynkfasu.*

A tam co się dzieje!... Jeszcze mi zandarmy chałupę zamkną.

JEDEN Z TŁUMU *odpowiadając Mięcie.*

Wy!

MIĘTA.

Ja?...

INNY Z TŁUMU.

Wy! wy! nie kto inny! Stary plugawiec jesteście, lada co jesteście.

MIĘTA *rzuca się na niego.*

Patrz!...

INNY.

Spróbujcie! to wam kości tak zachrupną w tem grzesznem cielsku, jak kamienie w miechu.

MIĘTA.

A wy!... wódkę to za czyje pieniądze pić potrafita?

JEDEN Z TŁUMU *chwytając butelkę z wódką, rzuca ją na ziemię Mięcie pod nogi.*

Macie swoją oparę.

MIĘTA.

Wyłudzigrosze! chlać z obcego!...

JEDEN Z TŁUMU.

Zamalujcie mu gębę!

WALEK *rozpychając tłum.*

Precz! niech będzie, jak chce! zawsze to mój ojciec!...

JEDEN Z TŁUMU.

Dajta spokój. Walek jest dobry chłop, a ino starego wyprowadzić z karczmy.

WALEK *wyprowadzając go.*

Tatusiu! umiarkujcie się — umiarkujcie się, nie grzeszcie.

ZASŁONA SPADA.



ODSŁONA TRZECIA.

W domu Cierpika. Obszerna izba chłopska, jedne drzwi prowadzą do alkierza. Łóżka dwa naprzeciw siebie koło ścian. Stół, szafa, stołki etc. Na ścianach obrazy świętych.

Jagna zajęta przy kominie. Cierpić, wróciwszy dopiero z podróży, rozbiera powoli odświętne ubranie wierzchnie, kładzie do szafy sukmanę, kaftan, a natomiast wciąga rzeczy codzienne. Ruchy ogółem powolne.

CIERPIK *rzucając okiem na komin.*

Nawalilaś tyle na ogień, jakbyś nie widziała, że bieda.

JAGNA.

Przecie przy słomce nie ugotuję...

CIERPIK.

A zajrzałaś do obory?

JAGNA.

Zajrzałam; cielakowi jakoś plaży, do wesela będzie w sam raz.

CIERPIK.

Gadasz o weselu, jakbyś z nieba spadła... A gdzie jest Małgosia?

JAGNA.

Niema jej w chałupie; poszła na pole urwać zielska dla krowy... A co chciałeś od niej...

CIERPIK.

Nic.

JAGNA.

Wróciłeś z Borzęcina i nic nie mówisz, jakeś się ułożył z Wróblem.

CIERPIK *wybuchając.*

Żeby on z piekła nie wyrzął, ten nielitościwy zdzieracz.

JAGNA.

Nie chce czekać?

CIERPIK.

E!...

JAGNA.

No, toć gadaj, jak człowiek... Jakeś ino odszedł z chałupy, tak byłam jak na śpilkach... Aż mnie ograszka brała, żebyś aby nie chodził na próżno.. *Stawia mu jedzenie na stole, przy którym Cierpić powoli był usiadł.*

CIERPIK *zaczyna jeść, potem kładzie łyżkę na stół.*

Zabierz! nie chce mi się jeść...

JAGNA.

Nie smakuje?

CIERPIK.

E!...

Wchodzi kościelny.

KOŚCIELNY.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

JAGNA.

Na wieki wieków. Amen. Witajcie do nas.

KOŚCIELNY.

Bóg zapłać.

JAGNA.

Może wy, panie Idzikiewicz, wydobędziecie co z tego ǳmuka.

KOŚCIELNY.

Cierpiak jest jak kamień. Trzeba, nie wiem, jakiego młota, aby go rozbić i zobaczyć, jak też wygląda ze ǳrodka.

CIERPIK który przez ten czas siedział ze zwieszoną głową, oparty na stole — budząc się z zadumy.

Panie kumotrze, co jest ǳycie człowieka?... Nauczały jesteście, jak stoi o tem w piśmie?

KOŚCIELNY.

ǳycie człowieka jest jak kwiat, mówi król Dawid.

CIERPIK.

I ja tak myślę... Jakem tak wracał z Borzęcina, takem w tę i w tę stronę machnął kilka razy kijem, a rozmaite zielska, a najwięcej ostry, padały w rów, po-cięte... »R e c h t ó r« *) powiada, że każde zielsko tak żyje, jak człowiek, że ma także swoją duszę...

KOŚCIELNY.

Już to z rektorem dalibyście sobie spokój... Wiadoma jest rzecz, jako jest heretyk. A wiecie wy, kogo miał proboszcz na myśli, jak w ostatnią niedzielę nawoływał z ambony: Strzeżcie się fałszywych proroków?

*) Nauczyciel.

JAGNA.

Pewnikiem, że różnych ludzi... Może tych Miemców?...

KOŚCIELNY.

Juści... Ale najwięcej rektora.

CIERPIK.

Przecie rektór nie żaden fabrykant.

KOŚCIELNY.

Gorszy od tamtych; nie daje nic na ochfiarę... Powiada, że człowiek tak umrze, nieprzymierzając, jak bydlę... Ma duszę, ale ta dusza ino tak długo żyje, jak grzeszne ciało...

CIERPIK.

Ha! temci lepiej.

KOŚCIELNY.

Widać, że i wam wlaźła w głowę nowa wiara...

CIERPIK.

Czemu?

KOŚCIELNY.

Czemu? Juści, że chrześcijańska wiara przez was nie przemawia. Pobożni ludzie...

CIERPIK.

Tyle jest pobożnych ludzi, a jednak o swoją duszę nie dbają w żaden sposób... Stary Wróbel też jest pobożny.

KOŚCIELNY.

Najpobożniejszy z całej parafii. Daje na msze za dusze zmarłych, należy do bractwa i przyczynia się w czym

może do boskiej chwały... Niedawno jeszcze ochfiarował kilka funtów wosku na świecie.

CIERPIK.

Wszystko to z ludzkiej krzywdy.

KOŚCIELNY.

Nie posądzalibyście.

CIERPIK.

Nie posądzam, ino mówię prawdę.

JAGNA.

Co? nie chciał czekać?...

CIERPIK.

Chciał, nie chciał, co cię to obchodzi?...

JAGNA.

Jakto?... Czy to nie idzie o moją krwawicę?... Czy to ja nie harowała, aż mi się oczy tuliły od tych wszystkich ciężarów?

CIERPIK.

Nie będą ci się tuliły.

JAGNA.

Dałby Bóg, żeby człowiek już raz mógł wytchnąć na stare lata. Ciągłe w polu, nie ma żadnego wyręczenia.

CIERPIK.

Nie będziesz potrzebowała już więcej chodzić na pole, kiedy ci tak ciężko... Widać, nie jesteś warta, że cię ta święta ziemia nosi, kiedy ci tak ciężko na niej pracować...

Poza oknem słychać wołanie: Cierpiku! Cierpiku! chodźcie ino na chwilę! Cierpić zabiera kapelusz i wychodzi.

KOŚCIELNY.

Miałem do was interes.

CIERPIK.

Wróćę zaraz, zobaczę, co jest. *Odchodzi.*

JAGNA.

Nie wiem, co się z nim od niedawnego czasu stało. Osowił, spuszcza łeb do ziemi, jak koń jakiego woziwody. Mało co je, albo wcale nic. *Zabiera miskę ze stołu, wylewa jedzenie i zaczyna pomywać statki. Wrócił od Wróbla z Borzęcina i milczy, jak zakłęty.*

KOŚCIELNY.

Dajcie na ochfiarę do świętego Antoniego, a wszelaka zguba się znajdzie.

JAGNA.

O jakiej wy mówicie zgubie! Nam nic nie zginęło.

KOŚCIELNY.

Jakto nic nie zginęło?... Zginęło wam to i owo...

JAGNA.

Mówicie tak półgębkiem, panie Idzikiewicz, że ja, prosta kobieta, nic z tego nie rozumię.

KOŚCIELNY.

Ażeby rozumieć to i owo, trzeba mieć rozum, a rozum daje człowiekowi nie kto inny, ino sam Pan Bóg. A czy wy chcecie, ażeby wam Pan Bóg dał rozum darmo? Trzeba dać na ochfiarę... Czyście wy dali komu co darmo?

JAGNA.

Boże mi przebac, że mówię o tem, o czem nie powinna wiedzieć lewica; ale przecie nieraz już dałam

czy to kawałek chleba, czy to pokrywkę mąki chodzącym po łasce, no i to niby darmo.

KOŚCIELNY.

Jakże darmo? Czy pokryweczka mąki abo okruszyna chleba warta jest jednej zdrowaśki? Czy taki proszący człowiek, co jest niby sam apostoł, nie sprowadza na wasz dom błogosławieństwa bożego, które dobytek wasz pomnaża w trójnasób? He?...

JAGNA.

Jakże w trójnasób, kiedy coraz to większa bieda, a teraz nawet...

KOŚCIELNY.

Kobieto! grzeszna kobieto! Nie macie Boga w sercu! Jeżeli bieda, to jużci Pan Bóg chce ino was wypróbować; chce się przekonać, czy będziecie o nim pamiętali w biedzie. To nie żaden cud dawać na ochfiarę, jak człowiek opływa w dostatki... Wy znacie tę świętą przypowieść o tej wdowie, co dała grosz na ochfiarę?

JAGNA.

Żeby tak miała prawdę powiedzieć, to dzisiaj w chałupie niema u nas ani fenyga. *Wchodzi Cierpić*. Co się stało?

CIERPIK.

Nic się nie stało...

JAGNA.

Coś się przecie musiało stać, kiedy cię tak ktoś gwałtownie wołał... Poco ty masz ciągle tajemnice przed żoną?... Idzikiewicz wej! mówi, że wszystko będzie dobrze, jeżeli damy co na ochfiarę...

CIERPIK.

Chyba ciebie albo twoją córkę, może Pan Bóg będzie miał pociechę z niej, bo ludzie żadnej.

KOŚCIELNY.

Kumotrze! kumotrze! nie bluźnijcie! Wróciliście od Wróbla, moglibyście sobie wziąć przykład z niego.

CIERPIK.

Dajcie wy mnie wszyscy spokój... Jeżeli Wróbel jest przykład, to ten pies, który szczeka za płotem, także jest przykład... Wołali mnie, że Wróbel jest we wsi u Mięty! Nie zastałem go w Borzęcinie; do miasta w ważnych interesach poszedł, tak mi powiedzieli... O! o! domyśliłem się: w ważnych interesach! O moją głowę tu idzie... Wiecie, że ma u mnie dług. Pożyczyłem od niego, trzy lata temu będzie, kiedy mnie nawiedziło to straszne nieszczęście, że mi padło szkapsko — pożyczyłem przeszło sześćdziesiąt talarów... Były zasiewki, koń był potrzebny, spóźniłem się z robotą... Mówię sobie: mam iść do żyda, pójdę lepiej do katolika... Tak się pytam tego i owego, czyby nie miał pieniędzy. Tak ten i ów powiada: »Ja nie mam, ale udajcie się do Borzęcina, do Wróbla; pożyczył temu i owemu na nieduży procent, to i wam pożyczy... Jest was na czem patrzeć...« Tak się też stało.

KOŚCIELNY.

Jak się stało, powiadacie?...

CIERPIK.

Tak się stało, że spotykam Wróbla raz w piątek w mieście. Wołam go na jednego, jako w takich razach najlepiej człowiek się wygada przy kieliszku... Mówię mu: Jako słyszałem, że pożyczacie na nieduży procent, pożyczcie i mnie; spotkało mnie, tak mu po-

wiadam, nieszczęście: szkapsko mi padło, zasiewki, spóźniłem się z robotą.

KOŚCIELNY.

O! te nieszczęścia! jak zaczną padać na człowieka, to jak grad, abo jeszcze gorzej.

Wchodzi Wróbel.

WRÓBEL.

Pochwalany Jezusiczek.

JAGNA.

Na wieki wieków. Amen. Witajcie^{sz} do nas.

KOŚCIELNY.

O! co za gość! O was była mowa... Już was też nie widziałem kupę lat, abo i więcej.

WRÓBEL *do Jagny.*

A! Bóg zapłać, robaszku... *Do kościelnego.* A jakże! już was też nie widziałem kupę lat, abo i więcej, robaszku.

KOŚCIELNY.

Jakeście ochfiarowali ten wosk na świece, to mnie wtedy nie było.

WRÓBEL.

Ochfiarowałem. A jakże, robaszku... Nie ma o czem wspominać!... A juści! ochfiarowałem, aby przebłagać Jezusiczka za grzechy, jako grzeszny jestem, robaszku. Aby Jezusiczek uchronił od utrapień... *Zwrócony do Cierpika.* A jakże! od utrapień, robaszku...

JAGNA.

Mój Boże! cóż wy macie za utrapienia!... Ale siadajcie...

KOŚCIELNY.

Prawda! cóż wy macie za utrapienia...

CIERPIK.

Byłem u was w Borzęcinie.

WRÓBEL.

Nie zastałeś... A jakże, robaszku... O świecie, jak ranny ptak, musi człowiek wyłazić z gniazda; musi się włączyć po adwokatów, po sądach, po folcyerach... Zapłaty niema żadnej, robaszku. Powiedzieli wam, że poszedł, powiedzieli.

CIERPIK *spokojnie*.

Wróblu! czy wy macie litość w sercu?...

KOŚCIELNY.

A jakżeby nie miał litości mieć? Ja zawsze mówię, że Wróbel dobry jest człowiek, jako daje na ochfiarę.

WRÓBEL.

Dobry, nie dobry, *do Cierpiaka*, ale, robaszku, litość... litość... A kto, kiedyście przyszli w biedzie, robaszku...

CIERPIK.

Tak! przyszedłem do was w biedzie: szkapsko mi padło, spóźniłem się z robotą. A wy nie chcieliście mi dać wiary na słowo, ino zaraz do adwokatów, do hipotek.

WRÓBEL.

Wiara wiara, a interes interesem, robaszku. Hipoteka zawsze ma swoją pewność... Ale, robaszku, i dzisiaj interes...

KOŚCIELNY.

A może ja wam jestem na przeszkodzie? Pójdę sobie.

WRÓBEL.

Nie potrzeba, robaszku, nie potrzeba! Jawną jest rzecz...

JAGNA.

Chodzą wieści, jakoście nas podali na supastacyą...
Cierpiak udawał się do was, żebyście czekali.

WRÓBEL.

Nie mogę czekać, robaszku, nie mogę czekać... Przyszedłem już z pismem do was, na supastę-m podał. O, tu jest pismo, robaszku. *Wyciąga z zanadru plik papierów, kładzie je na stole i rozwija.*

CIERPIK.

Wróblu! ulitujcie się... Oddam, cofnijcie supastacyę!
Poczekajcie!

KOŚCIELNY.

Wchodzi
1909 Cofnijcie, panie Wróblu, jakoście litościwy człowiek.

WRÓBEL *szukając między papierami.*

Znana rzecz, litościwy jest ze mnie człowiek, robaszku. Przyszedł-ci on do mnie, zapragnął sto talarów, robaszku, pożyczyłem, dałem... *Mrucząc.* To do Jana Rolirada, to do Jędrzeja Wańtucha... *Głośno.* Pożyczyłem na nieduży procent. Oto wasz papier, robaszku. Przeczytajcie... Nie oddaliście, ani sumy, ani procentu. Przysłiście drugi raz, robaszku, rzekliście: »Sumy nie mam i procentu nie mam, robaszku, chałupa mi się wali, deszcz mi kapie przez dach, trzeba mi, robaszku, powiedzieliście, sprowadzić na przyciesie z boru, pojechać po dachówkę... Pożyczcie jeszcze drugie sto, abo i więcej, oddam, powiedzieliście, oddam...« Pożyczyłem, pokazałem litość, robaszku... Czytajcie pismo...

JAGNA.

Pokażcie i teraz swoją litość nad nami, Bóg wam odpłaci...

CIERPIK.

Wróblu, czekajcie jeszcze jakiś czas! cofnijcie supastacyą!

KOŚCIELNY.

Cofnijcie! Bóg to wam zapisze w swojej księdze...

WRÓBEL.

Bóg nie chce niczyjej krzywdy, robaszku... a krzywdę mam, robaszku! Czekać nie mogę, cofnąć nie mogę. Czekałem dotychczas. *Do Cierpika*. Procentów nie płaciliście, a gdybyście byli płacili choć procent, byłbym te pieniądze pożyczył komu innemu, jako z tego żyję, bo z ziemi to już nie mam nic.

JAGNA.

Ale przecie co jest, to wam nie zginie. Jest nas na czym patrzeć.

WRÓBEL.

O jest was na czym patrzeć, robaszku... Osiem morgów gruntu! Fantowali was za podatki, za szarwarki. Wisicie u żydów...

CIERPIK.

Jeszcze raz was proszę, pokażcie, że jesteście człowiek...

KOŚCIELNY.

Cofnijcie! Ochfiara ta będzie miłą Panu Bogu.

WRÓBEL.

Nie cofnę, robaszku! Nie mogę, robaszku! Brandebury przyszli czy pomry*), budują fabryki, skupują ziemię. Potrzebny mi każdy grosz; czekać nie mogę,

*) Niemcy z Pomorza.

tracę na tem dziesięćkrotnie. Sprzedać muszę... W Borzęcinie kupię tu ślaczek, tam ślaczek, odprzedam Miemcom, zarobię... Chodzi po ludziach, jako i u nas w Borzęcinie mają budować, jako jest dobra ziemia na cukrowe buraki.

KOŚCIELNY.

Co? i na waszej wsi ma się szerzyć ta zaraza? Czy to nie dosyć u nas?

JAGNA.

O Boże! Boże! Macie racją! Zaraza jest. Ludzie tracą rozum i pana Boga z serca... Wróblu! nie macie Pana Boga w sercu!

WRÓBEL.

Nie żadna zaraza, robaszku, nie żadna zaraza. Nie znane są wam sprawy! Potrzebny mi każdy grosz; sam Pan Bóg widzi, że potrzebny mi każdy grosz... Teraz inne czasy, cały świat o tem mówi, robaszku... Pomry mają pieniądze, tak budują! nasi, robaszku, nie mają pieniędzy, tak zdychają z głodu.

CIERPIK.

Lepiej zdychać z głodu, niż wywłaszczać ludzi.

KOŚCIELNY.

Z brandeburami, Wróblu, nie zaczynajcie. Nie będzie błogosławieństwa Bożego... z nimi świat się kończy...

WRÓBEL.

Nie zaczynam, ino kupca mam na Cierpikową rolę... Kupuje Mięta, robaszku... Odprzedam, robaszku, za pieniądze kupię w Borzęcinie i odprzedam Miemcom, robaszku, zarobię. Pismo jest tu: *do Cierpika*. Jako wam nie wolno ani zaciągać żadnych długów, ani sprzedawać, robaszku, czy to z inwentarza, czy to ze sprzę-

tów, robaszku; jako położony jest hareszt na wszystko.
Za tydzień wysprzedaż...

CIERPIK.

Wróblu! ulitujcie się nad nami! Całować was będziemy
po rękach.

JAGNA.

Nad naszą córką, patrzcie! ulitujcie się nad tą dziewczyną, którą czeka wielka bieda... *Wchodzi Małgosia; składa zawiniątko z kartoflami w kącie izby.*

WRÓBEL.

O, o! robaszku! Różnieć na świecie mówią o tej waszej córce... O! robaszku! Ładna, śliczniuchna! Nie dziewota, robaszku, że i grzech łatwiejszy...

MAŁGOSIA *bierze kilką kartofli w rękę i pokazując je matce.*

Podebrałam kilka krzaczków, nanusiu... Patrzcie, jakie ładne »pętówki«... okragluchne...

CIERPIK *z udanym spokojem.*

Małgosia! pójdiesz w służbę... Robić pewnie jeszcze będziesz mogła z kilka miesięcy, nim twój czas nadejdzie...

MAŁGOSIA.

Tatusiu!

JAGNA.

Człowieku, co tobie się przyśniło?

CIERPIK.

Nic mi się nie przyśniło. *Do Małgosi.* Zabieraj swoje manatki i idź, gdzie cię oczy poniosą! Do tej nędzy nie chcę mieć jeszcze wstydu w chałupie.

MAŁGOSIA *padając mu do nóg.*

Tatusiu! miejcie choć trochę litości nademną. Co ja zawiniła, że mnie tak prześladujecie?

CIERPIK *kłapiąc ją.*

Precz, ty suko! *Z szyderstwem.* A co? miesiąc świecił, kiedy wysiadywałaś za stodołami?

JAGNA.

Człowieku! czy ciebie nie wstyd, przy obcych ludziach wygadywać takie rzeczy?

CIERPIK.

Nie ma się czego wstydzić... Cała wieś o tem już gada... Natrząsa się ze mnie lada rozpustnik stary; lada lichwiarz podły wytyka mi w oczy plugactwo mojej rodzonej córki. W karczmie Mięta, żem mało go nie zabił, a dziś rano, w drodze, kto ino mnie spotka, tak zaraz: »Kumotrze, czy to prawda, co gadają o waszej Małgosi?« A teraz jeszcze ten tu przytyki mi robi; *wskazując na Wróbla, który wraz z kościelnym przypatrywał się niespokojnie scenie.* Do Jagny. Jakaś ty matka, że nie uważasz na dziecko. *Do Małgosi.* Mówię ci, idź mi z oczu, bo cię rozedrę, jak szczypę, na dwoje. *Chwyta za polano.* Patrz!

KOŚCIELNY.

Cierpiku! umitygujcie się! Dobrze się nie stało, to prawda! na honór wam nie wyjdzie, to prawda! Aleć przecie nie kto inny, ino ten, co ma ją poprowadzić do ołtarza...

WRÓBEL.

O, o! niema tu co robić! Zgorszenie jest w tym domu. Widzieliście pismo, robaszku... Zgorszenie jest... *Wychodzi.*

CIERPIK *nie zważając na odchodzącego Wróbla.*

Nikt jej nie poprowadzi do ołtarza! Tamten nie poprowadzi, bo nie będzie głupi dla marnego kawałka ciała puścić chałupę i grunt i wszystko... Kto inny nie ułasczy się na tłuka z cudzym przychowkiem... A choćby ją tamten chciał poprowadzić, co mi jest ziść bez gruntu?

KOŚCIELNY.

Prawda! prawda! ziść bez gruntu to jest nic.

JAGNA *z boleścią.*

Nie gadajcie, kumotrze! Czy to człowiek ino wtedy jest szczęśliwy, jak ma grunt?

KOŚCIELNY.

Ha!

CIERPIK.

Co mnie dzisiaj znaczy, gdzie wszystko już na nic, jakiś fabryczny popychacz? Co znaczy człowiek, który będzie musiał żyć z grosza z dnia na dzień? A jak mu kości połamią w fabryce, to się przywlecze do mnie i powie: Panie ojcze, kości mi pogruchotali, nie mogę pracować, miejcie litość nademną, jako jestem waszym zięciem... jako wziąłem waszą córkę, a mogłem wziąć inną z groszem abo z chudobą...

JAGNA.

Walek tak nigdy nie powie, jako żywo, nigdy!...

CIERPIK *nie uważając na Jagnę.*

Panie ojcze — powie — dla waszej córki utraciłem grunt ojcowski! dla waszej córki nie zostałem gospodarzem, ino fabrycznym popychaczem! A teraz mnie jeszcze spotkało takie nieszczęście, że robić nie mogę...

KOŚCIELNY.

Toć przecie zaraz nie koniecznie musi stać się nie-
szczęście w fabryce...

CIERPIK.

W fabryce nikt się nie ustrzeże, ani mój zięć, ani
nikt... Tak mi powie mój zięć i będzie czekał na ła-
skawy chleb, a skąd ja mu go dam? Za tydzień sprze-
dadzą wszystko...

JAGNA.

O Boże! ulituj się nad nami!

MAŁGOSIA.

O ja nieszczęśliwa sierota!

CIERPIK.

Uciekaj, bo ci wypalę te bezwstydne ślepie, bo ci,
patrz! ten łeb roztrzaskam, aż ci mózg wyprysnie!
Chwyta za siekiere.

KOŚCIELNY *chwytając go za rękę i wydzierając mu siekiere.*

Cierpiku! Cierpiku! ochłońcie z tego gniewu! taki spo-
kojny człowiek! Taki spokojny człowiek! Taki spo-
kojny człowiek! Ochłońcie! wyjdźcie na powietrze,
będzie wam lepiej! Chodźcie, mam interes do was,
pilny interes... *Wyciąga go z izby, Cierpić poddaje się*
machinalnie.

CIERPIK.

Aby mnie Bóg nie skarał... *Odwracając się w progu,*
do Małgosi. A jak wrócę, niech w chałupie po tobie
nie będzie ani śladu! *Wychodzą.*

MAŁGOSIA *zbierając rzeczy i zawiązując je w tobołek,*
z płaczem.

Nanusi! Nanusi!...

JAGNA.

Cicho, moje ty dziecko najdroższe! Nie zalewaj się łzami... Umityguj się!... Powiedz, czy to prawda?...

MAŁGOSIA.

Nanusi, nanusi! ach, nanusi!...

JAGNA.

Cicho, cicho! Jak to było? z kim? Wiesz, jak cię kocham, krwibym utoczyła z serdecznego palca dla ciebie!...

MAŁGOSIA.

Z nim, nanusi, z nim! Jak Bóg w niebie, z nikim innym! Jak ten Bóg nad nami!

JAGNA.

O moje ty dziecko najdroższe! Żeś tak się dała porwać rozpuścić!

MAŁGOSIA.

Nanusi, nie z rozpusty! nie z rozpusty! Powracalim od tańca, przed trzema blisko miesiącami, w niedzielę wieczór, pamiętam... Nanusi! nanusi!

JAGNA.

O moje złoto jedyne!

MAŁGOSIA.

Tak, nanusi! Powiedział mi: o moje złoto jedyne! Pochwycił mnie w pas, spojrzał mi w oczy i powiedział: o moje złoto jedyne! usiądźma tu na murawie, powiedział; miesiąc ładnie świeci, bez tak pachnie, że aż się człowiekowi robi ckno na sercu! Nanusi, prawda! Naokoło rosły bylice i łopian... Bieluteńki łopian, szeroki łopian! O moje złoto, powiedział; do domu jeszcze czas; matka, powiedział, spać jeszcze nie pój-

dzie, lubi siadywać przed sienią i słuchać, jak żaby kukają w jeziorze, jak we wsi wygrywa owczarek od Jędrzejkowej na pieszczące...

JAGNA.

Ach!

MAŁGOSIA.

Owczarek od Jędrzejkowej wygrywał na pieszczące, bez tak pachniał, że aż się robiło ckno na sercu. Żaby kukwały w jeziorze; miesiąc świecił, bylica się świeciła i łopian calutki się świecił, jak w srebrze, nanusiu! Żyto za stodołami szumiało tak cicho, tak cicho, że aż mnie dreszcz przechodził, a on pochwycił mnie w pas, przytulił mnie do serca i pocałował mnie i powiedział: o moje złoto jedyne! Niedługo będziesz moją na zawsze! Ojciec zapisze grunt...

JAGNA.

Jak się to wszystko dzisiaj zmieniło! Jak się to wszystko dzisiaj zmieniło!

MAŁGOSIA.

Nic się nie zmieniło, nanusiu! nic się nie zmieniło dzisiaj! chyba to, że mnie rodzony ojciec jak psa wygania z domu... Choć się wszystko zmieni, powiedział, to ja się nie zmienię i ty się nie zmienisz... Nanusiu, on się nie zmienił i ja się nie zmieniła... Będziemy mieli grunt, powiedział, będziemy pracowali oboje razem! Dorobimy się chleba. Będzie nam dobrze! O moje złoto jedyne! O moje skarby najdroższe! Będzie nam dobrze, powiedział... Pochwycił mnie w pas, pocałował mnie... O moje ty złoto jedyne! powiedział... Nanusiu, ach, nanusiu! Nie wiem, co się ze mną stało dalej... Bez tak pachniał, że aż się robiło ckno na sercu... Nie wiem, co się dalej stało... Ach, dziś abo się utopię, abo co!...

JAGNA.

Nieszczęście się stało, o moja ty córko nieszczęśliwa, nieszczęście! Nie płacz, nie płacz! Słyszę, że ktoś idzie... Ojciec zapewne... Idź do ciotki. Przeczekaaj dzień dzisiejszy, przeczekaaj noc dzisiejszą! Ojciec się uspokoi... Jutro będzie dobrze...

MAŁGOSIA.

Nanusi! ach, nanusi! Utopię się, abo co! *Wychodzi z tobołkiem w rękę, mija się z Walkiem.*

WALEK *za uciekającą we drzwiach Małgosią.*

Małgosia! co ci jest? Czemu płaczesz? Czemu uciekasz? *Do Jagny.* Pani matko, co się stało? Nie dosyc jednego kłopotu, jeszcze...

JAGNA.

Unieszczęśliwiłeś mi dziecko. Ojciec wypędził ją z domu, każe jej pójść w służbę.

WALEK.

Pani matko, pani matko! Nie macie wszyscy litości nademną! Myślałem, że choć tu u was odetchnę, a tu się nowe złe na mnie wali.

JAGNA.

Nie tylko na ciebie, na nas wszystkich... Wróbel był przed chwilą...

WALEK.

I u ojca był, konszachtowali coś...

JAGNA.

Na naszą zgubę... O mój Boże, co to będzie?! Cierpik, co zawsze był spokojny i psuby zeszedł z drogi, chodzi jak grób, nic nie gada, a ino od czasu do

czasu, to w zapamiętałości tak wybucha, jak żywy ogień w kominie... Małgosię z domu wygnał... Co to będzie! co to będzie! O mój Boże, co to będzie!

WALEK.

O tak, co to będzie! Ja już głowę tracę... Jestem, jak ścięty pień. Patrzeć nie mogę na rozbewstwienie ojca... Dał na zapowiedzi!... Człowiek, któremu już ze świata, dał na zapowiedzi... Codzień się odgraża, że jak psa wypędzi mnie z chałupy, że będę chodził na tagielkę do tej fabryki niemieckiej, że będę pom-rom gnój wywoził... A dzisiaj sprowadził jeszcze to ścierwo do domu, tego tłuczykija ze świata... *Wchodzi Cierpiak*. Panie-ojcie, co wy robicie?

CIERPIK.

Nic nie robię.

WALEK.

Wyganiacie niewinną z chałupy.

CIERPIK.

Taka niewinna, jak ty.

WALEK.

Panie-ojcie!

CIERPIK.

Cicho! Daj już raz spokój tytułom. Ani ja twoim panem-ojcem, ani ty moim zięciem!..

WALEK.

Co to? i wam się przewróciło w głowie, choć jeszcze pomry do was nie zawitali?

CIERPIK.

Robisz sobie pośmiewisko ze mnie?

WALEK.

Nie, mówię prawdę: Nie jesteście takim, jakim byliście przedtem.

JAGNA.

Oj, prawda! święta prawda!

CIERPIK *do Jagny.*

Ty zamknij gębę. Idź do swojej roboty. *Do Walka.*
A ty, Walek, słuchaj, ostatnie moje słowo: zięciem
moim nie będziesz.

WALEK.

Żeby się świat miał skończyć, to jednak będę...

CIERPIK.

Świat się nie skończy i ty zięciem nie będziesz...

JAGNA.

Nie gadałbyś niepotrzebnych rzeczy. Co ci to Walek
tak naraz stanął w drodze?

CIERPIK.

Mówilem ci już raz: idź do swojej roboty. *Jagna
kręci się koło pieca, zabiera wanienkę i wychodzi.*

WALEK.

Panie-ojczy!

CIERPIK.

E!

WALEK.

Panie-ojczy, jedno słowo: Czemu nie mam być waszym zięciem?

CIERPIK.

Nie chcę ja syna mojego wroga...

WALEK.

A co ja temu winien?

CIERPIK.

Jedna krew!

WALEK.

Panie-ojczy!

CIERPIK.

Nie masz gruntu, ani nic, a ja nie mam na to, aby żywić jeszcze i ciebie.

WALEK.

Sam się wyżywię.

CIERPIK.

Dopókiś zdrowy i to jeszcze kto wie... Za tydzień supasta... Ja pójdę na żebry, Jagna pójdzie na żebry... Jesteśma starzy... Małgosia pójdzie w służbę... Niech pozna, co to znaczy wycierać cudze kąty! Rozbestwiła się! Zachciało się suce rajskiego jabłka... Miał się do niej Józef od Ciemiężyny... Siedzi na trzech morgach Byłbym się przy nim uwiesił... Stary jestem... Choć ino trzymorgowy, to zawsze lepszy od fabrycznego popychacza. A choćby i robił w fabryce? Na wypadek zawsze miałby swój zagon, swój własny kąt... Rozbestwiła się. Niech jej moje oczy nie oglądają! Zdrowa jest, sama jest, da sobie radę. Sama jest...

A jak się urodzi ten znajdek, ha! to niech znajдка roztrzaska o ścianę, albo niech utopi go w jeziorze... Jedno życie mniej na świecie! I tak, powiadają wszędzie, że za dużo jest ludzi... Co znaczy znajdek! Co znaczy życie!

WALEK.

Panie-ojcie, grzech tak mówić, śmiertelny grzech!

CIERPIK.

Idź, idź!

WALEK.

Panie-ojcie!

CIERPIK.

Idź, idź! Nie chcę fabrycznego popychacza! Lepiej już żadnego... O grunt się postaraj! O grunt!... *Wchodzi Mięta.*

MIĘTA z ironią.

Przebaczcie, Cierpiku, że nieproszony wchodzę w wasze progi, ale przyszedłem wam oświadczyć, jako Wróbel był u mnie i że za tydzień te progi będą moje progi... *Do Walka.* Ty znowu tutaj? Wszakem ci raz na zawsze zakazał. Przywlekłeś się na nowy grzech... Do domu!...

CIERPIK.

Za tydzień będzie wasze, ale dziś jeszcze nie jest... Idźcie razem ze swym synem. Wyrzucę was...

MIĘTA.

Słyszysz, synu? Słyszysz? to twój pan-ojciec tak przemawia. Wygania cię... Do domu, do zaciąg! Nie

po cudzych chałupach się włóczyć! Jeść ci nie będę dawał napróżno, ani ja, ani twoja matka.

WALEK.

Tatusiu, nie róbcie zgorszenia!

CIERPIK.

Mówię raz ostatni: precz z mojego domu, nie robić mi tutaj rozgardyi... Ja tu jeszcze panem... Po sołtysa pójde, jakoście mi dom naszli... *Wychodzi.*

MIĘTA.

Oho, Cierpiku! Jaki mocarz z niego...

WALEK *nie uważając na odchodzącego Cierpika.*

Tatusiu, nie róbcie hańby sobie i mnie i całej familii. Wystawiacie się na pośmiewisko. Ludzie szydzą z was po wsi. Zmurszały, mówią, pień, a chce mu się zielonych liści. Stary, mówią, do ożenku, to jak wiecheć do ślacheckiego trzewika...

MIĘTA.

Natrząsas z własnego ojca!

WALEK.

Nie natrząsam się, ino proszę was, zapiszcie mi grunt.

MIĘTA.

Na fabrykę pójdziesz... Nie słuchasz ojca.

WALEK *rzucając mu się do nóg.*

Tatusiu, wypędźcie to ścierwo z domu! Zlećcie na mnie grunt i wszystko, jako jestem wasz jedyny syn... Ożłocę was. Nie będziecie się potrzebowali troszczyć o nic... Chleb będziecie mieli do śmierci, jakiego

jeszcze żaden ojciec nie miał. Małgosia i ja kochać
was będziemy...

MIĘTA *odpychając Walkę.*

Małgosia, ten tłuk!

WALEK.

Tatusiu, upamiętajcie się!

ZASŁONA SPADA.



ODSŁONA CZWARTA

Scena przedstawia pole pod koniec żniw. Na przodzie pokosy i kłka snopków, ustawionych w mędel. W dali kopy powiązanego zboża i łan jęczmienia nieścięty. Na ostatnim planie widnieje jezioro Gopło, a wśród niego wznoszą się ruiny Myszej-wieży i kolegiata Kruszwicka.

WALEK sam, nachylony nad pokosami, uwiązawszy snopek, stawia go do mędla.

E!... tak!... ale na kogo ja pracuję?... Na to ścierwo, co przyszło tu ze świata na moje nieszczęście! Zrywa kłtos, rozciera go w ręce, zdmuchuje plewy. Ładne ziarno... Ciężkie... Sypkie... Biorąc w usta. Mączy-ste... Nie chciałem iść wiązać... Mówię sobie: »Po co?... To i tak nie będzie moje...« Ale mnie coś pcha do tej roboty... Widno, przyzwyczajenie... Prosty człowiek to-ci już zawsze stworzony do pola... A co ja będę robił, gdy nie będę miał pola? Mam iść na fabrykę... Nie! Nie!... Tatusiu! abo moje życie abo twoje!... Ale co ja grzeszny człowiek myśle?... Powiadają, że złe ma największą władzę w południe... Czemu oni tak smutnie śpiewają? O tej burmistrzance śpiewają, której się rodzony ojciec utopić kazał — za grzech!...

W dali słychać przeciągły śpiew wracających z pola żniwiarzy. Grupa, złożona z kilku osób obojej płci, z grabiami,

sierpami, dzbankami etc. w rękę, śpiewa w odstępach pieśń gminną:

»Hej! tonęła burmistrzanka, tonęła, tonęła,
Napotkała swego ojca, stanęła, stanęła: (bis)
Ratuj-że mnie, ojczy drogi, ratuj mnie, ratuj mnie,
Niechże ja tu w tym staweczku nie tonę! nie tonę! (bis)
Tożże do dna, córko moja, toń do dna, toń do dna,
Boś ty świata już nie godna! nie godna! nie godna!« (bis)

JEDEN ZE ŻNIWIARZY.

Do domu, Walek! czas na obiad. Za bardzo jesteś pracowity...

WALEK.

A czemu tak smutnie śpiewała!

JEDNA ZE ŻNIWIAREK.

Tak sobie.

DRUGA ZE ŻNIWIAREK.

Do domu, Walek! czas na obiad... Dalej! pójdziemy razem... Co będziesz harował jak bydlę w jarzmie... I do tego jeszcze na obcych...

WALEK.

Co nie mam harować? Dobrze mi jest w polu.

JEDNA ZE ŻNIWIAREK.

I nam jest dobrze. Ale zawsze lepiej najeść się, niż cały dzień harować. Chodź, wypocznij sobie na jutrzejsze wesele.

WALEK.

Mam czas... Niech to wesele wcierniasty!... A czemuś tak smutnie śpiewali? Czy to nie umiata jakiej innej pieszczki?...

JEDEN ZE ŻNIWIARZY *mający na grabiach wieniec z kłosów i idący przodem.*

Co nie mamy umieć... Zaśpiewamy inną, kiedy ci się tak chce koniecznie... Dalej, dziewczuchy! »A w pewnem miasteczku«, abo »Świeci miesiąc, świeci«.

JEDNA ZE ŻNIWIAREK.

»A w pewnem miasteczku« ładniejsza; zaśpiewajma i chodźma, kiedy Walkowi tak się raptem zebrało na robotę.

CHÓR *odchodząc powoli.*

»A w pewnem miasteczku
Nieszczęście się stało
Że się dwoje ludzi
Z sobą pokochało... (bis).

I tam do niej chodził,
I tam u niej bywał,
I tam całe nocki
U niej przesiadywał...« (bis).

WALEK *do siebie.*

Ta jeszcze smutniejsza.

Za sceną śpiew milknie powoli, słychać tylko słabe echo:

»Kasineczka wstała,
Odprowadzić miała,
Bielušką chusteczką
Oczki ocierała...« (bis).

WALEK *sam.*

Wzięło im się na żalości... Oj! i mnie mogłoby być żalosińie, bardzo żalosińie! Ale co ja się będę smucił?... Co to za plon tego roku! Co to za plon!... *Śpiewa pod nosem:*

»Plon niesiemy, plon
Panu-ojcu w dom...«

Tak! prosty człowiek to-ci już zawsze stworzony do pola... Choćby miał największą żalłość, to jak zobaczy takie żyto, albo taką pszenicę, to mu się zaraz dobrze zrobi... Mówią, że teraz inne czasy nastały: pszenicy siał nie będą, żyta siał nie będą, bo się nie opłaca, a ino cukrowe buraki... A skąd chleb?... Z tych buraków?... Powiadają na okolicę, że teraz będzie lepiej: jak ludzie będą jedli kupny chleb, tak wydelikatnieją... A na co prostemu człowiekowi wydelikatnieć?... Starzy ludzie nie byli delikatni, nie pili kawy, nie jedli kupnego chleba, gotowali polewkę — a co? było im źle?... Juści, że nie było!... Nie byli fabrycznymi popychaczami... Mam być fabrycznym popychaczem! Ja, swojak, mam być fabrycznym popychaczem!... O nie!... nigdy!... Niedoczekanie twoje, tatusiu!... Abo moje życie, abo twoje?... Ale po co moje? Czy to nie jestem młody?... A co robi bezemnie Małgosia, którą rodzony ojciec wypchnął z domu?... A co zrobi bezemnie to nieszczęsne dziecię, które ma przyjść na świat?... Ha!... »Nie zabijaj!« stoi w przykazaniu. A czy on mnie nie zabija? Czy nie robi ze mną gorzej, jakby mnie odrazu zabił?... A czy to grzech pozbawić życia takiego rozpustnika, który bluźni przeciw Panu Bogu i przeciw wszystkiemu?... *Więże nowy snop.* Południe... Posłałem do niej tego Wojtaszka, żeby jej powiedział odemnie: »Przyjdź w południe, jako zostanę przez obiad, nie będzie nikogo w polu, pogadamy o twojej niedoli, ucieszymy się!« a tu ani jej, ani tego kuterzogni... A może z nią się znowu co stało?... Panie-ojczel! panie-ojczel!... *Bierze ziarno etc.* Ładne ziarno!... Sypkie... Mączyste!... Po co te Miemcy przyszli do nas? Juści dobrze, że przyszli... Zapłacili dobrze za morgi... Po pięćset talarów... Hm! hm! A co ja mam z tego?... Nieszczęście!... Po pięćset talarów!... *Licząc na palcach.* Jeden raz pięćset, drugi raz pięćset, to tysiąc... Kupili cztery morgi, to razem dwa tysiące... Dwa tysiące!... Ojciec

ma piętnaście morgów. Za dwa tysiące drugie piętnaście... Więcej! więcej!... Dwadzieścia! Więcej!... Dwadzieścia i pięć... Dwadzieścia i pięć a piętnaście to razem czterdzieści!... Czterdzieści morgów mają przejść na tego »syneczka, co się urodzi w sam czas, powiedziało, albo i prędzej — kto tam wie tak na włos, kiedy żyto dostanie kolanka«, powiedział... O ty rozpustniku siwy!... A może odpędzę te myśli!... *Stawia nowy snop.* Tak! znowu jeden snop!... Jaki to ojciec! Jaki to ojciec! Zachciało mu się na stare lata żeniaczki... Nawet na późniwach nie czeka, ino w sam czas, kiedy największa robota... Jutro wesele!... O! co to może złe, jak się dostanie w człowieka!...

A gdybym go tak w stodole, na klepisku?... Stary jest, padnie na miejscu... Powiem: »Upadł z warstwy na klepisko, zabił się...« Uwierzą! uwierzą wszyscy!... »Pijak był, tak powiedzą, poślizgnęła mu się noga i upadł na klepisko i zabił się...« A grunt mój i Małgosia moja!... Nie zabijaj! piąte przykazanie: »nie zabijaj!...« O! co to może złe, jak się dostanie w człowieka!...

Powiadają, że złe ma największą władzę w południe... *Z przestrachem.* Co to?... *Oddychając.* To ten Wojtaszek! *Za sceną słysząc gulgotanie, jakby kto naśladował indyka.* Podaje się za niespełna rozumu! Ej! ej! ty mydłku!...

WALEK.

No co? byłeś? Przyjdzie?

WOJTASZEK *wyciągając flaszkę z wódką z zanadru i podając ją Walkowi.*

Masz! Pociągnij trochę!...

WALEK.

Nie chce mi się... Przyjdzie?

WOJTASZEK.

Głupiś!... *Pociąga i chowa w zanadrze butelkę.* Dzieją się cudowności na świecie... Kukawka podłożyła swoje jajka w gniazdo sroki, a mnie matusia porzuciła pod płotem...

WALEK.

A jednakżeś wyrósł, jak świeca, choć cię porzuciła pod płotem.

WOJTASZEK.

Jak świeca, to prawda... ino trochę zgięta, tak na lewą stronę... Ale kto, mówisz, czy przyjdzie?... Jędór?...

WALEK.

Jaki jędór?...

WOJTASZEK.

Ten, co mnie ugryzł w łydkę...

WALEK.

Czyj jędór znowu?... Co pleciesz?...

WOJTASZEK.

A kto ma u nas jędory, kiej nie ksiądz?... I pawie sobie chowa i pawice...

WALEK.

Wojtaszek! Wojtaszek! Jak nie powiesz, czyś się dobrze sprawił, tak patrz!... *Odpasuje pasek.* Z tobą to inaczej nie można...

WOJTASZEK.

Przyjdzie! przyjdzie! przyjdzie!...

WALEK.

Chwałaści, Panie!... Usiądź sobie! Pogadamy troszeczkę, nim się Małgosia zjawi... *Do siebie.* Abo odpędzę te myśli, albo co!... *Siada, obok niego wyciąga się Wojtaszek.* Co mówiła?... Co tam u nich słyszać?

WOJTASZEK.

Umiełli na żarnach śrótu ze świeżego żyta, zarobili ciasto w dzieży na chleb, ciasto urosło, że aż strach, a z tego ciasta zrobiła się niewiasta, a z tej niewiasty urodził się ancykryst. He! he! he!

WALEK.

Nie będę się już spierał z tobą. Wolę już cierpliwie czekać na Małgosię... *Do siebie, poprawiając się na snopku.* Że też nie mogę odpędzić tych myśli...

WOJTASZEK.

Co tam Małgosia!... Powiem ci zagadkę... Słuchaj, co to jest? »Mięta wiła się jak śmierć po płocie i zawiła się rowami i nie-rowami aż do karczmy, a Cierpik ścierpł jak rzepa...« Co to jest?

WALEK *niecierpliwie.*

A kto ciebie tam rozumie?...

WOJTASZEK.

Widzisz, jakiś mądry, a nie wiesz, że to znaczy: »Pan Bóg posiał oset, a z tego ostu zrobił się nasz proboszcz«. Napij się wódki, będziesz mądrzejszy!...

WALEK.

Kiedys już taki szczery, to daj!... Złęby się nie opędziło przed tobą *Do siebie.* Może zaleję tego robaka...

WOJTASZEK *na wspomnienie »złe«, żegnając się.*

W imię Ojca i Syna i Ducha...

WALEK.

Co się żegnasz?

WOJTASZEK.

Nauczyłem się wzywać Pana Boga od naszego proboszcza... Przeżegnaj się i ty, będzie ci lepiej...

WALEK *żegnając się machinalnie.*

W imię Ojca i Syna i Ducha... Nie zabijaj!... Piąte przykazanie »nie zabijaj!...«

WOJTASZEK *dosłyszawszy.*

Co nie zabijaj? A wiesz ty, Walek, że twój ojciec na wesele nic nie bije?... Sprowadził mięso z miasta i majeranek na wianek dla Marysi i różne specjały.

WALEK.

Bzdurysz!... Majeranka do rosółu, na wianek jest ruta.

WOJTASZEK.

Maryśczyną grzędę z rutą dawno już podeptały świnię... Do rosółu bobkowe liście, majeranka na wianek dla Marysi, dla macochy...

WALEK.

Żeby ona szczezła!...

WOJTASZEK.

Jakiś ty nie dobry syn!... Idź do księdza, niech ci da rozgrzeszenie.

WALEK.

Byłem-cię u niego, ale on niema tej władzy, żeby wypędzić złego ducha z człowieka... Wytrzymać nie

mogę... Czeniu ona nie przychodzi?... Słuchaj, opowiem ci gadkę, prędzej czas nam zejdzie... Lepiej mi z tobą w tę południową godzinę. Powiadają, że złe ma największą władzę w południe...

WOJTASZEK.

W imię Ojca i Syna i Ducha.

WALEK *w zamyśleniu.*

Słuchaj!... Powiadają starzy ludzie, że był taki ksiądz, co wyganiał złe... Tak raz w kościele miał kazanie. A tu naraz pośrodku ludzi zaczęło coś łycać — łycalo i łycalo...

WOJTASZEK *przerywając.*

O la Boga retyle!... Ale słuchaj! ja ci powiem inną gadkę: jak syn zabił ojca...

WALEK.

Cicho... cicho... cicho... ty psie!

WOJTASZEK.

No! no! no! mów! mów!...

WALEK *popadając w zadumę.*

Tak ten ksiądz zobaczył tego łycającego i jak zeszedł z ambony, tak go wziął do zakrystyi i powiada do niego: »W imię Ojca i Syna i Ducha! Czarcie przeklęty! Wynijdz z tego człowieka, jako jesteś niesprawiedliwy...« A to złe ino się rozrzechotało i zapytało się księdza: »A ty jesteś sprawiedliwy?« Tak ten ksiądz odpowie, jako jest sprawiedliwy i nikomu krzywdy nie wyrządził... A złe ino się znowu rozrzechotało i powiada: »A pamiętasz, ojcie duchowny, jakeś to biednej kobiecie, kiedyś jeszcze był małym i we szkołach,

wyrwał marchew z pola?» »Włożyłem-cię na to miejsce grosz, nie wyrządziłem przez to krzywdy nikomu«, ksiądz na to... Tak to złe powiada: »A czy ty wiesz, że ona biedna kobieta grosz ten znalazła?» I znowu się rozrzechotało, aż się cały kościół zatrzęsł, ale opuściło onego człowieka, jako ksiądz miał większą moc nad złem, bo był sprawiedliwy... Tak ja sobie myślę...

WOJTASZEK *przerywając.*

A czy ty wiesz, Walek, co myśli wrona na dachu, kiedy się strzepnie?... Wrona, myśli, że jak chłopcy młocą żyto w stodole, podstawiają deskę na śnieg i posypią plew — — —

WALEK *niecierpliwie.*

Tak przyjdą wróble, chłopcy pociągną za sznurek i wtenczas wszystkie wróble ani mru mru...

WOJTASZEK.

A nie mówiłem ci! Napiłeś się wódki, takeś stał się od razu mądry... No! jeszcze raz!... *Podaje mu butelkę, napiwszy się sam.*

WALEK.

Nie chce mi się... Abo daj... Będzie mi lepiej; masz prawdę... *Pije, a potem nawracając do opowiadania.* Tak ja sobie myślę: pójdę i ja do naszego proboszcza, może on co poradzi na to wszystko... Tak poszedłem i powiadam: »Tak i tak, jako ojciec jest tyran nademną, jako mi nie chce dać gruntu, który mi się po prawie należy«. A ksiądz na to: »Ja nic nie poradzę«. I powstał na mnie, że jestem niedobry człowiek i grzesznik, że narobiłem gminie i całej parafii wstydu przez to, że widzieli mnie ludzie z Małgosią... »Małgosia jest moja, powiadam, i poprowadzę ją do ołta-

rza...« I opowiedziałem tę przypowieść o tym sprawiedliwym księdzu i powiadam: »Ha! ojczy duchowny! nie możesz na to nic poradzić, nie masz mocy, aby wygnać złe, które opętało mojego ojca; widno, że niema sprawiedliwości ani na świecie, ani w tobie... Ale ja sobie sam zrobię sprawiedliwość!...« Tak on powstał i precz mnie wygnał... Tak! zrobię sobie sprawiedliwość sam!...

Słońce skazuje na pierwszą... Kazałem jej powiedzieć: »Przyjdź, pogadamy o swojej niedoli, ucieszymy się...« *Naraz do Wojtaszka, który przy ostatnim ustępie opowiadania, położył się twarzą na snopek. A możesz ty jej nie powiedział, Wojtaszek?*

WOJTASZEK *zrywając się.*

Co nie miałem powiedzieć... Powiedziałem jej, że gdyby gąsior nie był gąsiorem, toby był kurą. *Odwracając się od sceny spostrzega Małgosię w dali.* Ale bądź zdrów! Słońce spadło z nieba i przywlokło się na pole, zamiast się schować do ciotczynej komory... Bądź zdrów! Nie chcę patrzeć, jak wróble letą na plewy pod deskę.

WALEK.

Co? co?

WOJTASZEK.

Nic! nic! *Odchodzi.*

WALEK *sam.*

Tak! niema sprawiedliwości na świecie!... Ale zrobię ją sobie!... Zrobię ją sobie sam. *Wchodzi Małgosia.* Bogu dzięki, że idziesz... Takie miałem straszne myśli... Czekałem i czekałem, aż mi się ckno zrobiło... Żeby nie ten kuternoga Wojtaszek, to nie wiem...

MAŁGOSIA.

Walek? Walek? czemu ci się tak oczy świecą? Piłeś?...

WALEK.

Poczęstował mnie żdziebłkiem wódki ten Wojtaszek...
Ale czemu tak późno przychodzisz? Czemu nie przyszedłś prędzej?

MAŁGOSIA.

Nie mogłam.

WALEK.

A co się z tobą działo?

MAŁGOSIA.

Zamknięta byłam w komorze.

WALEK.

Co? zamknięta byłeś w komorze?... Rozumię teraz
twoją zagadkę, Wojtaszku!... Kto cię zamknął?

MAŁGOSIA.

Ciotka.

WALEK.

Ciotka? A to dlaczego?...

MAŁGOSIA.

Przyszedł ojciec i zaczął ją lżyć, że mnie przetrzymuje u siebie... Jak ino go ciotka zobaczyła na drodze, tak ci zaraz powiada: »Idzie ten cholerny, będzie nie-szczęście, schowaj się, bo uciec z chałupy już nie mo-żesz«. I zamknęła mnie w komorze.

WALEK.

A jak wypęszył*), żeś jest u ciotki?

MAŁGOSIA.

Nie wiem... Jak mnie wtenczas wygnał z chałupy, tak poszłam do ciotki, bo mi kazała matka. Przenocowałam; na drugi dzień przyszła matka i powiada, że lepiej będzie, jeżeli pójde ze wsi, bo ojciec się nie uspokoił... Tak udałam się do Międzyborza, gdzie siedzi na swoim rodzony brat mojej matki. Ale on mnie przyjąć nie chciał, »bo, powiada, ojciec jest dobry człowiek, ale jak się rozgniewa, to niema z nim rady«. Takem związała znowu tobołek i wróciłam. Ciotka wszystkim przykazała, aby była tajemnica... Ale kto się ustrzeże złego?... A może nawet zdradził w swojej głupocie ten Wojtaszek, któregoś przysłał po mnie?... Wiesz, że Wojtaszek lubi się przypochlebiać za kieliszek wódki i może zdradzić.

WALEK.

Nie było nikogo pod ręką, sam nie chciałem się pokazywać, żeby nie było gorzej...

MAŁGOSIA.

Jak ojciec sobie poszedł, tak wybiegłam z komory i przez ogrody przyleciałam tu, jako już było późno... Mam ci wielki strach, żeby czasem ojciec nie wyszedł, gdzie jestem i nie przyszedł tu.

WALEK.

A! teraz rozumię te jego zagadki.

MAŁGOSIA.

Co mówisz?

*) Wyśledził.

WALEK.

Nic! Nic!... Rozumię: »Mięta wiła się po płocie, a Cierpik ścierpł!...« O ty psie, Wojtaszku! Zdradziłeś! Zdradziłeś!... Ale niech!... Abo my to robimy co złego?

MAŁGOSIA.

Co ty gadasz do siebie? toć przecie powiedz!...

WALEK.

Nic! nic! mówię ino tyle, że nie robimy nic złego... Niechby ino się jeden abo drugi poważył co pisać!

MAŁGOSIA.

Walek! ja się ciebie boję! Tajemnice masz przedemną.

WALEK.

Nie! nie! Mówię ino tyle, że nie robimy nic złego.

MAŁGOSIA.

Juści, że nie robimy nic złego... Ach! żebyś ty wiedział! Żebyś ty wiedział, co ten rodzony ojciec na mnie gadał... Lepiej umrzeć, niż takie życie prowadzić! *Płacze.*

WALEK *ostro, z odcieniem bólu.*

Nie płacz! Uspokój się...!

MAŁGOSIA.

Powiedział do ciotki: »Przetrzymujesz w swoim domu ostatniego tłuka, jako ci na dobre to nie wyjdzie« — powiedział. Ciotka się sumituje, że mnie niema, a ojciec na to, że do jednego grzechu dodaje jeszcze drugi, bo kłamie. »A, powiada, żeby jeszcze było kłamać

dla kogo, ale, powiada, dla takiej bezwstydnicy, która ino jest na hańbę familii i całej wsi...»

»A, powiada, jak ją przetrzymujesz, to będziesz musiała przetrzymywać i jej bękart...» O mój Boże! o mój Boże!... O moja nieszczęśliwa dolo! Lepiej się utopić, jak zrobiła ta biedna Salusia Orczykówna, z którą tak samo było, jak ze mną... Już teraz cicho sobie śpi... Lepiej się utopić! lepiej się utopić!...

WALEK.

Małgosia! jestem spokojny człowiek, umię warować jak pies, ale jak mnie kto ugryzie, tak niema zlitowania. Ugryźli ciebie! okropnie cię ugryźli, a to tak samo, jakby mnie ugryźli... Zemszczę się na wszystkich.

MAŁGOSIA.

Nie mów tego, Walek, to grzech śmiertelny!...

WALEK.

Grzech czy nie grzech!... A nie jest grzech człowieka niewinnego deptać jak jaki gnój, targać jak jakie słomsko?

Powiedz, gdzie tu jest sprawiedliwość?... A co ty zawiniła, abo co ja zawinił? abo co zawinił ten bękart, którego jeszcze niema na świecie? Czego oni ci go wytykają? Jeżeli bękart, to mój bękart, a nie czyj inny! I ty jesteś moja, już im to raz powiedziałem, żeby się świat miał skończyć!

MAŁGOSIA.

O mój jedyny!... Nasi ojcowie nie chcą, żeby ja była twoja, a ty żebyś był moim... Mój ojciec powiada: »Straciłem wszystko! Stary Mięta — niby twój ojciec — dołki podemną kopie; zemszczę się, żeli nie na starym, to na młodym, który się także przyczynił do mojego nieszczęścia«.

WALEK.

Kto? ja?

MAŁGOSIA.

Ty, powiada, ty! Powiada, że gdyby to się nie stało, to byłabym dostała innego chłopą, coby miał choć kilka zagonów roli...

WALEK.

I tobie żal tego?

MAŁGOSIA.

Nie mnie, ino ojcu... Zawszeć, powiada, byłoby lepiej, aniżeli za fabrycznego popychacza.

WALEK.

A! psy!

MAŁGOSIA.

Jeszcze, powiada, że gdyby ojciec tobie zapisał grunt, to jakośby jeszcze, powiada, było, uwiesiłby się przy nas i choć na twojej ziemi, toby pracował, a okrutnie lubi pracować w roli.

WALEK.

Będę miał grunt! będę miał grunt! Powiadam ci, będę miał grunt! Uwiesi się przy nas, będzie mógł pracować w roli.

MAŁGOSIA.

Nie będziesz miał, Walek! nie będziesz miał gruntu! Wszystko się skończyło! Macocha wchodzi w dom... Jutro wesele!... Wszystko się skończyło!... O jakęś ty mnie unieszczęśliwił!... Walek, Walek! jakęś ty mnie unieszczęśliwił!...

WALEK.

Co? i ty jeszcze na mnie?...

MAŁGOSIA.

Nie na ciebie!... Ino co ja teraz pocznę!... Utopię się, abo co!... Ah! ratuj mnie, Walek... *Z tyłu nad-szedł Cierpiak i schwyciszy ją za za włosy, zdart jej chustkę z głowy.*

CIERPIK *pastwiąc się nad córką.*

Mówiłem ci, idź sobie, gdzie cię oczy poniesą, a ty, zamiast tego, pod mędle chodzisz? Ty suko! Za białego dnia!... W samo południe!... Przedtem tłukłaś się przynajmniej wieczorami, kiedy miesiąc świecił, kryłaś się za stodoły!... A teraz w szczerem polu, za białego dnia, w samo południe.

WALEK.

Panie-ojczy!... *Chwyta go za gardło jedną ręką, a drugą chce mu wydrzeć Małgosię, która wijąc się po ziemi, jęczy i woła:*

MAŁGOSIA.

Zabije mnie! zabije mnie!... Tatusiu! zlitujcie się nademną!... Walek, ratuj!...

CIERPIK *odpychając Walka.*

Ostatni pies niech ci będzie panem-ojcem, ale nie żyjący człowiek!... *Do Małgosi.* Ty bezwstydnico!...

WALEK.

Puściecie, bo was tutaj zetrę na miazgę, chociażście stary i ojciec...

CIERPIK *broniąc się.*

Ty psie! rzucasz się na starego?... I ty chciałeś być moim zięciem?... Ty psie!

WALEK.

Nie macie litości nad rodzoną córką, ani nad nikim... Jesteście gorszy od Heroda... Na miazgę was rozłukę!... Zrobię sprawiedliwość... Skórę wam zedrę z obmierzłego cielska.

MAŁGOSIA.

Tatusiu! tatusiu! miejcie zlitowanie!... Walek! Walek! daj spokój... Miej ty chociaż Pana Boga w sercu...

WALEK *puszczając Cierpiką.*

Myślałem, że złe ominęło was przynajmniej, a widzę, żeście nic nie wart, a i ta nic nie warta, żal jej, że nie dostanie innego chłopca...

MAŁGOSIA.

Walek! Walek! o mój jedyny! nie mów tak!...

CIERPIK *kopiąc ją.*

Co? twój jedyny... Bezwstydnico! twój jedyny? *Zjawia się Mięta.*

MIĘTA *podchmielony.*

Cóż to widzę, kumoterku!... Cierpiku!... Rajfurzyciel! Doprowadzacie córkę do tego — i to pod mędle... Fi! fi!... Kiedy słonyszko świeci żywe na niebie!

CIERPIK.

Pijanico stary!...

MIĘTA.

Nibyście wy młody... Krzyż macie wiśny, jak jaki młodziak... He! he! A Jagna kontenta z was, żeście taki młodziak?... he?...

CIERPIK.

Nie chcę ja się plugawić z tobą...

MIĘTA.

Rozumię! rozumię wszystko!... Nie możecie inaczej przyjąć do majątku, uratować się od supasty, tak przynajmniej przez zięcia... A, żeby było pewno, tak doprowadzacie... Rozumię!... Rozumię...

CIERPIK.

Milcz, ty dziadu!...

MIĘTA *zwrócony do Waleka i Małgosi.*

A! jak kwiatyszki, tak wyglądają... Zbiedziło się nieboractwo...

WALEK.

Ojczy! bo mi jest tak dzisiaj, że na nic nie uważam.

MIĘTA.

Rozumię! rozumię! Nie uważasz nawet na to, że jasny dzień i że mędle, to nie żadne stodoły... A co? Cierpiku! Kumoterku! Ładna parka!... Fabryczny popychacz i córka peknera, który pójdzie jutro zdechnąć pod płótem kościelnym. A juści!... Ja ze ślubu do chałupy, do miemieckich groszy, ze żoną — tak! ze żoną! a ty ze supasty pod kościół. Ha! ha! z torbami pod kościół...

CIERPIK *dolatując do niego.*

Tego już zanadto!...

MAŁGOSIA, *która przez ten czas siedząc skulona, patrzyła w osłupieniu, co się dzieje.*

Tatusiu!

CIERPIK.

Precz, suko!...

WALEK.

Ojczel!... *Starając się miarkować.* Ojczel!

MIĘTA.

Tak! ojczel! panie-ojczel!... Chodźcie razem na żebry!... A wyprawiliście skórę z tego szkapska, co wam padło?... To dobre na sakwy!...

Wy na żebry, a ja ze ślubu — tak! tak! synu!... Małgosia! synowo moja! Będziesz nosiła jeść do fabryki w dwojaczkach... Nie będzie czasu chodzić pod mędle. A pod czyje byś miała chodzić? Grunt mój!

WALEK.

Ojczel!... bo wam stary łeb rozplątałem...

MIĘTA.

Dobrego będziesz miał zięcia, Cierpiku!... Chce się rzucić na własnego ojca; chce go zabić.

CIERPIK.

Dobrzeby zrobił... *Do Małgosi.* Idź!...

MIĘTA.

Dobrzeby zrobił? No, synu! zabij! Będziesz miał grunt i tysiące i Małgosię. Będziesz miał mędle...

WALEK.

Ty tyranie! ty rozpustniku! ty siwy psiel! *Rzuca się na niego.* Małgosia wyrywa się ojcu i rzuca się pomiędzy *Walka* i *Miętę*.

MAŁGOSIA.

Walek! Walek! co robisz?

WALEK *trzymając ojca za gardło.*

Robię sprawiedliwość!... A ty idź! żałuj, że nie dostaniesz innego chłopca, żałuj, że cię unieszczęśliwił!

MIĘTA.

Ratunku! Morduje mnie własny syn.

WALEK *dusząc ojca.*

Nie morduję, ino robię sprawiedliwość!... Tak! stary psie! za moje młode życie!... Masz żeniączkę!... masz grunt! masz pieniądze. *Podczas tego usuwają się na dalszy plan sceny.*

MAŁGOSIA.

Walek! Walek!... Ratunku!

CIERPIK.

Precz! niech się mordują te psy!... Świadków nie potrzeba. *Wpada Jagna.*

JAGNA *do Cierpika.*

Wojtaszek po wsi opowiada, że pomstujesz... Tchu już nie mam w sobie! Co ci to biedne dziecko zawiniło?...

CIERPIK.

I ty jeszcze? I ciebie zabiję...

JAGNA.

Zabij mnie!... Zabij!... Ale już raz daj spokój tej nieszczęśliwej dziewczynie. A tam co się dzieje? *Spostrzega Walka duszącego ojca.* Walek, co robisz?

WALEK.

Sprawiedliwość!...

JAGNA.

Ratunku! ratunku!...

Wchodzą żniwiarze.

JEDEN ZE ŻNIWIARZY.

Co to jest? Miasto Panu Bogu dziękować za szczęśliwe żniwa, to wy się w szczerem polu chceta mordować!... Chłopy! dalej!... Niech nie robią obrazy boskiej!... *Przylatując do Walka*. Cóż to? Ojciec ledwie dycha... Chłopy! udusił ojca! O ty zbrodniarzu! coś ty zrobił?

WALEK.

Zrobiłem sprawiedliwość!... A teraz jeszcze z tamtym skończę... *Chce się rzucić na Cierpika; przytrzymują go żniwiarze i wiążą, inni zabierają Miętę, który dogorywa.*

MAŁGOSIA.

Coś ty zrobił Walek! coś ty zrobił... Unieszczęśliwiłeś mnie i siebie... Zrobię i z sobą koniec! *Wybiega. Zamieszanie w którym ginie Cierpić.*

JAGNA *za uciekającą Małgosią.*

Małgosia! Małgosia! o ja nieszczęśliwa matka!

ZASŁONA SPADA.



ODSŁONA PIĄTA.

Scena jak w drugim akcie, za otwarciem drzwi izdebki widać zwłoki Małgosi, złożone na piasku, przykryte białym prześcieradłem.

JAGNA porządkując w izbie, szepce pacierz.

»Ojcze nasz, któryś jest na niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jak w niebie tak i na ziemi... Jak w niebie tak i na ziemi... O Boże! wszechmogący Boże! bądź wola Twoja, jak w niebie tak i na ziemi...« *Zamyślając się.* Juści to, powiadają, śmierć jest ino przejściem do lepszego życia... Pan Bóg zabiera wszystkich do siebie, a kiedy człowiek zemrze młodo, to ma największą zasługę... Pan Bóg zabiera wszystkich do siebie, żeli są bez śmiertelnego grzechu na duszy... A juści, powiadają, kiedy umrze dziewczyna, to ją Pan Bóg stawia koło tronu Najświętszej Panienki, co jest jako zorza, abo jak ranna jutrzienka... I stoją tak wszystkie, które zeszyły z tego świata, w bieli i z zieleniejącymi gałązkami w rękę i śpiewają hymny... Takem czytała w tej książce o świętej Teresie... O dziecie moje! o córko moja najdroższa! Jedyna to jeszcze pociecha dla mnie, że staniesz koło tronu Przenajświętszej Panienki w bieli i z zieleniejącą gałązką w rękę, jako żyłaś na tym

świecie bez skazy... Bez skazy?... A to?... O Boże!
Boże! bądź wola Twoja, jak w niebie, tak i na ziemi...
O ja nieszczęśliwa istota! nawet pacierza z tego wszyst-
kiego nie mogę dokończyć!... *Kłękając, modli się pół-
głosem.* »Ojcze nasz! któryś jest na niebie, święć się
imie Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola
Twoja, jak w niebie tak i na ziemi...« jak w niebie
tak i na ziemi.

Wchodzi kumoszka.

KUMOSZKA.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

JAGNA *wstając od łóżka, przy którym kłęczała.*

Na wieki wieków. Amen. Witajcie do nas, kumoszko.

KUMOSZKA.

Bóg zapłać... Przyszłam was też pocieszyć w tej wa-
szej wielkiej żałości i zobaczyć sobie tę biedną Mał-
gosię.

JAGNA.

Bóg wam zapłać... Leży w izdebce na piasku. Idźcie,
zmówcie chociaż z jeden wieczny odpoczynek za jej
duszę... *Kumoszka wchodzi do izdebki. Jagna załamu-
jąc ręce.* Jak się to wszystko skończyło! jak się to
wszystko skończyło... Czy ja to myślałam, o córko
moja, że taki będzie twój koniec, kiedyś na świat
przyszła?... Czy ja się tego kiedy spodziewałam, że
zamiast do ołtarza, to cię poprowadzą do grobu?
O leliko moja! o ruciany mój kwiatyszku! Jeszcze
żebyś była zachorowała, żebyś była umarła swoją
śmiercią — ale tak!... O ja nieszczęśliwa matka!...
Straciłam ostatnią nadzieję, ostatnią pociechę! straci-
łam już ostatni skarb na świecie...

KUMOSZKA *wychodząc z izdebki.*

Zmieniła się do niepoznania. Dawniej była jak cud!... Sliczności!... Co to może taka woda.

JAGNA.

Mówiła do mnie: »Nanusiu! nic się nie zmieniło! on się nie zmienił i ja się nie zmienię«, a teraz śmierć ją zmieniła do niepoznania, a on — jak się to wszystko zmieniło! jak się to wszystko zmieniło!...

KUMOSZKA.

Jak go prowadzili żandarmy do miasta, tak był jak bezprzytomny... Pytał się ino, czy już znaleźli Małgosię w jeziorze... Ale te żandarmy to ino go ofuknęły i powiedzieli jakieś słowo, widno, niemieckie przekleństwo, że ma być cicho, jako jest zbrodniarz i nicpotem, bo udusił własnego ojca. Tak on zamilkł... Ale, kumoszko, przeżegnajcie się krzyżem świętym, weźcie Boga na pomoc i znieście to wszystko.

JAGNA.

O! już ja tego nie wytrzymam, już ja nie mam sił na to wszystko?... A nie pastwili się nad nim?

KUMOSZKA.

Nibyć tego ludzie tak dokumentnie nie widzieli... Ale to ino było, że jak mu nakładali kajdany na ręce, tak jeden z tych żandarmów zaczął go bić, jako Walek nie chciał się dać okuć, bo, powiada, to nie potrzebne, ja, powiada, pójdę sam, gdzie ino chceta...

Wchodzi Cierpić.

CIERPIK *do kumoszki.*

Jak się macie, kumoszko?...

KUMOSZKA.

Bóg zapłać...

JAGNA *do Cierpika.*

Byłeś u księdza?

CIERPIK.

Byłem, ale nie zastałem go w domu.

JAGNA.

Tak nic nie wiesz?

CIERPIK.

Nie... Ino prosiłem Idzikiewicza, ażeby pomówił z księdzem względem tego pochowku. Idzikiewicz przyrzekł, że jak ino ksiądz powróci z tego swojego spaceru, tak z nim zaraz pogada.

KUMOSZKA.

Ja bo myślę, że tam niema nic do gadania; proboszcz wie, jako nie opływacie w dostatki, tak też i pokropi za dobre słowo i świece i chorągwie wziąć pozwoli, a może nawet sam odprowadzi na ten smętarz, jako wie, że Małgosia była dobra dziewczyna...

JAGNA *wybuchując.*

Czy ja się tego spodziewała kiedy, że zamiast cię pokropić przy ołtarzu w tę godzinę ślubowania, to cię ksiądz będzie kropił w kruchcie!... Czy ja się tego spodziewała!...

CIERPIK.

Jagna, cicho!... bo mnie się samemu serce kraje na to wszystko...

JAGNA.

Teraz ci się serce kraje, a kto temu wszystkiemu winien?...

CIERPIK.

Jagna, mówię ci, bądź cicho...

KUMOSZKA.

No, niech wam tu Bóg dopomoże; muszę ja też iść do swojej roboty... A wy, kumoszko, nie żorujcie tak bardzo. Bóg dał, Bóg wziął, juści we wszystkim jest wola Pana Boga... Zostańcie z Panem Jezusem...

JAGNA.

Idźcie, kumoszko, z Panem Jezusem... Bóg wam też zapłaci za tę waszą pamięć i za to wasze dobre serce...

Kumoszka odchodzi.

CIERPIK.

Kobietko! nie narzekaj! nie lamentuj tak bardzo! juści jest prawda, że we wszystkim jest wola Pana Boga...

JAGNA.

Ty masz twarde serce, jak ten głaz, ale ja wytrzymać nie mogę... *Wybuchując.* O nieszczęśliwy człowieku! czegoś ty narobił! czegoś ty narobił!

CIERPIK.

Jestem grzeszny człowiek!... Narobiłem złego... Ale, Jagna, proszę cię jeszcze raz, bądź cicho, miej choć ty litość nademną! głowa mi trzeszczy, że dziw nie pęknie...

Wchodzi kościelny.

KOŚCIELNY.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

JAGNA.

Na wieki wieków. Amen. Witajcie do nas.

KOŚCIELNY.

Bóg zapłać, Bóg zapłać...

JAGNA.

Mówiliście z proboszczem?... Przebaczenie, że tak się was zaraz pytam, ale sami widzicie, w jakim my to kłopotcie i smutku. Usiądźcie.

KOŚCIELNY *siadając*.

O, psu nie życzyć tego, a cóż dopiero chrześcijańskiemu człowiekowi! Nie mam wam tego za złe... A co się tyczy proboszcza, to mówiłem...

JAGNA.

I co? a pójdzie też ta nowa chorągiew, którą przeszłego roku sprawiło bractwo Matki Różańcowej?... Małgosia była przecie też w różańcu świętym.

KOŚCIELNY.

Jak ino przyszedł proboszcz do domu, tak ja do niego — jako mam zawsze przystęp — i, pochwaliwszy Pana Boga: »Tak i tak«, powiadam, »Cierpikom złoto z dachu nie kapie, teraz nawet supastacya na nich przychodzi, więc też, powiadam, pochować tę nieszczęśliwą albo darmo, albo co... Może, powiadam tak delikatnie, dać i świece, choćby te żółte, niekoniecznie te z białego wosku, niepotrzeba zaraz najlepszych, no i, powiadam, jedną i drugą z tych chorągwi, które tam stoją, powiadam, za ołtarzem na wypadek... Nic im, powiadam, nie będzie, deszczu niema, więc też, powiadam, nie zepsują się tak od jednego razu, chociaż pójdą darmo. Cierpik, powiadam, i na ochfiarę przed-

tem dawał, więc też, powiadam, nie zawadzi zrobić dla niego ten miłosierny uczynek...

JAGNA.

No, i ksiądz przystał na wszystko... Niech mu to Pan Bóg tysiącrotnie wynagrodzi, jako miał zlitowanie nad naszym całym domem...

KOŚCIELNY.

Gdzież przystał... Jak mógł przystać! Kobieto! nie grzeszcie, nie mógł przystać na żaden sposób!...

JAGNA.

Nie mógł przystać na żaden sposób, mówicie?...

CIERPIK.

Jak to nie mógł przystać?...

KOŚCIELNY.

O prości ludkowie! nawet tyle rozumu nie macie w swoich głowach, ażeby wiedzieć, że na to nie mógł przystać żadną miarą...

JAGNA.

A toć nie bierzcie nas, panie Idzikiewicz, na tortury, ino rzeknijcie od razu, dlaczego nie mógł przystać...

KOŚCIELNY.

Jak mu to wszystko powiedziałem, tak powiada do mnie z gniewem: »Co to? i tobie przewróciło się już w głowie, że nie wiesz, jakie jest prawo?... Mnie taki kościelny, co się nie zna na prawie, wcale niepotrzebny!...« Tak, wiecie, powiedział.

CIERPIK.

A co tu ma prawo?...

KOŚCIELNY.

Juści nie żadne prawo sądowe, ino prawo kościelne...
Co ja teraz zrobię? Straciłem dla was łaskę proboszcza!...

JAGNA.

Na miłość Pana Boga, mówcie, jakie tu jest prawo?...

KOŚCIELNY.

Juści takie jest prawo, nie żadne sądowe ino kościelne —
»jest takie przykazanie« — powiada proboszcz do mnie — »słuchaj! powiada, ty stary kpie, »ty stary kpie«, powiedział do mnie, wyraźnie »ty stary kpie!« i to wszystko przez was — »jest takie, powiada, przykazanie, że jeżeli człowiek nagle umrze, a nie wypowiada się, dlatego się jedynie nie wypowiada, jako żadną miarą wiedzieć nie mógł, że mu przyjdzie nagle umrzeć, wtedy, powiada proboszcz do mnie, chrześcijański pogrzeb może być dopuszczony, jako ów-ci człowiek umarły byłby się wypowiadał, gdyby był wiedział, że musi nagle umierać« — ale inna jest rzecz z waszą córką...

CIERPIK.

Jaka tu inna rzecz?...

JAGNA.

Mówcie już raz, jaka tu inna rzecz?!

KOŚCIELNY.

Tutaj jest rzecz taka: Wasza córka wiedziała o tem, że umrze nagle, bo juści przecie, wiadoma jest rzecz, że odebrała sobie życie sama, więc też, powiada proboszcz do mnie: »Chrześcijański pogrzeb być nie może; to sprzeciwia się prawu; wykopiesz jej, powiada, grób pod płótem, w samym kącie smętarza, na

niepoświęconem miejscu, koło grobu tego Kruszki, co się przed kilkoma laty powiesił z wielkiego pijaństwa».

JAGNA *wybuchując.*

O mój Boże jedyny! O mój litościwy Boże!... Czego ja się doczekała na stare swoje lata!... O córko moja nieszczęśliwa!... Na niepoświęconem miejscu, pod płótem masz leżeć! w samym kącie smętacza masz leżeć! koło grobu Kruszki, co się powiesił z wielkiego pijaństwa!... Mówiła stara Obojczykowa, kiedyś przysłała na świat, mówiła przy oględzinach: »Cieszcie się, urodziła się pod dobrą gwiazdą, jako jest przemiana na niebie, przemiana miesiąca, powiada; i żyłkę ma pomiędzy oczkami, a to znaczy wielkie szczęście... Delikatniuchna jest, stworzona jest na wielką panią!...« Doczekałaś się wielkiego szczęścia! doczekałaś się, córchu, wielkiego państwa! Nawet nie masz być pochowana, jak każdy inny chrześcijański człowiek, a ino na niepoświęconem miejscu mają ci dół wykopać, pod płótem, w kąciu smętacza, koło grobu tego Kruszki, co się powiesił z wielkiego pijaństwa... I to wszystko przez ciebie, ty nieszczęsny człowieku: katowałeś ją! wypchnąłeś z domu! obszedłeś się z nią gorzej, aniżeli z psem! gadziny się nie wygania z chałupy!...

CIERPIK.

Jagna! cicho!... serce mi się kraje i głowa trzeszczy, dziw nie pęknie...

JAGNA.

W kąciu pod płótem!... O nie! nie!... nie dopuszczę! Pójdę sama do księdza, padnę mu do nóg: »Księżyczku, powiem, ulituj się nad nieszczęśliwą matką! niech ma chociaż jedną pociechę! Ulituj się! ulituj!« *Zabiera się do wyjścia.*

KOŚCIELNY.

Na nic wam się to nie przyda, wszystko iść musi wedle prawa. Ksiądz zagniewany jest bardzo — powiada: »W żadnej parafii się to nie dzieje, co w jego: syn zabija własnego ojca, dziewczyna różańcowa chodzi za stodoły i potem jeszcze odbiera sobie życie, którego sobie nie dała...« *Za wychodzącą.* Nie chodźcie. Nie chodźcie, to na nic! wszystko musi iść wedle prawa.

CIERPIK.

Niech takie prawo!...

KOŚCIELNY.

Bezbożny człowiek jesteście! Pożegnaj was; muszę iść do tego Mięty; jakiś pogrzeb będzie; zawsze sobie życia sam nie odebrał, a ino uduszony został przez rodzonego syna... Zostańcie z Bogiem!... A folcyer jeszcze nie był? Wróbla widziałem we wsi... Zostańcie z Bogiem. *Wychodzi głównymi drzwiami.*

CIERPIK *sam.*

I to wszystko przez ciebie, ty nieszczęsny człowieku!... Katowałeś ją!... Wypchnąłeś ją z domu!... Obszedłeś się z nią gorzej, aniżeli z psem!... Gadziny się nie wygania z chałupy. Gadziny się nie wygania z chałupy, a ja wygnałem swoją własną krew!... O dziecko moje jedyne!... A czy ja mogłem pomyśleć, że taki będzie koniec?... Mówiłem sobie w duszy: »niech pójdzie w służbę, dopóki moja złość nie przeminie...« Nie śmiałem oczu podnieść na ludzi, jako w naszym rodzie nie było nigdy żadnej hańby!... A mawiał mi ojciec nieboszczyk, kiedy miał ślubować: »Nowe rozpoczynasz życie! wielki na siebie bierzesz obowiązek; pamiętaj, abyś zawsze żył po bożemu ze swoją... A dzieci chowaj podług przykazania: jak zobaczysz, że twój syn, abo twoja córka grzeszy ręką, tak utnij

rękę, bo lepiej stanąć po prawicy z jedną ręką, aniżeli iść na potępienie, mając ręce obie...» Wszystko się tak naraz zważyło na moją głowę, jako ten piasek, kiedy się ustępuje góra. Zabierają mi zagon, na którym człowiek harował od młodości... Wyganiają mnie z chałupy, widziałem, w której doczekałem się starych lat... Co znaczy mi już życie bez córki, bez roli, bez własnego dachu!... Mięto! nie żyjesz i ja już nie żyję!... Spotkamy się na tamtym sądzie jeszcze dziś... A co mi było zazdrościć innym, że zrobili interes na Miemcach?... Byłem chciwy!... Boże! bądź miłościw mojej grzesznej duszy... A co mnie było prześladować tego Walka, co po bożemu chciał poprowadzić do ołtarza moją nieszczęśliwą córkę?... Byłem chciwy!... Byłem pyszny!... Nie chciałem, aby ludzie powiedzieli: »Nie mógł znaleźć cieplejszego miejsca dla swojej shańbionej córki, tak ją oddał za fabrycznego popychacza!...« Boże! bądź miłościw mojej grzesznej duszy... Chciałem się zemścić i zemściłem się na swej własnej córce... *Zwracając się ku drzwiom izdebki.* O dziecko moje jedyne! nie sama będziesz leżała pod płotem, w kąciку smętarza, na niepoświęconem miejscu!... Boże! bądź miłościw mojej grzesznej duszy!... Przebacz mi moje grzechy!... Mam na sumieniu Miętę, który, sam nie wiem dlaczego, był moim wrogiem. A czy nie stoi w przykazaniu: »abyście miłowali nieprzyjacioły wasze?...« Boże, bądź miłościw mojej grzesznej duszy!... Mam na sumieniu Walka, mam na sumieniu Jagnę, co wypłakuje oczy, mam na sumieniu jedyniącą córkę. Tak! abo tak!... Nie!... tak! tak! tak!... A co robi Jagna?... Ulitują się nad nią prędezej, aniżeli, gdyby została ze mną. Zresztą, co ja jej dam?... Stary jestem, pracować nie mogę, a tu wszystko już zabierają!... Całą chudobę! całą ludzką chudobę! wszystką krwawą pracę, wszystek słony pot!... Ulitują się nad nią!... *Poza sceną głosy, zbliżających się ludzi; Cierpię spogląda w okno.* Teraz się już wszystko kończy!...

Przychodzą zabierać ostatki!... Tego mi nie zabiorą!
Wyjmuje sznurek z kieszeni. O córko moja! Nie żegnaj się z tobą! Zobaczmy się jeszcze dziś! Nie sama będziesz leżała pod płótem!... Jeżeli ty masz leżeć, to i ja niech leżę!... Oni tędy, a ja tamtędy!... Wskazuje na drzwi główne i na drzwi prowadzące do izdebki. Niech zabierają wszystko!... Glinie w izdebce. Za chwilczkę słysząc otwieranie okna w izdebce. Przez główne drzwi wchodzi komornik, Wróbel, lud, robotnicy.

WRÓBEL.

Mówili, robaszku! że Cierpik w chałupie... A gdzie on, robaszku?... Cierpiku! a gdzie wy?... Po swoje-m przyszedł, robaszku!...

KOMORNIK.

Sztyl! Nic nie gadać. Nie wasza rzecz... *Do tłumu zwrócony.* Idźcie, poszukajcie tego Cierpik — potrzebny jest.

JEDEN Z LUDZI.

A bo my to sługi czyje, żebym tak zaraz na żądanie mieli szukać kogo?...

KOMORNIK.

A czego wy tu przyszli?...

INNY.

Na licytację przyszlیم, mamy prawo.

KOMORNIK *do jednego z robotników niemieckich.*

Gehen Sie, suchen Sie den auf, mit diesem polnischen Vieh ist nichts anzufangen.

KILKU Z TŁUMU.

Kto »polszes Fi?«. Czy pan myśli, że my tego nie rozumiemy. He?...

KOMORNIK.

Co to jest?... Opór przeciwko władzy?... Po żandar-mów poszlę... *Przygląda się sprzętom i kontroluje w aktach.* Trzeba zobaczyć, czy nie sprzedała ta sa-kramencka bestya jakiego Geraethu.

WRÓBEL.

Juści, robaszku, sprzedać mógł, na moją krzywdę, ro-baszku.

KOMORNIK.

Mówiłem już raz, to nie wasza rzecz... *Wskazując w kierunku izdebki.* A tam co?...

WOJTASZEK *wysunąwszy się z tłumu.*

Tam jest ta, panie folcyer, co chodziła ryby łowić na jeziorze.

KOMORNIK.

Du Bestie! Kpisz sobie z królewskiego urzędnika?...

JEDEN Z TŁUMU.

Niespełna rozumu jest, półgłupi jest! ale nie kpi!...

JEDEN Z NIEMIECKICH ROBOTNIKÓW *wracając.*

Nirgends zu finden. Niema go nigdzie...

WOJTASZEK *wskazując na otwarte okno w izdebce.*

Chcieli ptaszka schwycić w gnieździe pod pułapem, a on im uciekł szparką.

KOMORNIK.

No! rozpoczniemy... Może przyjdzie... Ein Schrank! Szafa!...

JEDEN Z TŁUMU.

Ludzie! nie licytuj! żałoba jest! ludzka krew jest!...

INNY Z TŁUMU.

A bo to niema tutaj Miemców, co będą licytować bez nas?...

INNY Z TŁUMU.

Nie damy im... Panie folcyer! dziś licytować nie można! żałoba jest!...

WRÓBEL.

Robaszku! Żałoba, żałoba, a...

JEDEN Z TŁUMU.

Wy, dziadu, bądźcie cicho! Zbrodniarz jesteście... Chłopy! wyrzućta tego psa za drzwi... Nie dosyć jednej plagi na ten naród polski, jeszcze on marnuje ludzi...

INNI Z TŁUMU.

Wyrzucić go! a Miemcom zabronić licytować...

Kilku wypycha Wróbla.

Wpada jedna z kumoszek.

KUMOSZKA.

Chłopy! chłopy!... nieszczęście się stało!... Cierpik się powiesił!... Za stodołą Zielaznego — tak, żeby go nikt nie widział... Ja przypadkiem szłam przez zapłocie — zobaczyłam... O czy to się świat już kończy!...

Wybiega kilku chłopów.

KOMORNIK.

Co? powiesił się?... A gdzie żona? jedno tu potrzebne.

JAGNA *wpadając na scenę.*

Nie chciał przystać! Nie chciał przystać!... Co tu się dzieje?...

JEDEN Z TŁUMU.

Supastacya!...

JAGNA.

Niech zabierają wszystko! Dla mnie już życia niema...
A Cierpik gdzie?

JEDEN Z TŁUMU.

Żeli mamy prawdę powiedzieć, to nie żyje...

JAGNA.

Nie żyje? O Boże!... litościwy Boże!... Jak ty nas strasznie karzesz. Ale bądź woła Twoja, jak w niebie, tak i na ziemi.

ZASŁONA SPADA.



II

BUNT NAPIERSKIEGO

OSOBY.

ALEKSANDER KOSTKA NAPIERSKI, syn naturalny Władysława IV.
STANISŁAW ŁĘTOWSKI, zwany Marszałkiem, sołtys z Czarnego Dunajca.

MARCIN RADOCKI, rektor szkoły pcimskiej.

WIKTORYN ZDANOWSKI, podstarości nowotarski.

WASYL CZEPIEC, syn dzwonnika z Grybowy.

WOJCIECH ŁĘTOWSKI,

JARZĄBEK,

| młodzi górale.

KRZYŚ GAŚIENICA,

WILHELM JAROCKI, pułkownik dragonów biskupa krakowskiego.

GONIEC.

MOJSZE.

ŁĘTOWSKA, żona Stanisława.

HANUSIA, ich córka.

SALKĄ NIEZNANA.

SURA.

DZIEWCZYNA.

GAZDOWIE, GÓRALE z oddziałów Łętowskiego i Czepca.

DRAGONI, ŻYDZI.

Rzecz dzieje się 1651 r. Pierwszy akt w Czarnym Dunajcu, drugi (19 czerwca) i trzeci (24 czerwca) na zamku czorsztyńskim.

AKT PIERWSZY.

Izba w domu Łętowskiego.

Zwykłe urządzenie izb góralskich: ściany z heblowanych belek; naokoło ścian półki ozdobne w stylu zakopiańskim, na nich misy, talerze itd. Pod półkami na belkach dzbanki, roztruchany, pomiędzy tymi niektóre bardzo kosztowne, pochodzące widocznie z wypraw zbójnickich, prócz tego obrazy świętych, oraz przedstawiające sceny z życia legendowego Janosika. Na jednej ze ścian bogaty pas bacowski, noże zbójnickie, ciupagi, kilka strzelb etc. — W środku świetlicy duży stół, stołki, w kątach skrzynie.

HANUSIA, *dziewiętnastoletnia piękna dziewczyna, siedzi przy stole i szyje. Podnosząc głowę ku matce:*

Ze dwa miesiące, jak się zegnał ze mną, mówił, że wróci z Miśkiem i Gajdosiem i z naszym Wojtkiem, z Hornym i z Jarząbkiem jeszcze nim śnieżek na reglach stopnieje. Białe-ć są jeszcze granie i upłazy, ale ze smreczyn płachta już opadła, zielony meszek widać już na grapie, a jego niema. Boję się w swej duszy... Może go skuli, może jest w ciemnicy.

ŁĘTOWSKA, *lat około czterdziestu, zajęta sprzątaniem.*

Tego nie wiedzieć, ino, że Wawrytko, co do Orawy chodził na prześpiegi,

aby wybadać, czy nie powiesili
jego chłopaczka, zawitał już z drogi
i opowiada, że tam husarowie
schwycili jakichś górali i wszystkich,
niby ten kierdeł, przygnali na zamek.
Pytałam go się, czy pomiędzy nimi
nie dojrzał czasem Wojtka i Janosza
i resztę naszych, ale on nikogo
tamok nie poznał, bo, peda, to byli
hań! — od Jurgowa lebo też od Białki,
lebo Spizacy.

HANUSIA *uspokojona, później z rosnącym zapałem.*

Kamień spadł mi z serca,
cięższy, niż owy na czubie Świnnicy!...
Wiedzą, matulu: jużbyk nie patrzała
temi oczyma, inobyk je w słozach
gorzkich straciła, gdyby tak mój orzeł
marnie zaginon... Lecz on nie zaginie!
On-ci, gdy zechce, to, by ptak na skrzydłach,
tak się uniesie popod samo niebo,
że nasze hory to mu się tam widzą
nijak kamyczki, a szumny Dunajec
jak srebrna nitka, albo włosik siwy...
Wiedzą, matulu, on znalazł szabliczkę,
którą Janosik w wielkiej tajemnicy
zaciął w jaworze i zasię ją zaklon,
aby czekała, aż-ci przyjdzie po nią
taki sam junak, jak i on, i weźmie
do twardej ręki, by nas biednych ludzi
wyrwać z nieszczęścia, z niedoli... A wiedzą:
ma-ci on taką strzelbiczkę przy sobie,
że, jak się zmierzy, to za jednym strzałem
legnie na grani całe stado kozic...
A oko, wiedzą, ma jak szczery jastrząb:
na tysiąc kroków szelązek dostrzeże
i zaraz trafi... A niechby husary

chcieli go ścigać, już on im dogodzi...
Ja się nie boję...

ŁĘTOWSKA.

Nie dufaj! nie dufaj!

Mówią: Janosik nad wszystkie był chłopcy,
za kudły chwycił każdego niedźwiedzia,
łeb mu ozbijał, po wirchach chodzował,
niby czerwony rogacz, a po hałach
kiej głos rozpuścił, tak się siklawice
rozpryskiwały, mówią, by dżdże mgławce;
jak jaworowe cienkie gałązeczki
tak się turniczki trzęsły, a jak piasek
rozpadowały się orawskie mury,
kiej ów zahuczał, ten Janosik godny,
a przecież znalazł swoją śmierć niegodną
na szubienicy... Nie dufaj!

Wchodzi Wasyl Czepiec.

Do Czepca.

Przyszedłeś...

Już się dziewczyna stęskniła za tobą.

CZEPIEC, *ponury, młody junak.*

Gdyby to wasze słowo było prawdą,
na przywitanie rękę by podała.

Siada na ławie w kącie izby.

HANUSIA, *na której twarzy podczas opowiadania matki
malował się niepokój i zwątpienie, tak, że z rąk dziewczyny
wypadła materya, szyta przez nią, do Czepca:*

Może się obejść bez tego.

ŁĘTOWSKA *z niezadowoleniem do Hanusi.*

Waż putnię

i bież do doju... A ino już słychnąć,
kiej ojciec wróci z Pcimia od rektora —
rad się napije świeżutkiego mleka.

HANUSIA.

Gąsienicowa użyczyła sobie
naszej putniczki.

Do Czepca.

Możebyś haw, Czepiec,
nie wysiadował!... Hipnij po ten statek!

Do matki z spokojem i pewnością.

Prawdę gadają... ten godny Janosik
na szubienicy znalazł śmierć niegodną
przez to, że, widzą, krew niewinną przelał...
A skazowała mu jedna babinka:
»Do tela będziesz chodził po tym świecie,
pokił niewinnej krwi nie puścisz!...«

Do Czepca.

Widzą:

harnasia własna zdradziła frajerka
i za korale wydała Luptakom —
lecz mój Janosik, widzą, nie przeleje
niewinnej kropki i ja go nie zdradzę!...
Ja go nie wydám!... przezemnie nie zginié!...

CZIEPIEC.

Jeszcze nie było takiego zbójnika,
coby na rękę nie miał krwawej plamy,
jeszcze nie było takiej frajereczki,
coby swojego chłopca nie wieszała...

HANUSIA.

Mówię ci, Czepiec, idź po putnię!... Chybaj!
W kąt się wtuliłeś, bo cię jasność gryzie...
Złyś, tak i kraczesz, niby hawrań czarny.
Może żałujesz, żeś na zbój nie poszedł —
o tam! za Tatry!... Piękny z ciebie zbójnik!
Niewinne baby i dzieci katować,
a starościńskim dał się wiaść jak baran...
Koży ci doić i żentycę kwasić,

w doliny pędzić szkapska z obońkami,
żydom zanosić ser, szachraić z nimi
cztery godziny o jednego dutka,
nie odmierzować czerwone dukaty
w koszyckich kasach... Chybaj!

CZEPIEC *gniewnie*.

A idź sama!

Na szafasisku życia nie pędziłeś,
nikt mnie nie uczył brać się do puciery —
jeszczebym dzieżkę ozbił o twą głowę...

HANUSIA *drwiąc*.

Na szafasisku życia nie pędziłeś,
inoś siadował w grybowskiej dzwonnicy,
panom i łyczkom dzwoniłeś na chrzciny
i na wesela... Masz przyzwyczajenie,
widzisz, do sznura...

CZEPIEC.

Mówią, w samą porę
będzie i tobie potrzebny sznureczek —
mocny sznureczek! Trza się przepasować,
bo cię rozsadzi... Hospody, pomyśluj!
Na chrzciny tobie nie długo zadzwonią
a na wesele to jeszcze poczekasz.

HANUSIA.

Cicho!... Umilknij!...

ŁĘTOWSKA *podczas tej sceny zajęta sprzątaniem, nie
wiele zważała na rozmawiających, teraz, posłyszawszy ostate-
tnie wyrazy Czepca:*

Czepiec! coś powiedział
o jakimś sznurze? o chrzczinach?

CZEPIEC.

Nic.

HANUSIA zagadując.

Wiedzą:

pod szubienicą stał już wielki junak,
no i ten sznurek, zdjęty mu ze szyi,
wpakował sobie do mózgu, tak, widzą,
żał mu go było zostawiać katowi...

ŁĘTOWSKA.

Głupia dziewczucha, głupia... Nic dobrego
tak nie ugwarzysz... Zakrzątnij się w izbie,
zamieć świetlicę... będą goście u nas —
pójdę ja sama do Gąsienicowej.

Do Czepca.

Dziewucha głupia: wpadło jej w te oczy
bielutkie lico i ten wąsik ciemny
u Janosika... Ja na to nie baczę,
bo myślę sobie: niech ma radość swoją!
Śnieg spadł na smreki i stopniał; wiatr halny
przeczesał trochę buczynę i przewiał...
Tak jak haw przyszedł, tak i pójdzie sobie
suchaj-pędziwiatr... Z jakiej on dziedziny,
nawet nie wiedzieć... Czarnodunajecki
jużci on nie jest, ani zakopiański.
Z pod Klikuszowej byli u nas ludzie
i nikt go nie zna... Siedział z sześć miesięcy
w naszej dziedzinie, mówił, że z imienia
jest mu Janosik i tyła, że w halach
na koziem mleku tak-ci wychodował
tę swoją białość i tyła... Do Szaflar
poszedł na odpust w jakąś niedzielę
i tam się zaraz spiknął z harnasiami
i ku Orawie pognał... Powiedali,
że niby sokół leciał poprzez hory.

CZEPIEC wstając.

Podetnę ja mu skrzydełka — jej bohu!

HANUSIA.

Ciupagą łeb ci ozwali.

CZEPIEC *siadając*.

Tfu!

ŁĘTOWSKA.

Hanka!

Mówię raz jeszcze — słuchaj, nic dobrego
tak nie ugwarzysz: Czepiec jest dla ciebie!

HANUSIA.

Dla mnie jest hora, a nie kopczyk.

ŁĘTOWSKA.

Hora —

abo nie hora...

Zwrócona ku Czepcowi.

Ino to jest prawda,
że on tu wszystkim zadał jakby ziela,
które odurza... A toć i mój stary
uwidział sobie cuda w tym junaku; —
mówi, że z takim dobrze iść na pany,
bo ma odwagę, mówi, jak nikt w świecie.
Opowiadali, że jak brał te perły
z żydowskiej skrzyni, to-ci mu we włosach
uwiśło pięciu hajduków.

HANUSIA.

Nie! siedmiu,

mamiczko, siedmiu!

ŁĘTOWSKA.

Niech będzie. — On wszystkich
swoją ciupagą roztrzaskał od razu
i perły przyniósł Hanusi. »Na szyję« —
mówił — »królowej perły te przyniosł«.

Podchodzi do skrzyni, wydobywa kółka sznurów peret i pokazuje Czepcowi.

Uważaj: piękne!... Mówił, że w Warszawie
niema piękniejszych...

Zawiesza perły na szyi Hanusi.

»A zaśię« — powiedział —

»wam ja zebralek, sołtysie Łętowski,
krztynę czerwieńców...«

Zawiesiwszy perły, prezentuje Hanusię Czepcowi.

Widzisz, jak jej swarnie —

istna królowa!

Opowiadając dalej.

I, widzisz, mój stary,
jako, że w młodych leciech na zbój chadzał,
uweselił się i rzecze: »Ej! z tobą,
choć siwy, poszedłbym na lachy!«

CZEPIEC.

I ja z nim pójdę na lachy, jak trzeba.
Ale kiej wrócim zdrowo z pohulanki,

chciwie

tak mu się sprawię: »widzisz, perły moje
i Hanka moja, widzisz!« — tak mu powiem.

HANUSIA lekceważąco, w pół do siebie.

Siedział dudek na dzwonnicy,
w deszczu sobie piórka moczył,
słoneczka się nie doczekał,
jak nie pyszny w dziurę skoczył.

Do matki.

Wiedzą, matulu! wiedzą, ojciec wróci,
a dój nie gotów... Mają iść po putnię,
to niechże idą, albo ja polecę.

ŁĘTOWSKA.

Sama udoję, a ty skończ to szycie —
ino mi nie bądź z Czepcem jako burek
z misiem — ten zawsze mocniejszy.

Wychodzi.

HANUSIA.

Ej! złotem

jabym kazała wybić szubienicę,
kabyś ty wisiał — uważaj: z uciechy!
Głupi pułkownik!

CZEPIEC.

Mądry, bo przykazał
w Czarnym Dunajcu siedzieć mi przy tobie,
póki na wojnę listu mi nie przyśle.
Przysiągłek czekać — ot i czekam... Hanka!
Hanka!

HANUSIA *nachylona nad szyciem.*

A słyszę.

CZEPIEC.

Ciężkie moje życie!

HANUSIA *odwracając się ku niemu.*

Pułkownikowi podziękuj serdecznie,
że ci ten ciężar zostawił — z przyjaźni.

CZEPIEC *prawie błagalnie.*

Nie drwij-że!

HANUSIA *na pół żartobliwie, na pół seryo.*

Nie drwię! Mówię tak, jak myślę:
Wiesz — ciężki kamień skocznie polatuje
w przepaść z turniczki... Bież hań! w Kościeliską,

wleż na Kończystą i hip! a zobaczysz,
jak ci to ulży.

CZEPIEC *gniewnie.*

Słuchaj!

HANUSIA.

Ano słyszę...

CZEPIEC *uragliwie.*

Szumnie ci zagrał Janosz na gajdoskach —
potańcowałaś, aż ci dech zaparło.
Dziś nie utańczysz.

HANUSIA *stanąwszy przed Czepcem — w kilku taktach
góralskiego tańca, na pół wyzywająco:*

Ej-że! patrz! drobniusko,
w bok się ująwszy... Drepcą, drepcą nóżki,
a przebierają, aż ci cno się robi,
aż ci się oczka palą, jak u wilka.

Podśpiewując.

Ej-że! gajdy, gajdoskil
już ja w sercu bez troski:
słodkie nocki, słodkie dnie,
kiej Janosik zagra mnie!
Poszedł luby junak mój
na wojenkę, czy na zbój,
tak się strzepnon, kiejby ptak,
i pofrunon w horny ślak! o haj!...

A widzisz, Czepiec, jeszcze utańcujem!
Tak się na wietrze limba nie kołysze,
jak ja w tym tańcu...

CZEPIEC *roznamiętniony, wstaje nagle z ławy i rzucając
się ku Hanusi, chce ją objąć wpół.*

Tyś moja!

HANUSIA *odpycha go energicznie.*

Nie twoja!

CZEPIEC *usiłując ją pochwycić.*

Moja! tyś moja!

HANUSIA *odtrąca go i poskoczywszy ku ścianie, gwałtownym ruchem zdejmując ciupagę i staje w groźnej naprzeciw niego postawie.*

Precz, ty!

CZEPIEC *zwołna się mitygując.*

Nie pierwszyna

jest to dla ciebie... Ja w przepaść z Kończystej,
a ty na ulgę rzuć się do Dunajca,
bo wnet za ciężko będzie ci — we dwoje.
Huczno ci woda zagra na gajdoskach,
razem z rybkami zatańcujesz sobie,
aż z tego tańca cała posiniejesz,
a oczy będą, by kawały lodu,
choć haw się jarzą, jak jedliczne szyszki,
rzucone w ogień!...

Z *uczuciem.*

Hanka! żyć nie mogę,
takeś mi wlaźła w moją duszę... Hanka!
kiej w Nowym Targu wiedli mnie pod słupy,
tak zakutego w żelazne łańcuchy,
że z nóg i rąk tych aż mi krew bryzgła,
myślałem sobie — nie, że już nie pójdę,
tam na swobodę spijać słodkie wina
w uherskich lochach, albo zdzierać skórę
z fryśnych Luptaków, albo na kubińskim
rynku barany rzezać ukradzione,
albo czerwienice praskać na uciechę
grybowskich żaków, a inom żorował,
inom se lice ocierał ze szłozów,
że nie zobaczę już ciebie!... Hej!... Hanka!
tyś mnie zdradziła...

HANUSIA.

Nie byłam frajerką
żadnych Wasylów... dzwonników... Po haściach
ani leszczynach z tobą nie chodziłam —
niecierpliwie
jakie masz prawo? Gadaj!

CZEPIEC.

Jakie prawo?
takie mam prawo, że mi się chce ciebie.

HANUSIA, *która tymczasem założyła ciupagę na swoim miejscu — drwiąco.*

11 raz się owsa zachciało koniowi,
ale po ziarnku wróble go rozniosły.
Wiesz: takie prawo każdy ma na świecie,
tylko, że ja tu nie dla wszystkich jestem.

CZEPIEC.

Ja cię miłuję... Samaś mi przed rokiem
obiecowała, że pójdziesz na życie
ze mną, z Wasylem, a teper mnie zwiedłaś!
Zdradę przebaczam... Czarnodunajeccy
i Chochołowscy wiedzą, że w me gniazdo
cudzy zaleciał ptak — a niech on zdechnie! —
przecież to piskłę, które się wykluje...

HANUSIA.

Ty mu chrobaczków zbierać haw nie będziesz.
Mówię: umilknij!

CZEPIEC *pokornie.*

Mołoduszko moja!
Jak moje własne u mnie się wypierzy.

HANUSIA *śmieje się.*

Hahaha! ha, ha!

CZEPIEC *zimno, z stanowczością.*

To jest człek ze świata!

HANUSIA.

Niech sobie będzie.

CZEPIEC *j. w.*

We świat precz uleci.

HANUSIA.

A kto cię uczył, Czepiec, prorokować?

CZEPIEC.

Nikt!... To ci mówię: on cię tak zahabił,
jako świstaka, co go zarzynają,
widzisz, na sadło... Odwróć się od niego!

HANUSIA *wesoło.*

Zahabił mnie przy młynie,
przy zielonej wierbinie...

Poważnie.

Nie mogę, Czepiec, nie mogę!... Nad wszystkich
Jest mój Janosik...

CZEPIEC *z ironią.*

Hładki, białolicy!...

Po chwili, stanowczo.

Krew się poleje!

HANUSIA.

Twoja!

CZEPIEC *rozpaczliwie.*

Boh to znaje!

Nagle.

Hanka! uważaj: a kiej ten przybłąda
zdradzi twą wiarę? kiej się precz poniesie,

niby ten sokół, co pożarł jagniątko?
kto weń umierzy? Czepiec?

HANUSIA.

Nie! ja sama!

Alboś nie widział, jakem utrefiła
onegoć orła, wiesz, hań! popod Bystrą,
kiej się na hałę spuścił i do strągi
z dziobem i szponem?...

Zamyśla się... Po chwili.

Oreł mój Janosik,
ino jagniątko nie tyka... E! głupiś!...

Zamyśla się... po chwili, podśpiewując.

Uleciał se oreł, ku słońcu się rzucił,
A potem w swój pielesz, do swej żenki wrócił...
I pieści samickę i pisklątko tuli —
luli, złotohlawku, luli, luli, luli!...
Czepiec! śpiewałeś kiedy nad kolebką?...

W zamyśleniu — podśpiewuje.

luli! luli! o haj,
luli! luli! luli!

Wybucha wesołym śmiechem.

Hahahahaha!

CZEPIEC z desperacją.

Hanka! Hanka! Hanka!

Ale... naj bude!

Chce wyjść — zatrzymuje się jednak z ciekawością na widok wchodzącej do izby Salki Nieznanej.

SALKA NIEZNANA, kobieta stara z śladami piękna na twarzy.

Ehej! starej babie
warto zawitać, gdzie takie wesele!
Śpiewasz, Hanusiu!? Śpiewaj, śpiewaj sobie,

jak skowroneczek! Na starość gardziółko
wyschnie, by potok — śpiewaj, pókiś młoda.

Zwracając się ku Czepcowi.

Ale, co widzę! junak tak spochmurniał,
niby te czarne świerki w waszych górach!
Ej, czarny świerku! A toć cię siekiera
nie utrafiła, choć się zamierzali...
Zaraz ja ciebie rozraduję...

HANUSIA.

Salka!

Stara Salucha! a haw my ich z roczek
już nie doźrzeli... Witają! a skąd to?

SALKA.

Skądby? ze świata.

HANUSIA.

O, prawda! ze świata!

Mówią, że taka jesteście jak pyłek —
z miejsca na miejsce wietrzyk was zanosi;
Dziś, mówią, tutaj, a jutro już będzie
ze sto mil dalej... Taką macie władzę,
że ja się stracham, kiej sobie pomyślę
o owym cudzie —

z wyrzutem i z lękiem

zwłaszcza, że też Boga
nie pochwalicie, wszedłszy do świetlice.

CZEPIEC *żegnając się.*

Złe... W imię otca i syna i ducha...

SALKA *do Czepca.*

Głupiś, junaku...

Zwrócona ku Hanusi.

Ano, pochwalony
niechże nam będzie Pan nasz, Jezus Chrystus.

HANUSIA *swobodnie*.

Na wieki wieków... Witają... Zapewne
pogłódowali... Zaraz wam przyniosę
krztynę owsiaczka i sera... My tutaj,
widzą, płonimy, ale już dla gości
to się znajdzie przykasek.

Wychodzi.

SALKA.

U! Czepiec!

CZEPIEC.

A skądże wiecie, że Czepiec?

SALKA.

Po drodze

każdziutki kwiatek poznam, każdą trawkę:
wiem, gdzie mam szukać

znacząco

jaskru, gdzie dziewanny,

gdzie gorzka rośnie rzeżucha, gdzie szalej,
gdzie na kochanie znajdę słodyczki,
a na tęsknicę cudownej paproci.

Cynicznie.

Wiem, gdzie się kryje czarnuszka, wiem dobrze,
gdzie jest bodziaszek, znam ja dobrze, widzisz,
i przytulijkę i łączeń i pokrzyk —
jeśli go trzeba, znajdę go pociemku,
a ludzi znaćbym nie miała? U! Czepiec!
Chciałbyś lekarstwa? Widzę, żeć dolega. —

CZEPIEC.

Może dolega, ale wam jest wara!
wasze lekarstwa...

SALKA.

Wara i nie wara!

Ano popukał dzięciół po buczynie!
Ano jedliczkę smukłą czerw roztoczył,
ano w kierdelek załazał wilk, a juhas
gdzieś tam w dolinie stroił się w pętlicę...
Od dolin idę, od dolin... mam oko,
co z Obidowej dojrzy przez mgły sine
na nowotarskim rynku każdy kamyk,
śpiłkę uwidzę, choćby i najmniejszą,
a nie słup taki, jak chojar. —

CZEPIEC *gwaltownie.*

Czort z tobą!

SALKA.

Takie mam ucho, że czorta usłyszę,
choćby się schował do wnętrzości twoich
i tam w ukryciu zgrzytał, jak gdzieś w puszczy,
gdzieś w zdechłym miejscu ów ryś pręgowaty,
zasadzający się na tego strzelca,
co mu ustrzelił samicę... Od dolin —
od dolin idę, słyszę, jak się roją
osy i trzmiele, jak się na wrzosisku
męczą i brzęczą o воск i o miodek...
A wiesz: przyleciał trzmiel do starej pszczoły,
trzmiel złotoskrzydły, i tak jej powiedział:
Weź-że te listy, pszczołko, weź i poleć
poza doliny hej! do braci trzmielów,
niech na wrzosisko ku nam się zaroją —
na воск i miodek... Widzisz, Czepcze-trzmielu,
od dolin idę, od dolin...

CZEPIEC.

Sobaka

chyba rozumie, co ta baba gwarzy
o tem wrzosisku i trzmielach...

Wchodzi Hanusia z chlebem i serem i kociołkiem w rękę, stawia to wszystko na stole i zaprasza Salkę do jedzenia.

HANUSIA *do Salki.*

Niech sobie
teraz podjedzą... bo głodni... Na Czepca
niech nie zważają... siedzi haw, jak zmokły
dudek na wieży... Czeka na słońeczko,
a słonko w chmurach. A cóż tam w dolinach?

SALKA.

U! dreszcz mną trzęsie!

HANUSIA.

Ano, nastawiłam
kotliczek dla nich... rozgrzeją się trochę.
Do Czepca.

Może ty, Czepiec, jesteś głodny... zjedźże...
Czepiec macha ręką na znak zaprzeczający.
Hanusia do Salki.

U nas jest luto i tęskno...

SALKA.

A, widzisz,
w dolinach wiosna... Tutaj jeszcze zimno,
szaro i mglisto i pusto i głucho,
a tam już czajka śmiga nad bagnami,
czajkuje: luli! luli! W sitowisku —
aż się rozlega — wrzeszczą dzikie kaczki,
jaskółki lepią gniazdka pod pułapem,
po siodłach stodół klekocą bociany,
albo nad wodą chodzą para w parę.
Czapla na jednej wystawuje nodze,
pastuchy grają na grubych puzonach...
ino, że czasem krowa poprzez miedzę
wyciągnie kark swój po trawkę dziedzica:

bat starościński wtedy jest w robocie,
 aż się kobiecko rozpłaczę nad synem,
 a krowa idzie do pańskiej obory...

* * * * *

Worał się trochę Kuba Cierpińdza
 w ugorny zagon pana Drzyjskórskiego:
 szkapina poszła na skórę do hyla,
 a on korzonki gryzie pod krwawnikiem
 i myśli sobie, że życie jest krótkie,
 krótsze, niż pora, by dzieci wyrosły...
 Niech sobie myśli, póki mu robactwo
 nie zje i mózgu, jak mu zjadło oczy...
 U was szaruga — ledwie uleźć mogłam,
 tak mi się kiecka koło nóg zwiјаła
 od tego wiatru, a tam ciepły powiew
 strąca z topoli czerwonawe baze...
 Po ścieżkach leżą sprzagnięte chrabąszcze,
 a gęś z gęsiosem wiedzie na murawę
 żółte pielaczki... Wieprz się tarza w błocie,
 a ja pod wonnym spoczywam rzepikiem —
 tak mi w te kości wlaża wiosna świeża,
 że na starego zerknęłam ciemięgę —

Śmieje się.

Hihihihih! było mi gorąco,
 a teraz zimno...

CZEPIEC *spluwa.*

Tfu!

SALKA *z uśmiechem — cynicznie.*

Masz prawdę, Czepiec!

Z próżnej butelki nikt nic nie należy...

Kożuch zleniały grzbietu nie ogrzeje;

dąb, który spróchniał, widzisz, od korzenia,

w zielone drzewo już się nie przemienia. —

Patrząc na Hanusię, w tonie zmienionym, znacząco.

Choć się już takie cuda wypełniły,
że i... umarli powstają z mogiły...
Nagle, w tonie obojętnym.

O czem tak myślisz, Hanuś?

HANUSIA *przebudzona z zadumy.*

O czem myślę?

o tem, że kiej już wiosna po dolinach,
to i upłazy wnet się zazielenią
na naszych horach... Myślę o tej krowie
i o tym Kubie, co legł pod krwawnikiem,
i o tych czajkach, co śpiewają: luli...

SALKA.

O niczem więcej?

HANUSIA *nieśmiało.*

O niczem... Słuchają:

A na Uherskie nie chodzili teraz?

SALKA.

Nie... *Znacząco.* Lecz i inni także nie chodzili...
Mówią, że idą na węgierską stronę,
a zasię lecą do Polski...

CZEPIEC.

Czort z Polszczą!

Hań kiej się junak, widzą, zatumani,
tak mu się żegnać z szyją i hlawiczką.
W Krakowie rzędem stoją szubienice,
a tyle bywa tych katowskich mieczy,
że łuna bije od nich, jak od zorzy.

SALKA.

Musisz to wiedzieć!... Jednak ja ci powiem,
że łuna bije nietylko od mieczy,

ale się niebo czerwieni od ognia,
które zapala Chmiel, twój rodak... Iskry
aż się pod wasze sypią Tatry... Łuna,
łuna się leje, a w niej, jak we złocie,
pochodzi sobie Janosik...

Wstaje od stołu; zapalając się.

Z mogiły

powstał Janosik...

Do Hanusi.

Czy słyszysz, dziewczyno?

Ten wasz Janosik, ten wasz junak wartki,
co przelatywał w jeden mig te góry,
jak sęp, jak jastrząb, jak orzeł, co z turni
skakał na turnię, jak cap i po szczytach,
niby ten wichur, powiewał, a potem
zginął w Orawie przez to, że niewinną
krew, widzisz, przelał, — ten Janosik powstał
z ciemnego grobu!...

HANUSIA *w rozmarzeniu.*

Janosik, co uciokł —

niby duch jaki we mgłę się rozplynon,
kiej sto huzarów chciało go pochwycić
w swoje żelazne oklepce!... O wierzę!
Opowiadali, że on się przebudzi
w swojej ciemnicy, gdy największe będzie
uciężenie nas biednych...

SALKA.

Tak mówią...

A inni mówią, że nigdy Janosik
nie zszedł do dołu czarnego, że wtedy,
gdy go chwyтали orawscy husarze,
to on w swej mocy dał im tylko pozór
swojej postaci i tę powieszono.
On sam, żyw dalej, wspiał się na wysoką,
śnieżystą górę i tu się tak zaśmiał

ze swoich wrogów, że od tego śmiechu
czuby wirchowe leciały w potoki,
że woda w stawach słupem trysła w niebo
i potem z hukiem spadła w swe łożysko,
że całe bory legły, z korzeniami
wyrwane z ziemi, a owce po hałach
tak się ze strachu zgarnęły w gromadę,
jak jeden wielki kłęb szarawej wełny —
chciały w kolibach skryć się i szałasach,
ale szałas zmiotł ten śmiech, jak kupę
zeschłych gałęzi, albo puch młeczowy...
Takem słyszała, że się gęste chmury,
jak czarna smoła, rozlały po niebie,
że śmiech się z niemi startł i, jak z olbrzymich
jakichś krzemieni, sypnęły się iskry...
I zadudniły grzmoty i pioruny
poczęły walić w granity i skały
szarpać na strzępy... Słyszałam, że tutaj,
w tych waszych Tatrach, są dwie straszne turnie,
które się zowią Szatanem i Basztą —
turnie, zębate, jak piekielne widły:
ryk Janosika tak je zdarł, że śmiały
uragać jego potędze...

CZEPIEC.

Słysz, babo!

Powiedz, kim jesteś... Nigdy się nie strachał,
a teraz słucham, co mówisz i skóra
drży na mem ciele...

SALKA.

Nie drżysz, Czepcze-trzmielu!

Trzeba-ć odwagi... Mam tu list do ciebie —
od pułkownika, co cię oswobodził
z pod szubienicy, żeś ino powąchał
trochę siareczki... Masz go...

Podaje mu list, wydobyty z zanadru.

Jakeś przysiągł
tak też uczynisz... Lichy to jest junak,
który się trwoży na wieść o harnasiu,
o Janosiku... Pytasz się, kim jestem?
Hahahahaha! *Śmieje się.* To jedno ci powiem:
Każdy na świecie ma swe przeznaczenie...

HANUSIA *zamyślona.*

Mówią: nie umarł?!

SALKA.

Nie umarł, a tylko
za krwi niewinnej przelanie ten rycerz
taką pokutę przyjął na swą duszę,
że szablę zaciął w jawor, a strzelbice
między dwa głązy schował popod turnię,
mówiąc: poczekaj, ty szabliczko moja,
poczekaj, strzelbo, aż ja w lepszej chwili
przyjdę po ciebie, kiedy w naszych górach
i na Podhalu lud nasz nie wytrzyma
od wielkiej biedy... I szedł między naród,
bacował gazdom długie, długie lata,
robił żentycę, woził ser do miasta
albo też woły poganiał na targi,
a nadśluchiwał wszędzie, a poglądał,
czyli się z chłopskich pleców krew nie leje
i z czego robią starościńskie baty
i jak ściągają czynsze i szarwarki...
I tak poglądał długie, długie lata,
aż mu się w duszy skończyła cierpliwość,
i mówił sobie: dosyć już pokuty!
i po szablę poszedł i po strzelbę
i z harnasiami ganiał do Orawy,
a teraz w Polsce w jasnej świeci łuniel...
Mówią, niedawno siedział w Chochołowie,
w Czarnym Dunajcu także biesiadował —
znacząco patrząc na Czepca

a przed miesiącem był i w Nowym Targu.

CZEPIEC.

Babo!

SALKA.

Co, Czepiec?

Do Hanusi.

A widzisz, Hanusiu,

temi oczyma patrzałam na niego:
jak on wygląda z białem, gładkiem licem!
jak mu się błyszczą miękkie, czarne włosy,
jak mu się palą błękitne źrenice...!
Co ci się stało?

HANUSIA *z niepokojem.*

Nie wiem... Tak mi w duszy,
kiejby przedemną stanął w tej świetlicy
szumny Janosik i chciał mnie zabijać...
Tak mi jest w duszy, jak kiejby nieszczęście
było w tej izbie i ja pochwyciła
ono nieszczęście za rękę, za ramię, —
nito człowieka, za szyję!... O Boże!
i jakaś radość w duszy mi się zrywa...

SALKA *lekceważąco.*

Każdy ma swoje przeznaczenie.

CZEPIEC.

Babo!

Uroki rzucasz ma moją dziewczynę!
Ten twój Janosik... niech go piekło...

SALKA *patrząc w oczy Czepcowi, jakby go chciała zahypnotyzować.*

Czepiec!

Cicho! przysiągłeś!...

Do Hanusi, w tonie udającym obojętność.

Hanuś! podaj rękę —
jeszczem ci wcale nie wróżyła...

Hanusia podaje machinalnie rękę.

Salka, przyglądając się dłoni. Idzie...
idzie... do okna... puka... puść, dziewczyno!
Ciemne włosy, liczko blade...
Idzie... idzie... czy na zdradę?
Jako smerek w hałnym lesie,
tak on niesie
szumnie, dumnie
głowę swoją...

Patrząc jej w oczy.

Hanuś! odpowiedz: czy patrzałaś kiedy
w błękitne oczy? czy gładziłaś kiedy
bieluchne liczko i czarniutkie włosy?
miękkie, błyszczące?...

Wróży dalej, śledząc linie na dłoni.

Ta kreseczka,
co tak przecina tę drugą?... Śmierć... Boże!
To być nie może!...

Wróży dalej.

Idzie... idzie... już się tuli...
jest śpiewanie: luli! luli!
radość... szczęście...
i zamęście?...
Nie!... śmierć i zdrada?... Nie! coś się nie klei
dzisiejsza wróżba...

HANUSIA odciąga rękę.

Dajcie spokój!... patrzcie,
bardzo się boję... Jeszcze ja w tem życiu
takiego lęku nie miewałam...

SALKA.

Hanuś!

Każdy ma swoje przeznaczenie... Czekaj.
Próba jest próba... Nie zawsze się wiedzie.
Spotkałam dzisiaj w drodze psa czarnego,
który miał w ślepiach ogień... Myślę sobie:
Nie bardzo dobra to wróżba, bo, widzisz,
łeb swój odwrócił i choć go wołałam:
brachu! tu do mnie, do swej lubieśnicy!
zakręcił tylko ogonem i uciekł...

CZEPIEC, który przez cały ten czas, wtuliwszy się w kąt izby, śledził, jak zahypnotyzowany, postępowanie Salki z Hanusią, jakby do siebie:

Bude nieszczęście.

SALKA odwracając się nagle ku niemu.

Ano spluń!

Do Hanki, biorąc ją znowu za rękę.

Poczekaj:

Wróży dalej.

Łuna świeci,
krew się leje,
a w zamieci,
a w zawieję
junak leci...
Złoto, srebro, aksamity,
a na hełmie białe kity...
A tu na szyi... krew?... czerwone znamię,
jakby od miecza!... Wróżba dzisiaj kłamie...

Patrząc jej w oczy.

Hanuś! na dłoni junak ci tu stoi,
niby królewski pułkownik!... E! głupia
dzisiejsza wróżba... Przyniosłam Czepcowi
od pułkownika królewskiego listy,
więc on mi w głowie i wróżbie.

HANUSIA.

Pułkownik!...

Nie miałam jeszcze nigdy takich lęków,
jak dziś...

CZEPIEC *wstaje gwałtownie z miejsca.*

Królewski pułkownik?... Któż, babo,
przyniósł cię tutaj?...

W tonie napót dzikim, napót przedrzeźniającym.

A ten zmartwychwstały,
mówisz, Janosik, śmierdział w Chochołowie,
w Czarnym Dunajcu siedział, a zaś z miesiąc
będzie, jak przyszedł do Nowego Targu?
Tyś go widziała? babo!...

SALKA *nie spuszczaając go z oczu.*

Jak ci mówię,
żem go widziała, to widziała...

CZEPIEC.

Babo!

Tumanisz wnętrze, jak to złe... Nie ruszę
z tego się miejsca... A ty list ten zabierz.

Chce jej oddać list, który przez cały czas trzymał w ręku.

Czuję, że we mnie siedzi coś takiego,
że gdy się spotkam z owym pułkownikiem,
to go...

SALKA.

Przysiągłeś... i pójdziesz...

CZEPIEC *chowając powoli list — jakby uległ magicznej
sile jej wzroku.*

Przysiągłem...

Ale coś w duszy szczuje mnie na niego.

SALKA.

Złe, widzisz, w tobie... trzeba je zażegnać.
Czyni odpowiednie znaki.

CZEPIEC.

Ano, coś, widzę, mocniejsze jest lichy
od waszych znaków...

SALKA.

Posłuchaj tej gadki:
Raz przeznaczenie, u siebie samego
będąc za sługę, pędziło
woły na rzeź...
Co się nie dzieje? Ot, żal uczuło,
chciało zawrócić z swej drogi,
ale nie mogło.

Wraca Łętowska z szkopcem świeżo udojonego mleka.

ŁĘTOWSKA *do Salki.*

O, jak się mają?... Zdaleka?

SALKA.

Dyć, z Polski.

ŁĘTOWSKA.

A cóż tam słyszeć?

SALKA.

Hanuś wam opowie.

ŁĘTOWSKA.

Hanka! a bez co takaś smutna?... Powiedz:
czy może z Czepcem jaki swar?

HANUSIA.

Nie.

ŁĘTOWSKA *do Czepca.*

Czepiec,

a co jest tobie...

CZEPIEC.

Nic.

ŁĘTOWSKA.

Kiej nic, to trudno.

Do Salki.

Widzą: coś krowy mało dają mleka —
może kto urzekł?... Niech je zażegnają...
O, jakie ździebłko... ledwie z ćwierć dzieżeczki.

SALKA.

Nie mam dziś władzy... Chciałabym zażegnać
niejedno lichy, a nie mogę... Patrzcie:
złe wlało w Czepca... musi iść... ma liścik
od pułkownika... wasza Hanuś smutna...

Po małej chwili.

Ale czas w drogę... Boję się brodacza —
spoglądając przez okno:

siwka się boję, co po siwem błocie
tak-ci się toczy, jak pękata beczka...
Naburczy pszczołkę, że się też nie spieszy
na rój, na wrzosa, a jeszcze dziedzinę
musi niejedną oblecieć... Ha! z Bogiem.

Odchodzi.

ŁĘTOWSKA *za odchodzącą.*

Z Bogiem, kiej zostać już nie chcą.

HANUSIA *smutnie.*

Mamiczko!

Wiedzą: wróżyła mi Salka.

ŁĘTOWSKA.

A godnie?

HANUSIA *jak wyżej.*

Ej! nic godnego... O śmierci... o zdradzie —
i o czerwonej plamie, jak od miecza...
Strach mnie.

ŁĘTOWSKA.

Bóg wiara a nie wróżba.

Mała przerwa, w izbie atmosfera przygnębienia.

*Wchodzą: Stanisław Łętowski, Marcin Radocki, rektor pcim-
ski, i gromada gazdów.*

RADOCKI, *lat około sześćdziesięciu; twarz ascetyczna: pół
ksiądz, pół kłecha.*

Pokój Chrystusów waszemu domowi —
i niech też będzie jedność między wami:
bo już na chmurach idzie »On« i wszelkie
ujrzy go oko i upadną przed nim
ci, co przebili Baranka, i wszystkie
cieszyć się będą ludzkie pokolenia
i będą wszyscy braćmi. Amen.

ŁĘTOWSKA.

Amen.

Radocki i gazdowie witają się z kobietami i Czepcem.

ŁĘTOWSKI.

I ja też powiem »Amen« — kiej tak chcecie...
Choć mi się widzi, że jest tu dokument,
jako żydowie i szlachta...

Zwraca się do gazdów.

Niech siędą,
jako tam mogą: na ławie, na skrzyni...

Do żony.

Stara! a podaj krzesło dla rektora —
do Hanusi

albo ty, Hanuś... Widzę, osowiałaś...

Do żony.

Matko! co dziewczce?

Gazdowie podczas tego zabierają miejsca.

ŁĘTOWSKA.

Nie wiem... Pewnie luta,
że Szałka listek przyniosła Czepcowi
od królewskiego, widzą, pułkownika,
który mu każe iść!... Dziewucha, widzą,
niby do Czepca tyłem się obraca,
ale kiej przyszło żegnać się, tak, widzą,
odrazu serce mięknie, jak na deszczu
grzyb pod jedliczką...

HANUSIA.

Tatusiu! nie wierzą:
Czepiec jest Czepiec i niech sobie idzie.

ŁĘTOWSKI.

A niechże idzie... Wiem ja, że Janosik
tak zajrzał tobie do serca, jak zbójnik
do onej jamy, gdzie jest skarb ukryty.
Dziwno mi nie jest: wartki z niego chłopak.
Na Czepca, widzę, ani patrzeć nie chcesz...
Idź razem z matką: nie dla waszych uszu
te nasze sprawy.

HANUSIA.

Idę...

Wychodzą obie.

ŁĘTOWSKI *za odchodzącymi.*

Przy chudobie
czyście tam dobrze chodziły?

HANUSIA *odwracając się we drzwiach.*

Ja sama
dałam im siana i wody naniesłam.
Znika.

ŁĘTOWSKI *do Czepca.*

Czepiec! masz listy, toż ci jest wiadomo,
co masz uczynić... Obejdź wszystkich gazdów:
do Kościeliska bież i ku Szaflarom
i potem dalej... Teraz nie jest pora
myśleć o Hance... Zresztą sameś słyszał,
kto u niej sokół, a kto kiep...

JEDEN Z GAZDÓW.

Hahaha!
Harnie to radzą! Owsianem powróśłem
chciałby za rogi przytrzymać jałówkę,
a tu postronek za słaby.

CZEPIEC *pogardliwie.*

Bądź cicho,
zwiądły szafranie!...
Do Łętowskiego.

Tak, dla was, Łętowski,
widzę, że jestem jak zgniłe powróśło.
Precz je rzucacie, snopka nie związawszy.
Snop się rozleci.

ŁĘTOWSKI.

Kiep ten, co po pazdur
na dach się drapie, kiej się w izbie pali
cały dobytek! — Weźże moją laskę,

owiń choiną i powiedz: gazdowie,
sołtys Łętowski, co wam marszałkował,
kiej żywieckiego biliście starostę,
i tej chudoby waszej śmiało bronił,
obwieszcza wokół, abyście smreczyną
stroili chaty na znak, że zaświtał
ranek swobody chłopskiej. Dokumenty
przyszły od króla, że już czas na lachy
za nasze owce i za nasze krowy,
za nasze ryby, za nasze jelenie,
za nasze lasy, za nasze pastwiska...

RADOCKI *przerywając.*

Nie! — tak im powiedz: ze wszystkich stron świata
chodźcie gromadą na wieczerzę Boga
jeść ciała królów i ciała mocarzy
i niewolników i wolnych i wszystkich,
wielkich i małych... Zwycięstwo nadchodzi,
więc kto ma uszy, ten, powiedz, niech słucha!
A kto zwycięży, ten w kościele pańskim
będzie filarem i Pan imię Swoje
wryje na nim... Nowe Jeruzalem
zbliża się, powiedz, śpiewaj: Aleluja —
tak każe, powiedz, Alfa i Omega.

CZEPIEC.

Idę, bo idę...

Do Łętowskiego.

Ale to wam mówię,
panie marszałku...

Wychodzi.

ŁĘTOWSKI *do gazdów.*

Pogwarcie tu krztynę...
Zaraz powrócę. Zajrzę do obory —

obejdę statek, bo jużci na baby
któżby się spuszczał...

Zabiera się do wyjścia.

RADOCKI.

Nie myślcie o statku
w chwili, gdy Pan Bóg czyni nas sługami
Swego zakonu.

ŁĘTOWSKI.

A kto stworzył statek,
jak nie sam Pan Bóg? Temu, co jest z Boga,
mówicie, służyć potrzeba... Ja służę,
dbam o stworzenie boże.

Wychodzi.

JEDEN Z GAZDÓW *do rektora.*

Wiemy wszyscy,
jako wasz szwagier, co jest organistą
w samym Krakowie, blisko jest biskupa.
i wy też, panie Radocki, o mało
nie zostaliście księdzem: tak jest wielka
we was uczoność... Znacie się na piśmie
lepiej od księdza Miętusa — to prawda —,
albo od księdza Bytomskiego — prawda!
lecz nam nie wiada, co niby oznacza
ta wasza mowa — to są ino słuchy,
że pan Napierski...

RADOCKI.

Alfa i Omega —
tak stoi w Piśmie: Pierwszy i Ostatni,
Ten, który umarł i ożył i teraz
na wielki bój nas powiedzie... I będą
gwiazdy padały, jak drzewa figowe —
i aniołowie, stojący na czterech

węglach tej ziemi, trzymający w ręku
 cztery jej wiatry, powioną nad nami
 i szum się stanie ogromny i wszystko,
 co dotąd rośło i żyło na ziemi,
 zwieje, bo grzechem skażone... A zasię,
 Ten, który umarł i ożył, Ten pierwszy
 i Ten Ostatni nanowo je wskrzesi:
 i trawy wstaną soczystsze i większe,
 i smreki będą smuklejsze i grubsze,
 i wasze owce okryją się wełną
 dłuższą i miększą, i te krowy wasze
 będą mleczniejsze i tłustsze —

JEDEN Z GAZDÓW, *którzy skupili się około rektora.*

Na moich
 skóra a kości. Wymiona im wyschły,
 jak puste worki tak wiszą —

RADOCKI.

A w ludziach
 nie będzie panów ani sług —

DRUGI GAZDA *przerywając.*

A dzisiaj
 chcieliby wszystkich zamienić na sługi —
 tak ino baczą, w jakim chodzisz pasie:
 są w nim goździczki śrybelne, w te tropy
 prawią, żeś panem, i huzia. —

RADOCKI.

Nie będzie,
 że jeden łaknie, a drugi pijany,
 że jeden zwozi pszenicę furami,
 a drugi ledwo garść owsa wymłóci. —

INNY GAZDA.

A co ja miałem tego roku? szkapskom
 nie wystarczyło na lichą podsypkę. —

RADOCKI.

Wszyscy po równi będą mieli ziemi
i wszystkim złotem, które jest na świecie,
wszyscy się ludzie po równi podziela
i będzie wspólność —

INNY GAZDA.

O haj! jak najprędzej
niech wiatr ten zadmie! —

RADOCKI.

I słońce inaczej
będzie świeciło... Tak jest napisano
pod tą pieczęcią, którą dzisiaj łamie
Ten, który umarł i ożył!...

JEDEN Z GAZDÓW.

Niech żyje
junak Napierski!

RADOCKI *solennie*.

Niech żyje na wieki
Ten, który w nim się objawił, Ten Pierwszy
i Ten Ostatni, co umarł i ożył.

INNY GAZDA.

Janosik, mówią, ożył z swej mogiły!

TRZECI GAZDA.

Na okolicę chodzą takie wieści.

REKTOR *jak wyżej*.

Umarł i ożył Pierwszy i Ostatni.
Łętowski wraca.

ŁĘTOWSKI.

Gazdowie rada! przyszły do nas listy
od pułkownika, byśmy się zebrali
wielką gromadą i szli popod Czorsztyn.
Ma nas wybawić od uciemżenia
i ma królowi dopomódz, bo szlachta
oraz żydowie idą na majestat.

I u nas miarka złego się przebrała —
gorsze są czasy, niż kiej Baranowski
hań starostował na czorsztyńskim zamku,
albo Cikowski, co to chłopskie skóry
kazał naciągać na bębny...

JEDEN Z GAZDÓW, *siwv góral, podchodząc ku Łętowskiemu.*

Paniętam —

byłem-ci młody jeszcze, nie jak dzisiaj,
kiedy te włosy bielsze od bród siwych,
co się zwieszają z umarłych gałęzi
w Ciemnych Smreczynach, albo we Wirhcichej.
Bębnił Cikowski na chłopskiej skórzycy,
że aż jęczały Tatry od bębnienia,
a naokoło żal był i żorota
i krew się lała, a ty, chłopie, widzisz,
płać jeszcze za to, że cię nie uśmiercił...
A mógł uśmiercić, bo takie miał prawo —
tak sobie dufał...

INNY GAZDA.

A dzisiaj, gazdowie,
nie jest tak samo? brata ustrzelili,
mnie, Gałyszowi... A za co?... Hej! za to,
że upolował kozę pod Krywaniem,
a połowiny do dworu nie zaniósł.

ŁĘTOWSKI.

Tak jest... gadają: polować nie wolno,
bo — kozy pańskie... A przecie my mamy

stare papiery od królów — te mówią:
co jest w powietrzu i co jest we wodzie
i co we wirchach, to jest wspólność wszystkim!
Miej tylko strzelbę i wędkę, miej sieci,
a co ułowisz, a co upolujesz,
to wszystko twoje, nikomu daniny
z tego nie płacisz.

GAZDA Z RODU KALATÓW *przerywając.*

Sołtysie Łętowski!

Ja jestem z rodu Kalatów...

GAZDA Z RODU GUTÓW *j. w.*

Ja, widzą,

idę od Gutów...

GAZDA Z RODU BACHLEDÓW *j. w.*

A ja od Bachledów...

GAZDA Z RODU GĄSIENICÓW *j. w.*

Jeszcze-ć Gutowie, lebo i Bachledy
nie mieli pierza, kiej my, Gąsienice,
tako krakali w wirchowych pieleszach,
że się Luptaki kryli w suśle jamy,
a Miskołackim z strachu oczy gasły...

GAZDA Z RODU KALATÓW.

Cicho!...

GAZDA Z RODU TATARÓW.

E! co tam! nad nas, polowaców,
nad nas Tatarów niema i godniejszych!
na niedźwiedzinie siły my nabrali, —
nasz ród najstarszy, a wolny jak kozy
na krzesanicach Furkotnych...

ŁĘTOWSKI.

Zapewne
wcale nie starszy, niż mój, Łętowskiego,
pana z Łętowni...

GAZDA Z RODU TATARÓW *drażliwie.*

Hih! Łętki - prętki —
małym je palcem połamie!
*Cała ta scena odbywa się w tempie bardzo pośpiesznem.
Duma rodowa z całym góralskim ujawnia się temperamen-
tem. Zatarg, grożący wybuchem czynnym, u górali z po-
wodu obrazy tej dumy nie rzadkim, uśmierza*

RADOCKI z wyrzutem — *poważnie.*

Gazdowie,
nie miarkujecie, że dzisiaj nie idzie
o czerpak wody, ino o dunaje,
w których się dusza wykapie... Nad wszystkich
starszy jest Adam, a zaś najmocniejszy
Ten, co was zwołał, sam Pan Bóg.

GAZDA Z RODU KALATÓW.

Niech będzie —

starszy, nie starszy! Ino, że za belką
w naszej świetlicy — to chciałem powiedzieć —
jest-ci dokument, a w tym pergaminie
pisał król Kaźmirz jeszcze przed wiekami,
jako do końca świata mamy prawo
łowić i strzelać, gdzie chcemy; użytek
z lasów i łąki też mamy, bo lasów
i łąk nie stworzył żaden pan, lecz drzewa
i wszystkie trawy z bożego posiewu
rosną, widzicie...

RADOCKI.

A co posiejecie,
owocu z tego zbierać wam nie wolno,

choć napisano: kto sadzi winnicę,
ten z gron niech wino dla siebie wyciska —
kto trzodę pasie, ten niechaj spożywa
mleko z tej trzody.

JEDEN Z GAZDÓW.

Tak jest, niech spożywa
ten, który pasie... A dziś krowę zająć,
grunta zaorać, niby swoje własne,
to chleb powszedni... A jak wam potrzeba
belki na przycieś, chróstu na podpałkę
abo i siana wiązeczkę dla konia,
tak zaraz pozew do grodu, w robocie
zaraz batogi lebo i tortury...
Gniją górale po lochach.

INNY GAZDA.

Dra pasy —
o mało ludzi nie wędzą w kominach...
W mamki do dworu wzięli moją córkę:
zachorowało rarytne paniątko —
mówili: »z mleka, dziewczka ze zatrutym
przyszła pokarmem« — i pierś jej kleszczami
kazali wyrwać!

REKTOR *załamując ręce i chodząc po izbie.*

Katy! katy! katy!

TEN SAM GAZDA.

Do króla-m pisał: święty majestacie!
taka się krzywda stała mnie biednemu,
że ino konać, albo swych junaków
zebrać i dalej na lachy! na katy!...
Zrób sprawiedliwość!

REKTOR.

Ale król nieboże —
władzy już nie ma... Przysłał swe wyroki

i kata skazał na grzywnę — cóż z tego?
Panek się uśmieł — mówił: król daleko,
a ze sądami już sobie poradzę...
Wiemy to, wiemy... Ach! miłości niema,
a od Chrystusa wszakże na tej ziemi
wszyscy są braćmi... wszyscy być powinni
braćmi...

ŁĘTOWSKI.

Rektorze! Na chłopskie braterstwo
mają w dolinach harap albo turmy —
sam powiedziałeś, że ten świat trza zmienić:

Zwrócony do gazdów.

My go zmienimy, my — bracia! Ciupagi,
kosa i widły, strzelby i kłonicie —
oto lekarstwo na tych, co z nas, ludzi,
chcieliby zrobić nędznych, podłych rabów
wbrew woli Boga i wbrew woli króla...
Sam król, nie mogąc poskromić pyszałków,
przysła do nas pana Napierskiego,
aby nas powiódł ku jego obronie,
ku warowaniu naszych praw i swobód...
Kto żyw, na lachy! na pany! pod Czorsztyń,
gdzie ma swe leże groźny Lew z Sternberku,
junak Napierski... Idziemy?!...

JEDEN Z GAZDÓW.

Junaków

wszystkich zwołamy, a zbój nasz nie chybi —
bo chodzą wieści, że Janosik powstał
z swojej mogiły i że z nami razem
walczyć tam będzie, a gdzie on, tam życie
pewniejsze, widzą, od śmierci... Z nim, widzą,
świat wywrócimy...

INNY GAZDA.

O haj! pójdziem! pójdziem.
Inak nie możem... Janosik nam każe!
On wieczną władzę ma nad nami...

INNY GAZDA.

Pójdziem —

potaćnijemy sobie od raniuska
poprzez południe aż do wieczora
w czerwonej zorzy... Schwytają, powieszają!
Alboż to jeden wisiał harny zbójnik?

Intonując.

Od buczka do buczka, zasię do jawora,
będzie z pieniążkami niejedna komora!

CHÓR.

Dobra nasza sprawa!
Krew ciecze z rękawa —
Krew ciecze z główeczki
Za srebra dwie beczki...
Ma zbójnik ochotę
Na dukaty złote —
Od buczka do buczka, zasię do jawora,
Będzie z pieniążkami niejedna komora!...

ŁĘTOWSKI.

Pieniążków będzie w szlacheckich komorach,
że nie udźwigniem — białe talarzyki,
godne czerwienie, że to haj!

RADOCKI.

Nie o to,
nie o to idzie, sołtysie Łętowski —
o sprawiedliwość idzie i o równość.

JEDEN Z GAZDÓW.

Nie o pieniążki tu idzie — tak, prawda!

KILKU Z GAZDÓW.

O sprawiedliwość, tak! o sprawiedliwość!

RADOCKI.

O pokój boży, który został wygnan
z tej grzesznej ziemi; idzie o otwarcie
bramy do Raju, który rodzaj ludzki
utracił, widzą, przez nieprawość swoją...
Złe się na świecie rozsiało, szatani
dzierżą tu berło, występki zawładnął
w Sardziech i Smyrnie i Laodycei,
Pan głos swój podniósł, a nikt go nie słuchał

KILKU Z GAZDÓW.

My go słyszymy, a ty nam błogosław!

*W chwili, gdy Radocki podnosi ręce do błogosławieństwa,
wpada do świetlicy Biczynski na czele hajduków.*

BICZYŃSKI *wpadając do izby.*

Bunt gotujecie!

Do hajduków.

Wiązać ich!

Hej! bierzcie

wskazując na Łętowskiego

siwego zbója!...

Zwracając się do Radockiego.

Witam, mości klecho!

A cóż tam w Piśmie?

ŁĘTOWSKI.

Do ciupag!

BICZYŃSKI.

Dać ognia

jeśli się ruszą!

*Powstaje zamęt, hajdacy usiłują wiązać górali, którzy się
bronią ciupagami.*

REKTOR *w natchnieniu — równocześnie z wezwaniem Łętowskiego do ciupag.*

W Piśmie napisano:

Nie będziesz kusił Pana Boga swego.
A dalej — dalej — tak jest napisano:
nim czas upłynie, wielka będzie wojna
z Amalekity... i lęk na nich padnie
i jako kamień zamilkną książęta
w Moabie, Tyrze, w Edom i Chanaan —
lud na nie idzie!...

BICZYŃSKI *śród panującego wciąż zamętu.*

Zatkać mu tę gębę!

Zbój! rabusie!

Wchodzi Łętowska i Hanusia.

HANUSIA *rzucając się na Biczynskiego.*

Tyś jest zbój! ty rabuś!

ŁĘTOWSKA *wstrzymując córkę.*

O Boże! Boże!

BICZYŃSKI *wskazując na Hanusię, do hajduków.*

Precz z tą panienczką!

Pod straż ją weźcie!... potem do Wiercina,
na mój folwarczek — gospodarzyć będzie —
sprawię wesele, dam jej gorzałeczki,
tylko jej druchny rzędem nie otoczą.

Zwrócony do Łętowskiego, który się szamoce z hajdukami:

Ładny kwasieś ogórek, Łętowski.

ŁĘTOWSKI.

Nie do twojego mięsa, pacholiku!

BICZYŃSKI.

Czas ci do klatki, niedźwiedziu!

Do rektora.

A tobie,
mości rektorze, na dzwonnicy belkę —
będziesz wydzwaniał ewangelię swoją
z takiej wyżyny...

Wpada CZEPIEC z chmarą młodych górali, w progu izby spotyka Hanusię, uprowadzaną przez hajduka. Wydziera mu ją z rąk.

Puść ją, drabiel!

Hanusia i Łętowska która szła za nią zrozpaczona, znikają za sceną.

Czepiec, spostrzegłszy Biczynskiego, rzuca się na niego, równocześnie hajdacy ulegają góralom.

Hospody Boże! kłaniam, kornie kłaniam,
powala go o ziemię, nim ten się spostrzegł
panie Biczynski. Wyście mnie łapali
ot, tam w Jangrodzie — wyście zaciągali
pod szubienicę! Za taką przysługę
trzeba być wdzięcznym...

Dobijając go.

Macie, Boh was ratuj!...

Do swoich górali.

Mołodcy strzelać! wybić ich do nogi!

RADOCKI.

Krew się polała... Czepiec, nie mordować...
Na bój otwarty, mówi Pan, wyruszmy.

CZEPIEC.

To krew szlachecka!... Czort ją...

RADOCKI.

Rab i szlachcic

jedną krew mają!

ŁĘTOWSKI.

Ano, dajcie spokój!
Żywych zawiedziem panu Napierskiemu —
on sam niech dla nich wybierze gałęzie...

CZEPIEC *machając ręką.*

Naj-że tak bude!... Ino szkoda ścierwa —
nasze hawranie głodne...

Wskazując na powiązanych hajduków.

Spokornieli!

Ano pójdziemy razem popod Czorsztyn —
tak was popędzim, jak kupę baranów...

Do swoich górali, wskazując na hajduków.

Teper z tą wełną na deszcz! niech pomoknie.
Wyprowadzają jeńców.

RADOCKI.

Bóg jest nad nami.

CZEPIEC.

Tak! Boh! albo — Czepiec!

ŁĘTOWSKI *do Czepca.*

Jakeś tu sfrunął? wartkie miałeś skrzydła.

CZEPIEC.

Ledwiem się ruszył hań! ku Kościeliskom,
takem zobaczył zdała starościńskich. —
Źle, myślę sobie, i dłoń zaraz zwinę,
do warg przyłożę i huknę, że chyba
słyszeć mnie było aż tam w Poroninie.
Wszystkie junaki zleca się odrazu
i tak nas macie, widzą, w samą porę...
Ino mi żal jest, że więcej nie wylał
tej juszki wrażej...

RADOCKI.

Nie o krwi przelanie,
tu idzie o to, ażeby na ziemi
zawładnął Chrystus...

CZEPIEC.

Naj budel...

JEDEN Z GAZDÓW.

Czas w drogę.

Wy marszałkujcie, sołtysie Łętowski —
jako najstarszy — wy razem z Wasylem.

ŁĘTOWSKI.

Przyjmuję godność... O wasze niewiasty —
o wasze córki i o wasze żony,
o wasze krowy, i o wasze owce,
o wasze ryby, o wasze kozice,
o wasze lasy, o wasze pastwiska,
o waszą wolność do boju idziecie!

RADOCKI *podnosząc ręce jak do błogosławieństwa.*

O to, by Chrystus zawładnął na świecie!



AKT DRUGI.

Sala w zamku czorsztýńskim.

Na lewo i prawo drzwi, prowadzące do komnat i pokoi słuźby. W głębi, w środku, drzwi oszklone wychodzą na taras zamkowy i dziedziniec. Sala dość bogata. W środku wielki stół, krzesła i t. d.

NAPIERSKI *dwudziestokilkoletni, w stroju szwedzkim, stawiając sobie krzesło przy stole.*

Atak odparty!... Chcieli lwa ugodzić
w młodzieńcze boki, a tu lew pustynny
ino się otrząsł...

Siada.

ZDANOWSKI *lat około sześćdziesięciu, ubrany po polsku, siedzi przy stole.*

Chwała-ć Panu Bogu...

Ale że człowiek nigdy nie jest pewien,
kiedy go czeka ciemny kir...

NAPIERSKI.

Znów kraczesz?

Ktoby o kirach myślał w takiej chwili,
kiedy możemy na basztach czerwone
zatknąć proporce tryumfu!...

Zwrócony ku drzwiom na prawo.

Hej! żydzie!

ZDANOWSKI.

Co chcesz od żyda?

NAPIERSKI.

Co chcę? Trzeba z prochu
przepłukać gardło, przytem człek się dosyć
nawrzeszczał dzisiaj.

ZDANOWSKI.

Prawda! dzielnieś krzyczał,
chamstwo na głos twój pędziło pod mury,
jak głuszce leśne za gwizdawką strzelca.
*Wchodzi Mojsze, lat około trzydziestu, w jupicy, z jarmutką
na głowie, trwożliwy, a udający odważnego.*

MOJSZE.

Jaśnie wielmożny panie jenerale!
Co mi rozkaże wasza mość?

NAPIERSKI.

Puhary
z kutego srebra wydobyć ze skrzyni,
przedniego wina postawić gąsiorek...

MOJSZE.

Nu, tak usłużę, że i sam majestat
lepszego trunku, mówię, nie kosztował.

NAPIERSKI.

Przywołać mi tu moich poruczników,
pana Jarzábka, oraz Łętowskiego.

MOJSZE.

Tych zbójów?

NAPIERSKI.

Milczeć!...

MOJSZE.

Ja przepraszam...

Wychodzi, za drzwiami podśpiewuje.

NAPIERSKI.

Cóż to?

Słyszysz?... Ten żydek śpiewać się ośmiela
w mej obecności... Niech go!... Innym razem
jabym ci takie śpiewanie wyprawił,
żebyś ostatnim swym się trelem zdławił —
lecz dziś...

W zamyśleniu.

Mój stary...

Z wymuszonym śmiechem.

Ha! ha! Imć pan Jordan
z maślanką przyszedł pod czorsztyńskie mury
i z słowem klechy... Maślanki nie sprzedał,
bo mu te nasze kamienie potłukły
gliniane garnki, a księżę kazania
na wiatr mu rozniósł poświst naszych kulek...

Wchodzi Mojsze z winem.

Jesteś!... Nalewaj!...

Do Zdanowskiego, trącąc.

Więc pijmy na zdrowie
Jego Królewskiej Mości... Niech nam żyje!

ZDANOWSKI.

O, niech nam żyje w długie, setne lata!...
Dobry piwniczny z pana Platemberka,
a tylko kiepski starosta... Odbieżał
swojego grodu; zdał na łaskę żydów
i kilku dziewczek czorsztyńskie komnaty.

NAPIERSKI.

Dziewek?... A! prawda!... Widzisz, panie żydzie,
podczaszy z ciebie nie świetny... Z rękawa

strzępy ci wiszą! Ponoć na swym dworze
masz frauencymer — same starościanki,
czy kasztelana krakowskiego córę...
Dajże nam tutaj ten słodki rarytas!

MOJSZE.

Nu, jedno słowo, Jaśnie oświecony
panie hetmanie! Pan hetman żartuje
z biednego żydka... Jakie kasztelanki?
Chociaż, ja mówię...

Szepce mu do ucha.

NAPIERSKI.

Co? po Baranowskim?

Po tym staroście, który... Daj mu Boże!

Zapominając się — groźnie.

Nie starościńskie, ale i królewskie
włóczą się dzieci bez tronu po ziemi...
Tylko, że mają przy sobie krzesiwo,
którem rozniecą pożar niebosięgły,
ażeby potem na zgłiszczach sromoty,
wyganiającej za pałacu węgły
proles Wazową...

ZDANOWSKI.

Mości pułkowniku,

jakoś mi dziwnie przemawiasz... Zwyczajstwo
niespodziewane oszałamia... W oczach
błysnął ci ogień złowieszczy... Jan Kaźmierz,
pan miłościwy, juści nie wypędzon,
tron Wazów przy nim, lubo nędzne chłopstwo
chce nań posadzić opoja Bohdana.
Do czegoś zmierzał?...

NAPIERSKI.

A właśnie... do tego...

Zresztą nie pora w godzinie uciechy
mówić o sprawach, które miecz rozstrzyga,

ujęty ręką bohaterów... Żydzie!
nalewaj wina!

Mojsze przyskakuje i napełnia kielichy.

Zdrowie bohaterów!

ZDANOWSKI.

Tych, co walczyli jak wystąnczy boży,
pod Beresteczkiem...

NAPIERSKI.

Owszem... tych... i... innych,
co walczyć będą, jak boży mściciele...
Ojcze Zdanowski...

Usiłując być żartobliwym.

Ale słuchaj, Mojsze!

Coś ci się, widzę, chude nogi trzęsą,
a tam przed chwilą śpiewałeś majufes...
Miałem ochotę wlać ci cały garniec
wina do gęby, byś więcej szanował
moją przytomność.

MOJSZE.

Oj! oj! Co żydkowi
takiego wina!... Toć na tych gąsiorkach
to ino skrobać palcami, tak grubo
tego paskudztwa!... A pachnie! Przepraszam,
bardzo przepraszam, jaśnie oświecony
panie hetmanie! Śpiewałem — nu, prawda —
z wielkiej bojaźni... Nogi mi się trzęsą,
a moje nogi — one się nie trzęsą
na dzień powszedni, a tylko na święto...
Jest wielka radość, albo wielki smutek,
albo strach taki, jak dzisiaj...

NAPIERSKI.

Ze strachu
możebyś tu nam zatańczył... No, hejże!

śpiewaj-że dalej!... Jest dziś po czem śpiewać
i po czem tańczyć...

MOJSZE.

Oj! oj! ja to czuję:
jest po czem śpiewać i jest po czem tańczyć...
Jak ten pan Jordan — a niech on połamie
te swoje nogi, zanim się dowlecze
tam! do Krakowa — za ten strach, nu, za to,
że się dotychczas trzęsą moje nogi
i że ja śmiałem nucić tam za drzwiami...

*Wchodzą Wojtek Łętowski i Jarząbek, obaj młodzi junacy,
w strojach góralskich.*

NAPIERSKI.

Pewnie jesteście strudzeni, panowie!

Podając im puhary, które wziął z kredensu i trącając się.

Pijcie!... Na szczęście!

JARZĄBEK.

Dziękujemy!

Pije.

NAPIERSKI *wychyliwszy puhar i stawiając go na stole.*

Czas wam

chwilę wypocząć — po takiej wiktoryi,
o której ludzie w późne jeszcze wieki
wspominać będą... Lecz zanim spoczniecie,
rozstawcie strażę na basztach... Odstąpił
wróg od tych murów, uląkłszy się waszej
rysyj odwagi — za co was mianuję
porucznikami wojsk królewskiej mości, —
ale któż wiedzieć może, czy też jutro
albo pojutrze znów nas nie podejdzie...

JARZĄBEK.

Haj!... anoc słyhać, jako się gotuje
świeża wyprawa... Nam się ino widzi,
że mają dosyć świstaczego sadła.

NAPIERSKI.

I mnie się zdaje... Dość im zalaliśmy
tego za skórę...

Spogląda na zegar wiszący na ścianie.

Hm! godzina czwarta.

Do Łętowskiego.

Panie Wojciechu! Ojca czy nie widać
pod naszym grodem?... Powinni już nadejść...
Imć pan marszałek Stanisław Łętowski
dobrze się sprawił...

WOJTEK ŁĘTOWSKI.

Jeszcze pogonili
za dragonami, ale już wracają;
za pół godziny, lebo za godzinę
będą na zamku...

NAPIERSKI.

Hucznie ich przyjmiemy!

Z okiem zwróconem na Mojszę, do Łętowskiego i Jarząbka.

Mości panowie, każcie im wytoczyć
wódke z piwnicy...

JARZĄBEK *zabierając się z Łętowskim do wyjścia.*

Żegnają!

NAPIERSKI *za odchodzącymi przez drzwi środkowe.*

Żegnajcie!

Zróbcie co każę, potem na spoczynek.

*Wojtek Łętowski i Jarząbek, pokłoniwszy się jeszcze we
drzwiach, wychodzą.*

ZDANOWSKI.

Jak ty przemawiasz do chamów? Szlachecką
pospolitujesz krew, mój panie Kostko!

NAPIERSKI.

Ja wiem: brat szlachcic najlepiej przemawia
do chłopskich pleców batogiem.

ZDANOWSKI.

Nie, synu!

I ja się do nich zniżam, wszak-ci nawet
do chrztu trzymałem córkę Łętowskiego...
Ale-ć tak było od wieków i w bożem
tak przyrodzeniu leży, by nam chłopstwo
do nóg padało, dziękując za łaski,
które im czynić raczymy... Prawdziwie!
Koniec już świata, jeśli z prostych chamów
i prostych zbójów robi się marszałków
i poruczników...

NAPIERSKI.

Od nich świat się pocznie!

ZDANOWSKI.

Chamy i zbój!...

MOJSZE *wysuwając się z kąta.*

Nu, i ja tak myślę.

Napierski mierzy go wzrokiem.

Mojsze spostrzegłszy się, przerażony.

Przepraszam... bardzo przepraszam... Ja tylko
chciałem powiedzieć, nu, za przeproszeniem...

NAPIERSKI.

Mojsze, ty dzisiaj taką świecisz miną,
jakbyś miał dużą ochotę ubawić

swojego pana. Wielce krotochwilnie
jest mi na sercu.

MOJSZE.

Ja wiem, krotochwilnie,
ale mnie było bardzo źle... Oj! oj! oj!
Zaczyna opowiadać z zabawnymi ruchami.
Jak ten pan Jordan wystrzelił do murów,
tak ja gwałt zrobił... Jest nas pięciu żydków
na całym zamku! — co się stanie z nami?
Aj! myślę sobie: on będzie darł pasy
z nas, pięciu żydków, będzie jeszcze gorszy,
nu, od tych chamów, od tych prostych zbójów,
których — przepraszam jaśnie jenerała —
sam pan jenerał sprowadził ze sobą,
coby nam wszystką wódkę wypijali
i jeszcze bili... Aj! tak myślę sobie,
nu, i odrazu skoknę pod pierzynę...

NAPIERSKI.

Widać, że lubisz ciepło?

MOJSZE.

Jakie ciepło?
Anim się zagrzał!... A kto temu winien?
Nu, moja Sura... Ona jest odważna
jak sama Judyt, albo jak Debora,
a jaka mądra!... Aj, jak nie przyleci
ta moja Sura, jak nie wrzaśnie na mnie:
Mojsze! ty głupi! ja nie leżę w łóżku,
a ty się kładziesz pod pierzynę?... Mojsze!
ty głupi Mojsze! Co ci jest? Ty nie wiesz,
ty głupi Mojsze, że pomiędzy nami
jest sam Jozua, który nas obroni?
Niech się on tylko pokaże na murach,
tak zaraz padną wszystkie Filistyny,

tak ten pan Jordan i jego dragony
będą zmykali, jak Moab!... — Joszua?!
Jaki Joszua?! — krzyknę w niebogłosy
z wielkiego strachu i wyskoknę sobie
odrazu z łóżka. — Co? może ten szajgec,
o którym nasze wymyślają żydki,
że on jest święty, bo się ciągle kiwa —
dzień i noc całą nad naszym talmudem
i ciągle śpiewa: »Awinu malkenu« —
pieśń konających, chociaż nikt nie kona?

NAPIERSKI, *któremu widocznie opowiadanie żydka sprawiło zadowolenie, nagle z miną pochmurną.*

Cicho!... Dość tego!...

Opanowuje się.

MOJSZE.

Ja bardzo przepraszam...

Widząc, że Napierski powrócił do dawnego stanu:

Ino, że Sura, jak ja to powiedział
w swojej głupocie tak się zapaliła,
jak sucha jodła, i trzasła: pan hetman!
On każe słońcu zatrzymać się w górze...
Aj, ja się zaśmiał — przepraszam: ja zaraz
tak pomyślałem: Joszua — on trefnem
zawsze się brzydził, a pan hetman kazał
bić wczoraj wieprza i razem z chamami
tfu! *spluwa* jadł świninę...

NAPIERSKI *z wybuchem wesołości.*

Ha! ha! ha! ha! ha!

Nagle poważnie i w zadumie.

Panie Zdanowski! Pomnisz: w Nowym Targu,
kiedym się zjawił we waściny dworze,
list przepowiedni króla jegomości
mając przy sobie, którym mi rozkazał

zaciągi czynić dla księcia z Wiśniowca
na tę wyprawę multańską, na przyzbie
usiadłszy społem, zapatrzeni w gwiazdy,
rozmawialiśmy o zegarze dziejów...

ZDANOWSKI.

Pomnę, o pomnę... Od tego wieczora
jam cię ukochał jak syna... Bohater
wyrósł przedemną, grożący na miazgę
zetrzeć zuchwalca Rakoczego. Granic
naszej nieszczęsnej Rzeczypospolitej
obiecywałeś ustrzedz z kupą chłopstwa...
I wtedyś także z rąk sprawiedliwości
wyrwał dwóch zbójów...

NAPIERSKI.

Tak, Sawkę i Czepca.

Ludzie to mężni, szkoda, by ich męstwo
miało tak zmarnieć, zamiast iść na służbę
wielkiego dzieła... Ojciec Wiktorynie!
Jeszcze o jedno chciałem cię zapytać:
Prawda, że zegar idzie swą machiną,
ale że staje, gdy go nie nakręcisz?
A kiedy stanął, wówczas trzeba człeka,
któryby jego posunął wskazówki...
Prawda? Al...

ZDANOWSKI.

Prawda!... Mości pułkowniku!

Dlaczego teraz przyszło mi to na myśl? —
być może, troska o ten kraj nasz biedny —:
Gdyśmy o jego mówili nieszczęściach
i jego zbawcach, zgasła jakaś gwiazda...
Coś mną wstrząsnęło, a i ty pobladłeś...

NAPIERSKI.

Zbladłem?... Być może.

Zagadując.

Ale wiesz, ten Jordan...

Ha! ha!

ZDANOWSKI.

Zuzannik! tchórz! ten świniobrzuchy,
zajęczonogi pyszałek biskupi
w juchtowe buty schował swoją pychę,
zgraję — owczarzy usłyszawszy zdala...

NAPIERSKI *niemile dotknięty.*

Zgraję — owczarzy?

Nagle, udając wesołość.

No, ty mój — Joszua!
przepraszam, Mojsze! Drogi panie Mojsze!
Czyś się zamienił w słup soli, jak żona
twojego imci prapraszczura Lota?
Wszak mi się widzi, iż żoną nie jesteś,
a tylko mężem swojej mądrej Sury...
Miałeś zatańczyć, zaśpiewać majufes!
Wiesz, że jest po czem i śpiewać i tańczyć!
Czy ci się nogi nie trzęsą? — Masz dzieci?

MOJSZE.

Jasny pan hetman żartuje...

NAPIERSKI.

Samsonów
chybaś nie spłodził, ani Absalomów.
Ginać nie będą ani pod gruzami
filistyńskiego kościoła, zapewne,
ani na własnych zawisnąwszy włosach
gdzieś na gałęzi...

MOJSZE *przerażony.*

Oj! oj!

ZDANOWSKI *do Mojszy, podając mu gąsiorek.*

Masz! świeży
przynieś gąsiorek... A tego samego!
Na stare kości i na melancholię
dobre to wino...

NAPIERSKI *za odchodzącym.*

Idź! pokłoń się Surze —
powiedz, że słońce stanęło na niebie,
a nam tu przyślij którą z starościanek...
Ambrozyę Bogom podawała Hebe...

MOJSZE *śpiewnie.*

Idę! już idę!
Wychodzi drzwiami po prawej.

ZDANOWSKI.

Mości pułkowniku!
Krew ci się perli w żyłach, jak w kielichu
najszlachetniejszy z napojów, podniesion
w górę ku blaskom słonecznym... Mnie troska
odbiera humor, oczy mam przymglone,
a brzegi powiek ogień mi opala...
Starość i smutek, niepewność i rozpacz!
Na ziemi polskiej zamęt, jak w dzień sądny.
Pożar się rozlał krwawymi potoki
wskrós naszych łąnów. Buta, samolubstwo
nędznych królików uderza bezwstydnie
o tron piastowy. Bratu rodzonemu
nie uwierzyłybyś, azaż nie jest zdrajcą...

NAPIERSKI.

O czym tu mówić?... Pale są na zdrajców,
a na królików...

ZDANOWSKI.

Mój panie Napierski!

Mózg mi pożera szarpiąca rozterka...
Patrząc naokół — zbląkaną żrenicą,
bo dziś człękowi trudno nie oszaleć, —
straciłem miarę dobrego i złego:
nie wiem, kto poczcwi, a kto jest zbrodniarzem,
kto jest zaprzańcem, a kto wiernym synem...
Nie wiem, zaprawdę! czy i ja nie wrogiem,
i czyś ty także nie jest wróg...

NAPIERSKI *zapominając się.*

Szalejesz,

mości Zdanowski! szalejesz! szalejesz!
Ja tu nie wrogiem...

ZDANOWSKI *uspakajając, ale znacząco.*

Ja-ć nie mówię tego...

Ale ksiądz biskup może ma i słuszość,
że tak przyjacieli zamku nie zajmuje...

NAPIERSKI *niecierpliwie, prędko.*

Jeśli inaczej nie można? jeżeli
upór królewiat gnieździ się na skalnych
szczytach, na które wspiąć się — li przemocą
albo podstępem?...

ZDANOWSKI.

I zdrajca Chmielnicki

z królewiat ukuł sobie miecz na całość
i nietykalność Rzeczypospolitej.

NAPIERSKI.

Lecz my tej świętej strzeżemy całości.

ZDANOWSKI.

Prawda! jak orły siedliśmy w tem gnieździe,
aby odpędzać krwawodziobe sępy
podłego Węgra, co z królewskich trumien
w żałobnej dzisiaj stolicy Jagiełłów
chciałyby sławne powyciągać trupy,
by je na hańbę roznieść po swych polach!
Prawda! gałęźmi zielonej jedliny
wywabiliśmy z pod hał i z pod grani
czeredę łotrów, ażeby ich strzelby
i ich siekiery, skrwawione w rozbojach,
zmienić na święte, nieskalane bronie
dla spraw ojczyzny i króla.

NAPIERSKI *w zamyśleniu.*

Masz słuszność!

Dla spraw ojczyzny i króla!

ZDANOWSKI.

Lecz powiedz:

Kto nam zaręczy, iż ten tłum niesforny
nie spłynie jutro z gór czerwcowym śniegiem
i, jak wezbrany Poprad lub Dunajec,
swą dziką falą nie zaleje naszych
łąk i pól, krwawą uznojonych pracą
długich pokoleń, co, sterawszy siły,
marły z nadzieją radosnego żniwa
dla swych następców?!... Odpowiedz! odpowiedz!
Kto nam zaręczy, że, jak tam, na kresach,
skąd nas dochodzą jęki mordowanych
przez zgraję Chmiela, skąd niemal, że słyszym
trzaski walących się w pożogach grodów —
kto nam zaręczy, że i tu nie padniem
z wielkiej rozpaczy, widząc, jak siekiery
i jak te strzelby mierzą w własnych braci,
by się objuczyć złotem i bisiorem?...
Kto mnie zaręczy — tak! kto mnie zaręczy,

mnie, stojącemu nad grobem starcowi,
 że się nie znajdzie ktoś, co własną dumę,
 choćby skrzywdzoną, zechce unieść w górę
 na tej straszliwie rozhukanej fali?
 Kto mnie zaręczy, że ty...

NAPIERSKI *w najwyższym gniewie.*

Mości panie!

Mitygując się, prawie błagalnie.

Ojcze Zdanowski!...

ZDANOWSKI.

Tak! straciłem miarę

w tem, co jest dobre, a co złe — kto zdrajcą,
 a kto jest wiernym...

NAPIERSKI.

Wino nazbyt mocne

oszołomiło coś i mnie i ciebie...

Wchodzi Mojsze, prowadząc ze sobą dziewczynę.

MOJSZE *z ruchem wskazującym na dziewczynę.*

Jest!... Najpiękniejsza!... Sam pan król...

NAPIERSKI.

Precz!

MOJSZE *zabierając się ku drzwiom.*

Idę!

Zatrzymuje się przed drzwiami po prawej.

Ja tylko jeszcze chciałem coś powiedzieć...
 coś tak ważnego...

NAPIERSKI.

Precz!...

MOJSZE.

Idę! już idę!

*Znika, odepchnąwszy dziewczynę, która chciała za nim odejść,
 nie zostawiwszy gąsiora.
 Dziewczyna stoi bezradna.*

NAPIERSKI *podchodząc do niej, łagodnie.*

Postaw!

Dziewczyna stawia wino na stole i j. w.

Napierski napót nieprzytomnie, zwrócony ku Zdanowskiemu.

Spoczniemy... Tak...

Zwracając się ku dziewczynie, j. w.

Jak ci na imię?

DZIEWCZYNA.

Hanusia, jaśnie oświecony panie!

NAPIERSKI *jakby sobie coś przypominając, czło ręką pociera.*

A tak!... Hanusia... Łętowska...

DZIEWCZYNA.

Nie, panie!

NAPIERSKI *j. w.*

Tak... prawda, prawda!... Panna starościanka,
czy kasztelana krakowskiego córka...

*Nagle zmieniając ton, jakby oprzytomniał, napót z ironią,
napót z wyrzutem.*

Mości Zdanowski! Racz popatrzeć waszmość,
jak wyglądają dzisiaj kasztelanki!...

ZDANOWSKI.

Nie żartuj sobie z prostego dziewczęcia...

NAPIERSKI *popadając w zadumę, jak nieprzytomny.*

Tak, prawda, prawda! Owoć i królewskie
włóczę się dzieci bez tronu po świecie...

Do dziewczyny, machinalnie.

Odejdź...

Dziewczyna wychodzi drzwiami po prawej.

Napierski do Zdanowskiego.

A może wypijemy jeszcze?
Nie... lepiej spocząć... Ojczyce Wiktoryniel
Wypocznij sobie... I ja spocząć pójdę.
Wszakże nas wszystkich czeka zasłużony
tutaj spoczynek...

Wychodzi drzwiami po lewej.

MOJSZE *wkradając się drzwiami z prawej.*

Wyszedł? Wiem, że wyszedł...

Panie generał...

ZDANOWSKI.

Jeszcze-ć te awansy
nie spadły na mnie.

MOJSZE.

Nu, ja wiem? Jak może
być porucznikiem ten Wojtek, ten zbójnik,
co wczoraj kazać rozebrać do naga
jednego żydka i oblać go wódką,
by go zapalić — on go nie zapalił,
bo się zlitował na ten płacz, — a za co?
że on, ten żydek, ośmielił się bąknąć,
coby te chamy nie były tak chciwe
na szabasówkę — kiej taki się zrobił
na królewskiego porucznika, — panie,
a któż ma zostać generałem?

ZDANOWSKI.

Nie masz
do powiedzenia nic więcej?

MOJSZE.

Aj! aj! aj!
Po to bym tylko przychodził?... Pan hetman,

on mnie wyrzucił — tak ja myślę sobie,
niech pan dobrodziej jemu to opowie,
co ja opowiem — coś bardzo ważnego...
Czy jest na świecie jaki Wasyl Czepiec?...

ZDANOWSKI.

Jest.

MOJSZE.

Ja wiem dobrze, że on jest... On idzie
ku Czorsztynowi i pali po drodze
karczmy i dwory...

ZDANOWSKI.

Kłamiesz!

MOJSZE.

Może kłamię,
jak waść tak mówi... Panie dobrodzieju!
Czy jest na świecie jaki pan Goślawski?

ZDANOWSKI.

Jest... jest... przyjaciel pana pułkownika...

MOJSZE.

Jemu się stało nieszczęście...

ZDANOWSKI.

Nie duży
to chyba szkoda... Zawszem tej przyjaźni
szczerze odradzał panu Napierskiemu.

MOJSZE.

Nu, on się upił...

ZDANOWSKI.

Nudzisz...

MOJSZE.

On się upił
i jakieś ważne pokazywał listy
któremuś księdzu... A ten ksiądz, on zaraz
gwałt wielki zrobił... Oddał je biskupim
i w okolicy mocno hałasuje,
że pan Napierski — aj! aj! ja się boję...

ZDANOWSKI *z zaciekawieniem i jęką z przeczuciem.*
Nie bój się... gadaj!...

MOJSZE.

Nu, że pan Napierski...
jasny pan hetman... nu, że on jest — zdrajca!

ZDANOWSKI.

Zdrajca!... Ty podły żydzie!...

MOJSZE.

Nie mówiłem,
że ja się boję...

ZDANOWSKI *z objawami rozpacz i zdumienia.*
Zdrajca!!...

MOJSZE.

Nu, ja tego...

spluwając

tfu! nie powiadam... Tylko jeden żydek,
co on miał ze mną gieszefty — uczciwe,
żeby tak skończył — on chodził na handel
i dzisiaj wrócił, wpuszczałem go furtką.
On tak się lubi tu i tam pokręcić,
niby nie widzi nic, a wszystko widzi
i wszystko słyszy, chociaż nic nie słyszy,
bo to dla żydka jest zawsze interes —
on mi powiedział w wielkiej tajemnicy,

że pan Napierski jest — zdrajca... Ja myślę:
Co tajemnica? Może to paskudztwo —
niech jasny hetman wyrze swoją zemstę,
jak nasz Joszua, na tych swoich wrogach,
że takie brzydkie rzeczy o nim mówią...
Ja go się teraz boję — bardzo boję...
Niech pan dobrodziej sam mu to opowie.

ZDANOWSKI.

Zdrajca!... Niel... Boże!...

MOJSZE.

Panie dobrodzieju!
Pan się tak zmienił?... Co się panu stało?...
Nic już nie powiem...

ZDANOWSKI *chwytając go za bary.*

Gadaj! gadaj wszystko...
Co było w listach? Od kogo te listy?

MOJSZE.

Niech pan dobrodziej mnie puść!... ja proszę —
ja biedny człowiek! ja mam żonę, Surę,
mogę mieć dzieci... ja wszystko opowiem. —
Niech pan dobrodziej mnie puść!...

Zdanowski puszcza go.

Ten żydek —

on mnie wyjawiał w wielkiej tajemnicy,
że listy były od tego zbójnika —

uroczyście

niech on przepadnie! niech jego nazwisko
i jego imię będzie na wiek wieków
przekłętę w bożym narodzie! Niech dzieci
i jego wnuki i prawnuki wnuków
nawiedza czarna choroba! Z mogiły
niech wygrzebuja psy ich świeże kości —

zmieniając ton

przepraszam — listy te były od Chmiela,
co on — my żydki, my to wszystko wiemy —
co on tam pali karczmy i bożnice
i na gałęziach wiesza psa i żyda,
nu — ja przepraszam — i szlachcica... Panie!
on chce być królem...

Zdanowski pobałdł ze wzruszenia i grozy.

Panie dobrodzieju!

Co waść tak pobałdł? aj! aj! waść tak patrzy!
waść chce mnie pożreć tym okropnym wzrokiem.
Przepraszam... nic już nie powiem, nic...

ZDANOWSKI.

Gadaj!

bo ci bebechy wytrzęsę!... Co było
w tych strasznych listach?... Ja wiem, co być mogło,
ale ty gadaj! gadaj!

MOJSZE.

Nu, ten gałgan,
ten łotr, ten złodziej, rabuś, szubienicznik —
on tam napisał, że on będzie królem,
że on z tych chamów zrobi samych szlachtę —
czy pan dobrodziej to słyszał? on z chłopów
chce zrobić szlachtę! — ino, tak on pisał,
niech powstawają przeciw swoim panom,
niech się gromadzą w takie wielkie bandy —
aj! aj! niech wezmą widły i topory,
kosi i strzelby, na swoich dziedziców
i na swych żydków, i że on im same
rozda wolności...

Tłum górali zjawia się w dziedzińcu.

Panie dobrodzieju!

Czy waszmość słyszy?... To jest gwar!... To oni!
Oni nas wyróżną!... Oni już w dziedzińcu!

Podchodzi trwożliwie ku oknu, zaraz się cofa.

Niech pan dobrodziej popatrzy przez okno —
oni śpiewają!

CHÓR *w dziedzińcu zamkowym.*

Od buczka do buczka,
zasię do jawora,
będzie z pieniążkami
niejedna komora!

MOJSZE.

Aj! aj! co za kierdel!

Oni nas wyróżną!... Co ja biedny zrobię?!
Co robi Sura?! Co robią żydkowie?!
aj! aj! aj! aj! aj!

ZDANOWSKI *z gorzką ironią.*

To są żołnierze króla jegomości,
pójdą odpędzać wroga od granicy.

Mojsze wychodzi przestraszony drzwiami na prawo.

Zdanowski sam.

Zdrajca!... Ten młodzian, za którym poszedłem,
jako za zbawcą ojczyzny, jest — zdrajcą!
W spółce z Chmielnickim!... Panie Jezu Chryste!
Chce Rakoczego wyganiać — on, zdrajca!...
Królowi wojsko formuje — tak! wojsko,
co pali dwory!...

ŁĘTOWSKI *nie spostrzegłszy Zdanowskiego, we drzwiach
z prawej, głośno.*

Gdzież jest pan naczelnik?

ZDANOWSKI.

Dyabłu się oddał!

ŁĘTOWSKI.

Witam, panie kumiel

ZDANOWSKI.

Rabowi wara kumać się z szlachcicem,
choć ci dopomógł z pogańskiego błota
oczyścić dziecko świętym chrztem...

Do Czepca.

Tyżeś to,

ŁĘTOWSKI *podczas tego, klaszcząc w ręce.*

Haj! naczelniku! haj! haj!

CZEPIEC *niemal równocześnie, do Zdanowskiego.*

Sława Bohu!

ZDANOWSKI.

Tyżeś to Czepiec? któregoś ratował
z pod szubienicy... tak!

wskazując na drzwi na lewo, prowadzące do komnaty Na-
pierskiego

do spółki z tamtym!

Złodziej! podpalacz! morderca pan Czepiec!

ŁĘTOWSKI.

Mój panie kumie! Juści jabym dla was
w Ciemne Smreczyny szedł lub do Niechcyrki,
by wam niedźwiedzich kudłów na posłanie
nabrać z tych strasznych pustaci... Lecz wiedzą:
hnuśnie i szpetnie gwarzyć tak o moich
harnych junakach...

ZDANOWSKI.

Stawiasz się?

ŁĘTOWSKI.

Nie stawiam,

a ino mówię, jako idą czasy,
gdzie wy panowie szlachta z czapką w ręku
będziecie prosić w kumy...

ZDANOWSKI.

Poruczników
albo marszałków w guniach i serdakach.

RADOCKI.

Święty Jan Chrzciciel włosieniem okrywał
swe chude lędźwie, a sam Jezus Chrystus,
Pan nasz i Zbawca, nie miał i na kerpcie,
czy na sandały, a tylko swe stopy
ranił o pychę możnych i uczonych
faryzeuszów... Kontusz nie jest jeszcze
wszystkiem na świecie...

ZDANOWSKI.

I ty, mości klecho,
błogosław zbrodni... Niech was!
Zabiera się do wyjścia.

ŁĘTOWSKI *za odchodzącym.*

Panie kumie!
A my-ć tam waszą krew uszanujemy,
choć inna łać się będzie...
Drzwiami z lewej wchodzi

NAPIERSKI *i spotkawszy się we drzwiach ze Zdanowskim,
czule.*

Drogi ojczel!

ZDANOWSKI.

Pies ci jest ojcem! pies!... Zdrajca! buntownik!
Wychodzi na lewo.

NAPIERSKI *do Łętowskiego i reszty.*

Za dużo wina wypił po zwycięstwie.

RADOCKI *z namaszczeniem.*

Pijany Noe ukazał swą nagość —
tak mówi Pismo.

ŁĘTOWSKI *zdumiony.*

Janosik! co widzę!

NAPIERSKI *podając mu rękę.*

Panie marszałku! Królewski pułkownik,
który was przyszedł wyswobodzić z jarzma
żydów i szlachty, co by także chcieli
i jego świętość, ten wolny majestat,
skować w żelźce...

Zwracając się do Radockiego i Czepca.

Witam, mości panów!

Panie Radocki! miło mi zobaczyć
męża, co poznał ewangelię bożą
i dziś, jak Pana naszego Chrystusa
święty apostoł, głosi ją po świecie.

RADOCKI.

Ucho, otwarte na karność żywota,
w pośrodku mądrych zamieszka, a oto
serce mądrego roztropnie sprawuje
swe grzeszne usta.

NAPIERSKI *do Czepca.*

Dzielny mój Wasylu!

Podaj mi wierną dłoń...

Potrząsając.

Tak!

CZEPIEC.

Sława Bohu!

NAPIERSKI.

Wam ja to wielkie zawdzięczam zwycięstwo,
które jest słupem na granicy światów...
Zmierzch jest za nami, a przed nami słońce!

RADOCKI.

Kto był poniżony, wywyższony będzie.

NAPIERSKI.

Już wywyższony... Znikli niewolnicy,
odkąd rycerska rozpira się dusza
w zgąbnionej piersi bożych sług... Tumany
białego kurzu w górę się uniosą
z pod stóp lecących w przepaść wrogów...

ŁĘTOWSKI, *który przedtem bez ceremonii usiadł sobie na
jednym z krzesel.*

Anoć

uciekał Jordan, że aż się kurzyło...

NAPIERSKI.

I inni będą uciekać, niech tylko
żołnierze pańscy wyrastają z ziemi
jako ten owies po wiosennym deszczu.
Niech tylko czołem zachwieją odważnem,
jak te wierzchołki zielonych smereków
ponad waszemi hałami, gdzie wolność
nieustraszona władnie.

ŁĘTOWSKI *powstaje z krzesła.*

Jest nas sporo
tęgiego chłopca, a zaś w lasach wżarskich
jeszcze-ć nas więcej zostało ze Sawką.
A jako spojrzeć na całe Podhale,
hań od Orawy, aż tam gdzieś ku Rabce
i jeszcze dalej, aż popod Baranią,
lud się już zrywa i przy jasnej łunie
widzi, co robić, a każdy odważny,
jakby sto razy z śmiercią się szamotał
nad ciemnym żlebem i ją zmógł i skoczył,
niby kozica, na wirszyczek.

NAPIERSKI.

Bracie!

Wykorzenimy niezbożnych ze ziemi
i wygładzimy przewrotników...

ŁĘTOWSKI.

Juści!

Ale na dzisiaj jeszcze jedno słowo!
Pięknie gwarzycie! Jak miód, tak wam płyną
słodkie wyrazy z waszych ustek kraśnych.
A listy takie piszecie, że człowiek —
choć mu już włosy mocno posiwiały —

RADOCKI.

Rzetelne listy — kaznodzieja boży...

ŁĘTOWSKI.

Panie rektorze! pozwolą — ja teraz,
widzą, przemawiam...

zwrócony ku Napierskiemu

anoć, że haw! w sercu
czuje się młodość i fryśną ochotę
nie na Węgierskie k'Budzinu, a dalej,
aż tam na krańce ogromnego świata,
by go podważyć i, widzą, wywrócić,
jak wóz ze sianem... Czy słuchacie?

NAPIERSKI.

Słucham.

ŁĘTOWSKI.

Moc luda-m zebrał...

Z ruchem ku Radockiemu.

Pan rektor wam powie,
o co mu idzie — o królestwo boże...
Ja-ć prosty gazda, któremu zajmują
krowy z pastwiska i łypią oczami
na piękną córkę — szlachcice —

Napierski objawia niepokój, wnet się jednak miarkuje.

— — ja patrzeć

wcale nie mogę, jak się starostowie

i ich hajduki pastwią bez litości
na pokoleniach, jakby chłop nie człękiem,
a ino psem był albo jeszcze gorzej.
Ja chcę to zmienić... Czy słuchacie?

NAPIERSKI.

Słucham.

ŁĘTOWSKI.

Idziem na wojnę...

RADOCKI.

Na krzyżową wojnę.

ŁĘTOWSKI.

Krzyż swój schowajcie!... U mnie jest ciupaga.

CZIEPIEC.

A u mnie...

ŁĘTOWSKI.

Cicho! Z panem naczelnikiem
mówię, nie z wami...

Do Napierskiego.

Ja widzę naocznie,
iżeście chcieli poznać naszą biedę,
boście nieomal poszli juhasować
w tych naszych halach... Aleć tak bywało,
że lach niejeden zbiegł ku nam, buntował,
a potem zdradził... Panie naczelniku:
Moc luda-m zebrał, bez nas jesteś niczem,
a gdybyś stanął przeciw naszej sprawie,
albo ją rzucił dzisiaj, gdy mnie w domu —

NAPIERSKI.

Groźba?

ŁĘTOWSKI.

Czy groźba?... Wiedzą: ja-ć za młodu
chodził w regle rubać smereczynę,
rubalek z góry a mocno, że kłody
padały z jękiem — od rzutu!... Nie był
nigdy we dworach marnym pacholikiem,
wełny-m paniętom nie zwijał, więc mówię,
jako i myślę: U mnie dzisiaj w domu
zapewne zgłiszcza — pana Biczyskiego
ubił tam Czepiec; nie mam poco wracać...

RADOCKI.

I mój kominek zburzony... Z Krakowa-m
otrzymał wieści, jako już odjęte
jest mi rektorstwo — tak ksiądz biskup kazał...
Ale co dla mnie rektorstwo, gdy dzisiaj
Jezajaszowych mogą nadśłuchiwać
proroctw, jak prawdą się stają.

NAPIERSKI *drwiąco*.

A Czepiec?

Może i ty mnie pogroźisz gniazdeczkiem,
które ci wicher wyrócił?

CZEPIEC.

Mem gniazdkiem

jest szubienica, tej, wiedzą nie szkoda...

ŁĘTOWSKI.

O haj!... Tak mówię: nie mam poco wracać,
tem raźniej pójde choćby pod sam Wawel
lub pod Warszawę — na ogień, na wodę,
na miecz, na kule... A zaś biada temu,
ktoby z nas zadrwił... Słuchacie?

NAPIERSKI.

Czy słucham?

Przemawiasz do mnie, marszałku Łętowski,

jak gdybym nie był pułkownikiem króla,
lecz twym — parobkiem.

ŁĘTOWSKI.

Nie prawda!

RADOCKI.

Człek prosty.

a zaś tak twardy jako krzesanica.

ŁĘTOWSKI.

Ale uczciwy... Tak im powiem jedno:
Mości królewski panie pułkowniku!
I my-ć pomóżem królowi, niech tylko
broni nas, gazdów, od krzywdy... A z wami
na szubienicę pójde lub gdzie chcecie —
gdzie nas powiedzie wasza mość hetmańska,
a ino szczerze godnie i bez zdrady...
My waszym wojskiem, waszym regimentem,
którym możecie wojować do końca,
póki ostatnia krew z nas nie pocieknie...
Mości hetmanie! czy słuchacie?

NAPIERSKI.

Słucham...

ŁĘTOWSKI.

U was odwaga jest, jako i u nas,
a większy rozum, bo my nie uczeni —
tak wam dajemy dowództwo... Lecz jedno,
widzą, trza zrobić: przysięgnąć!...

NAPIERSKI.

Przysięgnąć?!!

Więc mi na słowo wierzyć nie raczycie?
Mnie, którym dla was rzucił dwór królewski
i szedł w juhasy między was, by ujrzeć
rany na waszych grzbietach? Nie wierzycie

mnie, com się zamknął w tym czorsztyńskim grodzie
i z garstką wiernych rzucałem tą ręką
głazy na wojska waszych twardych wrogów,
choć między nimi mogłem — syn królewski —
jak paw się puszyć, opływać we wszystko,
czego-by tylko zapragnęła dusza,
przyzwyczajona — panować?

ŁĘTOWSKI.

Wierzymy...

Ino, że u nas gazdów ten obyczaj:
My-ć z Panem Bogiem bardzo i nie bardzo:
zmówimy pacierz, a jak człek nagrzeszy,
to się i czasem wypowiada. Przecie
jedno jest dla nas największą świętością:
święta przysięga!... Ruszym na wyprawę
poprzez przełęcz, granie i pustacie,
przez straszne zleby i kolczaste wirchy,
tak przysięgamy na wierność. My wiemy,
że kto ma zamiar niedotrzymać, w drodze,
nim się spodzieje, jak głaz spadnie z turni
na wieki wieków... Przejasny hetmanie!
zamek czorsztyński wysoki i stroma
jest krzesanica, na której się wspina —
Dunajec pod nim szumi wieki wieków!

Zwrócony do Radockiego.

Panie Radocki, dajcie krzyż!

Do Napierskiego.

Przysięgasz,
jako nam wiary dochowasz?

NAPIERSKI *machinalnie, jakby z rezygnacją.*

Przysięgam,
jako że wiary dochowam.

ŁĘTOWSKI.

Do śmierci?

NAPIERSKI *j. w.*

Do — śmierci.

ŁĘTOWSKI.

Panie! my zaś przyrzekamy,
że pójdziem z tobą — jeżeli potrzeba,
na szubienicę, czy na pal, do lochu
czy na tortury...

RADOCKI.

Amen!

Do sali wpadają od strony dziedzińca junacy.

GŁOSY Z POŚRÓD JUNAKÓW.

Gdzie nasz hetman?

My przez wykroty biegli i kamienie,
aż się krwawiły nam stopy; czekamy,
aby zobaczyć hetmana, a hetman
zapija sobie z starszyzną...

ŁĘTOWSKI.

Przysięgał...

KILKU JUNAKÓW przyskoczywszy do stołu i nalawszy
sobie wina do puharów, zwróceni do Łętowskiego i Czepca.

Na zdrowie, panie marszałku! na zdrowie,
Czeczce, junaku!

ŁĘTOWSKI *gromko.*

Cóż to?!

NAPIERSKI.

Tak witacie

swego hetmana? Ja was za tę czelność
każę wywieszać...

GŁOSY Z POŚRÓD JUNAKÓW.

Jeszcze-ć nie wyrosły
jedliczki dla nas! O haj!...

ŁĘTOWSKI *j. w.*

Odejść! odejść!

Czepiec i Jarocki dają znak ręką, aby wyszli.

Junacy wychodzą.

NAPIERSKI *do Łętowskiego, wskazując ręką na odchodzących.*

To bunt?

ŁĘTOWSKI.

Nie, panie! krew harnasiów naszych...

RADOCKI.

Lud niecierpliwy czeka u Horebu,
pragnie zobaczyć swojego wybrańca...

Podczas całej tej sceny dolatuje gwar z dziedzińca, gwar ten ku końcowi wzmaga się coraz bardziej.

NAPIERSKI *przystąpiwszy do okna, na dół ku dziedzińcowi.*

Bracia!

RADOCKI *przystąpiwszy również do okna.*

Narodzie!... Pierwszy i Ostatni,
ten, który umarł i znów ożył!

NAPIERSKI.

Bracia!

Wita...

TŁUM W DZIEDZIŃCU.

Niech żyje nasz hetman!

NAPIERSKI.

Witajcie!

Bracia! na wielką przybyliście ucztę —
jutro wam większą zgotuję! Nasz wspólny

wróg, co ostatnie zdzierał łyko z biednych,
ten wróg zdeptany!

GŁOS HANUSI *przerażony i zdumiony.*

Janosik!

TŁUM W DZIEDZIŃCU.

A żyj nam!

żyj nam! Janosik powstał z swej mogiły
i w bój nas wiedzie, w wielki bój!

NAPIERSKI *do tłumu w dziedzińcu.*

A teraz

użyjcie wczasu!...

Do Łętowskiego.

Panie Stanisławie!

panie marszałku! cóż to za dziewczyna?

ŁĘTOWSKI.

To moja córka, Hanusia.

NAPIERSKI.

Hanusia ?!!

ŁĘTOWSKI *przy oknie, wskazując na tłum.*

A to jest, widzą, Salucha... Jak rzekłem,
imć pan Bicznyński na dom nasz najechał,
ale mu Czepiec ozbił mudru hlawku.
Zemsty się bałek, tak ją wiodę z sobą —
bo, wiedzą, myślę: matce, starej babie,
nic tam nie zrobią, zaś młodej dziewczynie...
A tę Saluchę zeszliliśmy po drodze...

NAPIERSKI *woła na dół ku dziedzińcowi.*

Hanusiu!

ŁĘTOWSKI.

Wielki to jest zaszczyt dla mnie,
że pan naczelnik wzywa moją córkę
przed swe oblicze.

RADOCKI.

Pobożnie przemawia
człowiek ubogi, a w uścich bogaczy
odpowiedź bywa surową, lecz tutaj
ramię, ubrane w złoto i aksamit,
sięga miłośnie ku maluczkim.

NAPIERSKI.

Wszakże

ja brat wasz...

ŁĘTOWSKI.

Mamy i jeńców ze sobą,
panów hajduków, abyś ich sam, bracie,
wywieszał na tych gałęziach.

NAPIERSKI.

Nie, puścić!

Nie chcę wesela zamącać ich śmiercią!

Po małej chwili.

Tylko potrzeba wziąć — przysięgę od nich...

ŁĘTOWSKI.

O, haj! przysięgę! przysięgę! przysięgę!

NAPIERSKI.

...że broń w ich ręku nigdy się nie zwróci
przeciw ich panu i przeciw ludowi.

RADOCKI.

Pan swą mądrością ugruntuwał ziemię
i ²⁰roztropnością umocnił niebiosy.

NAPIERSKI.

Panie marszałku! zarządziłem wszystko,
by jadła było i picia do syta.

Sam ty ugaszczaj... Żegnajcie, druhowie.

Łętowski i Radocki przodem ku drzwiom środkowym, znikają; za nimi zwolna Czepiec.

CZEPIEC *po zniknięciu Łętowskiego i Radockiego, odwracając się do Napierskiego.*

Dziewkę-ś mi uwiódł, panie pułkowniku.

NAPIERSKI.

Twoją?

CZEPIEC *z tłumioną zawziętością.*

Ha! moją! moją...

Chcąc odejść, pokornie.

Sława Bohu!

NAPIERSKI.

Poczekaj, Czepcze!...

Czepiec odwraca się od drzwi, podchodzi ku Napierskiemu.

Dzielny z ciebie junak —

najwaleczniejszy, rzekłbym, pośród naszych...

Trzeba odwagi twej na przywitanie

nieprzyjaciela... Weź młodców swoich

i zabierz drogę biskupim... boć chyba

miejmy nadzieję, że przyjdą...

CZEPIEC.

Mołodcy

moi strudzeni. Trza im wypoczynku.

Zostaw nas, panie, na zamku. To lepiej. —

W lasach jest Sawka, a ten wam wystarczy.

NAPIERSKI.

Jeśli ci każę...

CZEPIEC.

Ha! pójdę... Lecz proszę:
zostaw nas, panie, na zamku. Junacy
mogą się łatwo zbuntować... Chcą zostać
przy waszym boku, a waść ich wypędzasz.
Zostaw ich, panie, na zamku.

NAPIERSKI.

Zostawiam.

*Czepiec pokłoniwszy się, odchodzi głównemi drzwiami.
Napierski sam, ręką pociera czoło w zadumie.*

Zda mi się prawie, że stałem się piłką,
którą podrzuca ten tłum...

Po chwili.

Hm!... Łętowski

niedźwiedź, lecz szczerzy...

*Przechadza się po sali, potem staje, opiera się o krawędź stołu.
Po chwili wchodzi Hanusia Łętowska i Salka Nieznana.*

HANUSIA, prowadzona przez Salkę, wszedłszy głównemi
drzwiami od dziedzińca, wyciągając ręce, wyrwawszy je Salce.

Janosik!

Cofa się, napót nieprzytomna, prawie bezwładna, słaniając się.

Królewski,

jasny pułkownik!... królewski pułkownik!...

Po chwili, po cichu, nawpót do siebie.

A kto kołysać będzie nasze dziecię?!

Po chwili.

Królewski, jasny pułkownik!...

NAPIERSKI *ku drzwiom na prawo.*

Hej! służba!

Do Hanusi.

Upadasz z drogi, a i strach przebyty
z panem Biczynskim...

HANUSIA.

O, z panem Biczynskim!...

Po chwili.

Królewski, jasny pułkownik...

NAPIERSKI *czule.*

Ty — dziecko!

Wchodzi służba; do służby.

W pana starosty sypialnej komnacie
zgotować łoże... Godzi się jedynej,
imci marszałka Łętowskiego córce
spocząć na puchach — po trudach przeprawy —
i na jedwabiach...

Do Salgi Nieznanej.

Dopomóż jej, stara!

Salga wyprowadza staniającą się Hanusię przez drzwi na lewo.

Napierski sam, przechadza się po sali, po chwili przystępuje do okna, wychodzącego na dziedziniec zamkowy i w zamyśleniu przyciska czoło do szyby. Mała przerwa. Powraca

SALKA NIEZNANA.

Śpi... nieprzytomna... ponadmiar zmęczona...
Lecz to przeminie... Teraz pójdz w ramiona,
mój królewiczu! W ramiona piastunki,
która dla ciebie troski i frasunki
zniosła niejedne i wśród twardej drogi
do krwi kaleczy bosc, słabe nogi,
pod chamską strzechą chlebek owsiany zjada
i przez biskupie szyki się przekrada,
i z widmem zimnej śmierci się szamota,
byś ty się palił ogniami żywota!
Ale twa dusza już gasnąć zaczyna,
jak wilgna słoma...

NAPIERSKI *napół do siebie.*

Ta biedna dziewczyna,
z którą mnie serce związało, a może —
a może tylko lekkomyślność...

SALKA.

Boże!

Ta cię zasmuca?! Ona niech ci służy
w tej ku podniebnym wyżynom podróży,
jak wszystko w świecie winno służyć tobie...
Toć król Władysław i mnie... Na tym globie,
w okrąg, jak słońce zakreśla swe koło,
ty jeden jesteś!... A więc podnieś czoło!
Długie na ciebie pracowały wieki,
ażebys powstał ty jeden — daleki,
a już tak blizki... Wszystko, co twe oko
zobaczyć zdolne w głębiach i wysoko,
wstecz poza tobą i przy tobie — wszystkie
rozstrój i wszystko zdźwięczenie to listki
na drzewie świata, które rwij bez lęku
i zdepc stopami, albo rozgnieć w rękę —
wszystko to środek: ty do celu zmierzaj,
a celem jesteś ty sam...

NAPIERSKI.

Wierzaj! wierzaj!

Tylu przedemną było sobie celem,
a przecież padli przed kresu weselem,
kłątwą zwiedzionych, jak sforą ścigani,
ich łzy i smutek otrzymawszy w dani.
Potem zostaje dzieci tłum sierocy,
by im w złowróźbnej, potępieńczej nocy
szepnął ukrytej szatan świadomości,
że z krwi królewskiej wyrosły, że włości
ich królewskiego dziedzictwa na ziemi
dłońmi wydarła przywłaszczycielskimi —

zgraja rabusiów, że prawo posiadły,
 aby tak piły i aby tak jadły,
 jak ci, co błyszczą na wszechwładnych górach
 tronów złocistych, i aby w purpurach
 mogły się puszyć i w słodkiej swobodzie
 kierować mogły swoje strojne łodzie
 na jasne tonie wszelakiej rozkoszy...
 Potem w ich wnętrzu dziki zwierz się spłoszy
 i ryczeć pocznie. I z rozwartem okiem,
 w którym za iskier czerwonym potokiem
 kryje się chyłkiem ciemna, niewstrzymana
 potęga końca, gnane przez szatana,
 pędzą, jak burza, jak szaleńców rzesze,
 co wyłamały w zabójczej ucieśce
 kraty cel swoich!... I nie bacząc wcale,
 ilu podepcą w rozhukanym szale,
 nad brzeg otchłani ilu porwą z sobą,
 już zarażonych straszną ich chorobą,
 wciąż pędzą naprzód... I, ślepotą zbrojne,
 wypowiadają swoim losom wojnę,
 bunt przeciw własnej podnoszą naturze
 i przeciw Bogu, i, podobne chmurze,
 w której są gromów łyskliwe zaczątki,
 lecą, jak gromy, na boskie porządki —
 jeśli porządkiem ktoś nazywać raczy
 hańbę krwi naszej, co płodzi w spokoju
 i szal radości i klątwę rozpacz,
 zwyciężających i ginących w boju,
 tych, co tchórzliwi i tych, co są śmieli,
 uciemiężonych i ciemiężycieli,
 i cnych i podłych...

SALKA, która podczas tego objawiała zniecierpliwienie
 i gniew — ironicznie.

Ha! ha!... Skry się żarzą!

Jeszcze się palisz!...

Uragliwie.

Choć tam,
wskazując na drzwi środkowe z zimną twarzą
stojąc przed tłumem, nie miałeś już siły,
aby zahuczeć nad wzgórzem mogiły,
jako te gromy, bez żalu i trwogi
bijące w wilków przerażone stado...
Bądź, jak pioruny, twardy i złowrogi
i hucz pieśń jedną: »Zagłado! zagłado!«
hucz ją bez końca, aż — dobiegniesz końca...
Wiem, wiem: ten zachód dzisiejszego słońca
nad miarę kształtu człowieka wydłużył
cień twojej postaci, i tyś przed nim stchórzył,
przed własnym cieniem — tyś go się przeraził,
synu królewski!

NAPIERSKI.

Widzisz: przerażenie,
tak mi się niemal wydaje — jest dzisiaj
treścią mej duszy... Pod jego ciężarem
gnę się i kurczę, maleję, zapadam
w ziemię, jak robak...

SALKA.

A przecież ty jeden
wziąć powinienes rozbrat z przerażeniem!
Masz prawo rosnać, choćbyś swoim cieniem
nie kraj ten okrył, ale i glob cały...
Lecz to ci mówię, że twój blask wspaniały —
nie cień! — nad miarę w okrąg się rozszerzy
i promieniami w przyszłe czasy sięgnie...
Cóż to za mądrość w twojej duszy się lęgnie?
Tyś syn królewski! W tobie przyszłość leży,
jakiej dotychczas nie dano nikomu!
Z królewskich ojców wypędzony domu,
nie mędrkuj zaków dobrodusznych wzorem,
którzy w swem wątpliwym rozumieniu chorem,

okaleczałem na szkolarskiej ławie,
dlatego tylko prawo i bezprawie
za przyrodzoną mają tu konieczność,
ponieważ wzrok ich, uwiązłszy snąc wieczność
na martwych głoskach butwiejącej księgi,
z poza katedry nie widzi potęgi
złotego tronu... Ty, królewskie dziecię,
tak wzdyc rozumuj: na to są na świecie
ciemnizycciele, aby ciemnizeni
wywarli na nich swą pomstę... Nie zmieni
nic tego prawa: kto krzywdę posieje,
niech zbiera krzywdę...

NAPIERSKI.

A jeśli nadzieje
zwiędną przed czasem? Jeżeli skrzywdzony
padnie, nim zemsty dopełni?... Fatalność
chodzi drogami człowieka... Przed chwilą
obdarty żydek, tutaj, w tej komnacie,
wspominał, tak sobie, nie wiedząc, co czyni,
pieśń konających — »Awinu malkenu« —
i ja... zadrżałem... Dlaczego?

SALKA.

Boś tchórzem!

NAPIERSKI.

Nędzna żebraczko! skąd-że ta bezczelność?

SALKA.

Mam tutaj prawo być nawet bezczelną,
jeśli potrzeba: — Jestem twoją — matką!

NAPIERSKI.

Matką?!... Łżesz podle!... nigdy ja swej matki
nie widział w życiu!...

SALKA.

I ją z królewskiego
wygnano dworu, aby król przed sobą
nie miał żywego wyrzutu sumienia,
który-by patrzył nań oczami — krzywdy.
Lecz gdy tę krzywdę puszczono na wichry,
na śnieg, na burzę, na spiekotę słońca,
nikt jej nie umiał zagaścić gryzących
ogni w żrenicach, nikt jej nie odebrał
władzy w tych nogach,

pięść ściśniętą podnosząc do góry

ni w pięściach, nikt w gardle
nie umiał zdławić jej głosu — strasznego,
jak stał brzytewna krającego głosu!...
Biegła, pełzała, wiała się w rozpacz,
krzycząc ku niebu o pomszczenie...

NAPIERSKI *podchodząc ku niej.*

Matko!...

SALKA *odpycha go.*

Cicho!... Nie jestem twą matką... Piastunką
jestem-li twoją, a może i... Zresztą:
Mało-ż jest ludzi na świecie, dla których
krzywda nie była piastunką — czy matką? —
to wszystko jedno!...

NAPIERSKI.

Nieszczęście!... nieszczęście!...

I ja skrzywdziłem —

wskazując ku drzwiom na lewo

tamtę!... Biegać będzie,
pełzać i wić się i krzyczeć w rozpacz
k'niebu o pomstę — niech się tylko zbudzi
z nieprzytomności...

SALKA.

Dziekiem ją nazwałś!...
Dziecko!... Tak! dziecko! I zostanie dzieckiem...
zawsze... do końca... Wiecznie marzyć będzie
o tych aniołach, schodzących na ziemię,
aby prowadzić ku krainie złudy
wierzące dusze... A gdy się zawiedzie,
jeszcze swej wiary zemstą nie opłaci...
Dziecko... tak, dziecko...

NAPIERSKI.

Nieraz w takich dzieciach,
tulących w łonie różowe marzenia,
budzi się groza, tem niebezpieczniejsza,
im większą była ich złuda...

SALKA.

Jak owca
grzechotem węża, tak ona pobita
czarem twej władzy, którą naokoło
rozsiewasz okiem, licem i postacią,
odwagą, siłą i wielką nadzieją
rajskiego życia, co ich z upodlenia,
z pyłu niewoli, z głodu, niedospania —
tych psów w obroży, bitych i kopanych —
podnosi naraz ku wyżynom ludzi.
Wdzięczną ci będzie, żeś jej w biednym sercu,
w tem chłopskim sercu, rozżegnał świadomość,
jako jest godnem, by je miłowały
syny królewskie...

Mała przerwa.

NAPIERSKI *po chwili, w zamyśleniu.*

A Czepiec?...

SALKA.

»Awinu
malkenu«?!... Boisz się Czepca?... Posłuchaj:

Raz przeznaczenie, u siebie samego
będąc za służę, pędziło
woły na rzeź...

Co się nie dzieje?... Ot, żal uczuło,
chciało się wrócić z swej drogi,
ale nie mogło...

NAPIERSKI.

Ha!... Ale nie mogło!...

Straszna przypowieść... dobrze ją rozumiem...
I bez zdziwienia usłyszałbym dzisiaj,
że uraczyłaś nią i — Czepca... Ha! ha!...

SALKA.

I to być może. — Jest Czepiec na świecie
i po wiek wieków zostanie... Lecz nigdy —
nigdy bohater, idący na poprzek
średnicy ziemi, Czepcom nie ustąpi...
A takie bywa ludzkie przeznaczenie.
że nieraz skon swój uwalniamy z stryczka,
by się tem prędzej przybliżyć...

NAPIERSKI.

Wiesz o tem,
żem ja uwolnił Czepca od pętlicy?...
Skon odwiązała ze stryczka ta ręka!

SALKA.

Żaden bohater skonu się nie lęka!...
A może... Boisz się Czepca?... Więc dalej!...
Sprzątnij go z drogi... Niel nie!... dom się pali!
Cała ta zgraja stanie przeciw tobie!...
Zresztą odpowiedz: czy na ziemskim globie
jeden jest Czepiec?...

NAPIERSKI *po chwili*.

Ha! gdyby to człowiek
posiadał w duszy moc niepowstrzymaną,

aby mógł dążyć milami do celu!
On wielką żądą chce ogarnąć ziemię,
a kroki jego mierzą się na łokieć.
Giętke ramiona do lotu rozkłada,
złudę - olbrzyma uczuwa w swem wnętrzu,
a na podwórku skacze, jak ten wróbel,
któremu ptactwo, równie, jak on, liche,
umiało pióra wydziobać ze skrzydeł...

SALKA.

Zaczynasz znowu mędrkować... Czy sądzisz,
że mędrkowaniem rozbudził Chmielnicki
tę straszną trwogę?... Czy sądzisz, ty starcze,
z poza katedry nie widzący tronu,
iż mędrkowaniem on zawiódł te tłumy
do takich zwycięstw, że jeszcze po wiekach
piał o nich będą krwawe, dzikie pieśni
siwi lirnicy, siadłszy na kurhanach,
kryjących zmarłą waleczność rycerzy,
co tutaj byli — ciemiężcami ludu?

NAPIERSKI.

Chmielnicki wrogiem — i kraju i — ludu —
i nie o jego myśli on zbawieniu...

SALKA.

Więc ty go zbawiaj! ty lud ten wyprowadź
na wielkie światło — i niech w jego blaskach
tron twój jaśnieje.

NAPIERSKI.

Nie mów mi o tronie,
dopóki żyje stryj!...

SALKA.

Twój stryj?! Hahaha!
Ty lud wybawiaj i nie drzyj! Wybawiaj

lud z tego jarzma, które kraj ten gubi —
wybawiaj lud ten...

Wchodzi drzwiami od dziedzińca:

STANISŁAW ŁĘTOWSKI.

Panie pułkowniku!

Jędrek Mocarny, co był na prześpiegach,
wrócił i mówi, jako od Krakowa
z panem Jarockim idą już biskupi.
Mają się w drodze złączyć z Lubowieckim
i wraz uderzyć na zamek... Dzień jeden
lub dwa najwyżej, a będą przy fosach.

NAPIERSKI.

Trzeba ich przyjąć... Niech Jaśko Jarząbek
i syn wasz, panie marszałku, a zasię
wierny przyjaciel mój i druż, wraz z swymi
opuszczą zamek i pójda naprzeciw
księżych dragonów. Trza im odciąć drogę.
Czepiec zostanie...

ŁĘTOWSKI.

Za mało nas będzie...

NAPIERSKI.

A czem twe męstwo, marszałku?... Wystarczy!
Z czterykroć mniejszą garsteczką odparłem
szturm Jordanowy...

ŁĘTOWSKI.

Kiedy ma wystarczyć,
to już ci musi... Pożreć się nie damy.

NAPIERSKI.

Umocnić baszty i czuwać... Ja będę
gotów...

Łętowski odchodzi.

Napierski do siebie.

Nie zadrzę! nie! nie!

Do Salki.

O, nie zadrzę

i lud ten z mroków wywiodę. Na tory
wszedłszy chwalebne, z nich się już nie wrócę,
choćby u kresu była ciemna brama
straszliwej śmierci...

SALKA z zapątem.

Tak mówi bohater!

Widać, że w tobie krew płynie królewska!

Lew się obudził i grzywą potrząsał...

Z pokutnym sznurkiem na szyi nie pójdziesz
błagać o litość, ty, synu królewski!

*Wchodzi Zdanowski drzwiami od lewej, powoli, z śladami
głębokiej troski..*

SALKA do Zdanowskiego.

Aj! co ja widzę!... panie podstarości!

Znasz swój interes!... Na zamek czorsztyński

z oselką masła przyszedłeś i z serem...

Widno, jegomość przewąchał, że dosyć

będzie różnego tu luda... No, ile

poszło gomółek?... A może pan handlarz

zmienił się naraz — anoć — w bohatera?!...

Winszuję! bardzo winszuję!... O cuda

dzisiaj nie trudno...

ZDANOWSKI do Napierskiego.

Panie pułkowniku!

Stara zebraczka, przyjaciółka twoja,

nie będzie mi tu uragać bezkarnie —

choć-m u ciebie w gościnie...

SALKA.

O, idę!

Stara zebraczka dosyć ma już sińców

na krzywym grzbiecie, nie chce nowej krzywdy!

Do Napierskiego, zabierając się ku drzwiom środkowym.

Mości Napierski! przejasny hetmanie!
twoja skrzętna pszczołka idzie w świat, na wrzosa,
a ty pamiętaj: w dziedzińcu czorszyńskim
nie ma wróblików! Orzeł tu się zrywa,
aby wypocząć na wawelskiej wieży
albo w Warszawie!

NAPIERSKI *za odchodzącą.*

Zostań!...

SALKA *we drzwiach, odwrócona ku scenie.*

Nie! nie mogę:

Raz przeznaczenie, u siebie samego
będąc za sługę... Tutaj niech się spełni,
co się ma spełnić...

Znika.

NAPIERSKI.

Ha!...

Po chwili, do Zdanowskiego.

Spocząłeś, ojcze?

Zdanowski milczy.

Powiedz, spocząłeś?

ZDANOWSKI.

Zaprzaniec, lub człowiek,
któremu serce zjada lekkomyślność,
mógłby pamiętać dzisiaj o spoczynku...

NAPIERSKI *zmieniając ton, poirytowany.*

Nie wiem, dlaczego?... Nie rozumiem waści.

ZDANOWSKI.

Panie Napierski!... Druh twój, łotr Gosławski,
wydał twe listy...

NAPIERSKI.

Co?...

ZDANOWSKI.

I dzisiaj wszyscy
wiedzą już o tem, żeś zdrajca!... Najemnym
służalcem Chmiela jesteś!...

NAPIERSKI.

Bardzo proszę!
zmityguj-że się... Przed chwilą myślałem,
żeś jest pijany, ale teraz widzę...

ZDANOWSKI.

Że jestem trzeźwy... O tak, straszna trzeźwość...
Znasz Chmielnickiego?...

NAPIERSKI.

Znam.

ZDANOWSKI.

Dla niegoś
lud ten zbuntował?

NAPIERSKI.

Nie! dla ludu!... Chmiela
zdepcę, jak płaza — tą nogą!

ZDANOWSKI.

Ty — kłamco!

NAPIERSKI.

Racz waćpan milczeć!...

ZDANOWSKI.

Dla ludu — ażeby
mógł już bezkarnie palić i rabować...

NAPIERSKI.

Przywilej wojny.

ZDANOWSKI.

Z kim prowadzisz wojnę?

NAPIERSKI.

Z kim?... Z ciemieżcami!

ZDANOWSKI.

Dla siebie!

NAPIERSKI.

Być może.

ZDANOWSKI.

I tak spokojnie to mówisz?!... O rzuć to
piekielne dzieło!... Patrz!

Rzuca się na kolana.

Ja siwy człowiek

klękam przed tobą! błagam cię: o nie gub
siebie i kraju!

NAPIERSKI.

Wstań! nie myślę gubić!

ZDANOWSKI.

Przyszedłeś do mnie, pod nędzną mą strzechę,
i jam cię przyjął na serca uciechę,
bom wierzył słowu, co z ust ci płynęło,
zapowiadając wielkie, święte dzieło.

Ale niestety! dziś dopiero widzę,
że to był gorzki jad, którym się brzydzę...

Ta dziwna wiedźma, co się przekomarza
z swem bezpieczeństwem, dała mi handlarza
tytuł przed chwilą... Prawdą! Aleć jednym
wszak nie handluję: mem sumieniem biednem!
I ty nie handluj! zejdz z tej ścieżki krętej
i nie dokładaj wiórów pod zajęty
stos ten ogromny, na który wrogowie
chcą rzucić ciało Rzeczypospolitej...

Posłuchaj, synu, co ci starzec powie:
boisz się kary? Jest jeszcze obfity

zdrój przebaczenia... Ukorz się, mój synu!
Ukorz się, ukorz!...

NAPIERSKI.

Nigdy się królewski
syn nie ukorzy...

ZDANOWSKI.

Czyj ty syn?... Królewski?!

NAPIERSKI.

Władysławowy!

ZDANOWSKI.

Ha! jeśli-ć to prawda,
jeżeli królów ślepa lekkomyślność
jest twym początkiem — słuchaj: ojciec ojcem,
więc dziś przez pamięć i przez cześć dla niego
zaprzecz, o panie! że on spłodził zbrodnię!

NAPIERSKI.

Nie zbrodnię spłodził, tylko krzywdę... Powstań!
Pójdę na przebój z moim wiernym ludem,
jak ja, skrzywdzonym.

ZDANOWSKI *zrywając się z ziemi i jednym ruchem do-
bywszy szabli.*

A więc giń, ty — łotrze!

Rzuca się na niego.

Błogosławioną będzie ręka starca,
która przeleje krew podłego zdrajcy,
i kraj wybawi od sromotnej klęski.

NAPIERSKI *dobyłym rapierem parując cięcie.*

Mości Zdanowski! Nie jak zbój! Otwarcie
zmierzyć się ze mną!... Nie jak zbój!... Krew twoja...

*Bija się, Napierski wytrąca szablę Zdanowskiemu, raniąc
go w rękę.*

ZDANOWSKI.

O Boże! zdrajca szablę mi wytrącił
z osłabłej dłoni, co przeciw podłości...

Na brzęk szabli wpada z lewej:

HANUSIA, *spozstrzegłszy krew Zdanowskiego.*

Tyś krew niewinną przelał, Janosiku!...

Ojciec mój chrzestny ranny!... siwy starzec!...

Podbiegłszy ku drzwiom oszklonym i nagle je otworzył.

Ludzie! Janosik przelał krew niewinną!

Ludzie! ratunku!...

Wpadają:

JUNACY.

Kogo tu ratować?

Spostrzegłszy Napierskiego, który z dobytym, błyszczącym rapierem w ręku, stoi na środku pokoju.

Nasz hetman cały!... Cudną ma szabliczkę —
tysiąc hajduków otrząśnie ze siebie...

NAPIERSKI *do junaków, wskazując Zdanowskiego.*

Imć pan Zdanowski oszalał...

Wskazując ku drzwiom po lewej. Tam! do tej

wziąć go komnaty, trzymać go pod strażą,
byle szanować jego włos...

ZDANOWSKI *idąc pod strażą ku drzwiom odwraca się i wskazuje ręką na Napierskiego.*

Ten zdrajca —

on chce być królem!...

Napierski w majestatycznej postawie stoi przed junakami.

JUNACY.

A niech nam króluje!
Króluj nam, króluj!... Janosik z mogiły
powstał i żyje... i będzie królował...
Króluj nam, króluj!...

Poza sceną słyszać zamierające echo okrzyków górali.



AKT TRZECI.

*Dziedziniec w otoczonym murami zamku czorszyńskiego.
Mrok przed wschodem słońca. Później wschód słońca. —
Warty. — Na przodzie sceny ludzie z oddziału Czepca.*

TRZECI GÓRAL.

Czuwamy tutaj całą noc — w dziedzińcu,
jak podwórzowe pieski na łańcuchu.

PIERWSZY GÓRAL.

Byłoby lepiej hańże — tam! przy wiatrze
nad Czarnym Stawem, lub pod Wołoszynem,
gdzie na upłazy wychodzą koziczki...
Pukałoby się...

PIĄTY GÓRAL.

Haj! pukałoby się!
Lecz mi się widzi, że i dziś ustrzelim
kilku capików.

TRZECI GÓRAL.

Skóry z nich nie zedrzem:
puste kieszenie pachółków biskupich —
nie warto do nich kłaść zbójnickiej ręki.

PIERWSZY GÓRAL.

Haj! prawdę mówią! Gdyby nie ten klecha
i ten pan hetman i ten pan marszałek,
co nas ścignęli tu, niewiedzieć, poco,
to dzisiaj, wiecie, człek by se pohulał,
może w Kieżmarku, abo i w Orawie,
i z czerwieńcami wrócił do frajerki.

DRUGI GÓRAL.

Ładnie szanujesz tę swoją frajerkę.

Do górali.

Dzisiaj z północka, wiecie, ten nasz Bartek
do czeladnicy się zakradł — do dziewczek...
Jedna z nich nawet ponoć szynkowała
samemu panu Napierskiemu...

CZWARTY GÓRAL.

Anoć

zaszczyt nie mały...

TRZECI GÓRAL.

Jak dla kogo...

PIERWSZY GÓRAL.

Prawda!

Tylko nie strzępcie na mnie swych języków...
Kuną nie jestem, żebym się gdzie skradał...

CZWARTY GÓRAL.

Ej! powiadali, żeś się do żydówki
mocno zabierał...

TRZECI GÓRAL. Fe!

PIERWSZY GÓRAL.

I czego spluwasz?

Mięso jest mięsem... Człek przebijający
odchodzi głodny...

PIĄTY GÓRAL.

Hahahahaha!

CZWARTY GÓRAL.

Ale z tej rady na inną... Bratowie,
he? macie wódkę?

PIERWSZY GÓRAL.

Dzbanek tak-ci suchy,
niby to zmarłe jezioro w Piarżystej.

CZWARTY GÓRAL.

A niema żyda?

PIERWSZY GÓRAL.

Poszedł spać.

TRZECI GÓRAL.

O rety!

A toć go zbudzić, niech nam poszynkuje!
Do jednego z górali.

Chybaj-że, Józek, po Mośka.

Jeden z górali odchodzi.

Do siedzącego opodal Krzysia Gąsienicy:

Hej! Krzysiu!

Dobądź gęśliczek, zagraj nam pod nogę!
Człowiek skostnieje, kiej się nie pokręci...
Hej! zbójnickiego!...

KRZYŚ.

Ba, kiej ma być cisza —
tak powiedzieli panowie starszyzna.

TRZECI GÓRAL.

Jaka starszyzna i jacy panowie?
Sołtys Łętowski, co w serdaku chodzi,
jak my tu wszyscy, w domu owies sieje

i już za stary, co by szedł na wirchy?...
A ten Radocki? Dzieci w szkole tłucze,
więc mu się zdaje, że i tutaj może
głowę podnosić wyżej nas, honornych,
którym się kłania Podhale i cała,
wiedzą, liptowska dolina i Spiskie.

SZÓSTY GÓRAL.

E! gwarzcie sobie! Ja wam to ugwarzę,
jako szanować trzeba siwe włosy
na skroniach człeka, co był najmocniejszy
pośród junaków i dziś jeszcze myśli,
aby nas wszystkich już na wieki wieków
od tych hajduczych uwolnić pościgów
i od orawskich i kubińskich sędziów,
od ciemnych lochów wiśnickich i — wiecie —
od tych szubienic, co są w Nowym Targu,
lebo w Krakowie...

PIĄTY GÓRAL.

Haj! haj! dobrze radzą!

TRZECI GÓRAL.

Jako tam dobrze? Mówią: będzie spokój
na całym świecie, będzie miłowanie,
wszyscy się złotem po równi podziela...
Nie! być nie może, aby Jędrek Kulik,
mój wróg największy, dostał tyle dutków,
co ja, mój bracie, lebo ty...

PIERWSZY GÓRAL.

A, wiecie,
ta ich spokojność?! Na co zbójnikowi
tej spokojności?... Ja kiej se na hali
siedział przy owcach, tak nijakim światem
wytrzymać, mówię, nie mogłem. Od ciszy
smreków i turni cno mi się robiło.
Zawszeć bywało lepiej u Luptaków,

kiej krew się lała i kiej od ich jęków,
stały się szумы, jakby wiater hałny
wziął się za bary z powichrem... Hej! Krzysiu,
dobądź gęśliczek!...

Wchodzi Mojsze z prowadzącym go górale.

MOJSZE *z wiaderkiem wódki, pokornie, ze strachem.*

Panowie! przepraszam,
ale ja powiem, że jasny pan hetman
ostro przykazał, coby więcej wódki
już wam nie dawać... Będzie wielka bitwa,
tak jest potrzeba, abyście panowie
byli na trzeźwo.

PIERWSZY GÓRAL.

Ej, ty głupi żydzie!
nalewaj wódkę, jeżeli nie pragniesz,
ażebys wisiął razem z twym hetmanem.

MOJSZE.

Co ja-bym pragnął... Ja wiem: tak powiedział
jasny pan hetman, ale ja tak myślę:
co komu wódka zaszkodzi? Panowie!
Mojsze jest dobry, daje pić, co chcecie,
całą piwnicę...

*Górale, powstawszy z miejsc, podchodzą do żyda z kubkami.
Ten im nalewa.*

TRZECI GÓRAL *trącając się czerpakiem z innym.*

Na zdrowie!

Pije.

PIERWSZY GÓRAL *do Krzysia.*

Pod nogę!
zagraj nam, Krzysiu, pod nogę!

KRZYŚ.

Ha! człowiek

juści-by rad był posłuchać hetmana,
ale kiej idzie o granie... Haj! lubię
swoje gęśliczki... tak rozmiłowany-m
w naszej muzyce, że zagram...

*Gra zbójnickiego.**Górale, z ciupagami w górę, zaczynają tańczyć zbójnickiego.*CZWARTY GÓRAL *podchmielony, do Mojsze.*

Mosieczku,

luby Mosieczku! stań-że nam w środeczku!
Wciąga go w koło.

MOJSZE.

Co nie mam stanąć? jak panowie każą?...

Żydek usłucha... On bardzo posłuszny...

*Górale tańcząc, uderzają go po kolei ciupagami w głowę.**Mojsze prawie z płaczem, uginając grzbietu.*

Oj, oj! oj, oj, oj!

TRZECI GÓRAL.

Cóż to? pchła ugryzła?

Poczekaj, Mojsze, zaraz ją zabiję!...

*Uderza go ciupagą w głowę.*MOJSZE *j. w.*

Panie jenerał! oj, oj!

SZÓSTY GÓRAL.

Dać mu spokój!

Co wam się pastwić nad żydkiem?...

PIERWSZY GÓRAL *wypychając Mojsze.*

Do Sury!

Będzie potrzeba, my-ć tam ku pierzynie

pójdziem z dzbanuszkim... Zobaczymy Mośka,
jak się rozgrzewa bez wódeczki.

CZWARTY GÓRAL.

Krzysiu!

Raźniej a skoczniej!... Haj! na taką nutę:
śpiewa, stanąwszy przed Krzysiem

Panowie, panowie!
będziecie panami,
ale nie będziecie
przewodzić nad nami!

CZEPIEC.

Cicho!

DRUGI GÓRAL.

O, Czepiec! wstałeś?

CZEPIEC.

Cicho, mówię:

Czy to nie wiecie, że hetman przykazał,
aby milczenie było jako w grobie?

PIERWSZY GÓRAL.

Nam-ci tu jeszcze do grobu daleko,
a przykazować wara i hetmanom...
Ty nam przewodzisz, ty, Czepcze Wasylu!
Ktoby tam ufał paniętom...

CZEPIEC.

Zapewne!...

Wiedziałem dobrze, jakich mam junaków...
Z taką watahą...

CZWARTY GÓRAL.

Szedłbyś do Krakowa
rozbijać skarbiec królewski...

CZEPIEC.

Jej Bohu!

Trochę śrybelnych abo i złocistych —
wiedzą — obrzyków...

TRZECI GÓRAL.

Juści człek tu siedzi

jak na pokucie.

CZEPIEC.

Żeby ino większej
nie było dla nas pokuty!

INNY Z GÓRALI.

Jakoż-by?

CZEPIEC.

Wiedzą: pan hetman za mało zostawił
ludzi na zamku. O, imć pan Jarocki
jednym podmuchem zmiecie nas ze świata,
jak proch z panewki...

SZÓSTY GÓRAL.

Skrepuje, zakuje
i przed swem wojskiem popędzi na sądy?

CZEPIEC.

Ktoby tam sądy czynił w takich czasach!
odrazu pójdziem ot — tak!
Czyni ręką odpowiedni ruch naokoło szyi.

SIÓDMY GÓRAL.

Co? Podyndać?

CZEPIEC.

Ano, podyndać...

SZÓSTY GÓRAL.

Nie! do upadłego
bronić się będziemy.

CZEPIEC.

Na nic nam obrona...

I kul nie starczy i prochu za mało,
a pan Jarocki ma tego, by ziarnek
wymłóconego jarca we stu ćwiertniach.
Ludzi z nim idzie jak szarańczy — wszyscy
w dobrym rynsztunku.

PIĄTY GÓRAL.

Haj! bieda! Co robić?

INNY Z GÓRALI.

Trzeba wymyśleć na to jaki środek...
Z nas-by tam żaden jeszcze nie chciał wisieć!

PIĄTY GÓRAL.

Czepiec! ty głowę masz, że sam Janosik,
choć najmądrzejszy był na całym świecie,
nie wstydziliby się nosić jej na karku...

CZEPIEC.

Może wymyślę, ino zapytuję:
będziecie słuchać?

SZÓSTY GÓRAL.

A któżby nie słuchał,
gdy ma dwie drogi przed sobą: na życie,
lebo ku śmierci...

CZEPIEC.

A jeszcze wam jedno
powiem, młodycy: chodzą takie wieści,
że nasz pan hetman jest zdrajcą...

DRUGI GÓRAL.

Haj! prawda!

My to słyszeli. Tak i pan Zdanowski
nazwał hetmana... Ale kogo zdradził?

CZEPIEC.

Króla.

DRUGI GÓRAL *lekceważąco*.

E! króla!... Toć my do Warszawy
nie jedno pismo ślali z wielką prośbą,
by nas ochraniał od krzywdy... Naprawdę...
Takiego króla...

CZEPIEC.

Juści! Tylko, wiecie,
za taką zdradę jest już ustawiony
palik w Krakowie, czeka na wnętrzności
pana hetmana... A pan hetman śmierci
bardzo się boi — zwłaszcza też od pała.

KRZYŚ.

Będzie wojował do ostatniej kropli.

CZEPIEC.

Niedźwiedź w oklepcach, kiedy mu do skroni
strzelec przyłoży lufę, będzie ryczał,
ale do walki niezdatny... Wie o tem
i pan Napierski.

KRZYŚ.

Janosik z mogiły
powstał i, mówią, wszedł w pana hetmana,
nic mu nie zrobi żaden wróg...

CZEPIEC.

Janosik
zaciął swą szablę w jaworze, lecz dzisiaj
jeszcze nie nadszedł jego czas, choć słuchy
takie rozpuszcza sam hetman, by zdurzyć
głupich górali...

SZÓSTY GÓRAL.

Tak mówisz?

CZEPIEC.

Tak mówię...

Jasny pan hetman wie, że śmierć go czeka:
on krew niewinną przelał — ranił starca,
co mnie i Sawkę wybawił od gardła...

A skazywała mu ta wiedźma stara:
do tela będziesz chodził po tym świecie,
pokił niewinnej krwi nie puścisz... Wielki
strach zdjął hetmana, a że mu wiadomo,
jako nic tutaj strzelbą nie dokaże,
ani szabliczką, tak umyślił sobie
ratować duszę na inne sposoby —
zdradą!...

KRZYS.

Do kata!... Kłamstwo!

CZEPIEC.

Da! naj meni

Boh pomahaje!... Dobrze podsłuchałem,
jak się z Łętowskim spiknął i z Radockim:
Wnet uradzili, coby się dla oka
bronić z początku, a potem zamczysko
wydać wraz z nami biskupim — niech tylko
złożą przysięgę, że ich puszcza cało...

KRZYS.

Złe weszło w ciebie, Czepiec, i twym uszom
odrzuca słowa twych własnych wnętrzności,
jak to wyraźne echo pod Ćerlakiem...

CZEPIEC.

Nie! kto ciupagą ubił Biczynskiego,
temu już niema w świecie zlitowania,
choćby sto zamków oddał — wielką zdradą.

Panięta mają w sobie miłosierdzie
tylko dla paniąt i dla ich pacholków.

TRZECI GÓRAL.

O haj! dla paniąt i dla ich pacholków.

CZEPIEC.

Wysłał też naszych na pewną zasadzkę:
po wszystkich drogach naokoło zamku
roją się pszczoły biskupie... On wiedział,
że nas zamało, aby szturm wytrzymać,
tak nas zostawił jeszcze mniej. Tem łatwiej
wykonać zradę — tak sobie pomyślał —
my nie przeszkodzim... Chciał i mnie wykurzyć,
abym już wisiał o dzisiejszym ranku,
alem się oparł... Wiem, że jeden z żydków
był u biskupich i wrócił z pisaniem,
obiecującym życie Napierskiemu
i jego służkom, jako że już naszych
oddał im w ręce, a i zamek odda...

SZÓSTY GÓRAL.

Zdrajca! zgubieni my wszyscy!

CZEPIEC.

Nie jeszcze!

Wiem, pan Jarocki nie bardzo mu wierzy.
I ja mam swoich, a ci mi donieśli
dzisiejszej nocy, jako ma mniemanie,
że nas tu pełno i że najście chybi...
Potrzeba ubiedz para Napierskiego...

INNY GÓRAL.

Cóż nam wypada?

CZEPIEC.

W tem już moja głowa.

Żal mu umierać na basztach!... Tchórz! zdrajca!

Żal mu odchodzić od tej gładkolicej.

Tymczasem rozjaśniło się. — Napierski zjawia się na murach.

Patrzcie o świcie zjawił się na murach...

Cicho... nadchodzi... cicho!...

TRZECI GÓRAL *do Krzysia.*

Zagraj, Krzysiu,

na przywitanie hetmana...

CZEPIEC.

Bądź cicho!

Wiesz, że milczenie przykazał, jak w grobie.

TRZECI GÓRAL.

A niech przykazał!... Graj nam zbójnickiego!

Chłopcy! ciupagi! zatańczymy sobie —

niech się pan hetman uraduje z nami!...

Intonuje.

Panowie! panowie!

będziecie panami...

CZEPIEC.

Milczeć — powiadam.

Zjawia się Napierski, później Łętowski, Radocki i ludzie z ich oddziału.

NAPIERSKI.

Dzień dobry, druhowie!

Wesoło, widzę, druhom nocka schodzi...

Czecz! to twój?

CZEPIEC.

Moi.

NAPIERSKI z łagodnym wyrzutem.

Nie pamiętasz?

Wszak poleciłem, ażeby ze względu
na tego wroga, co się ku nam zbliża
milczkiem i chyłkiem, cicho się sprawiały
warty na zamku.

CZEPIEC.

Panie naczelniku!

Przebaczył błagamy... Otukno się robi
naszym mołodcom, że się nieprzyjaciół
doczekać jakoś nie mogą...

NAPIERSKI.

Przybędą

w sam czas. Lecz dzieło wielkie się rozsprzęga,
Jeśli osłabnie karność potęga
śród wykonawców... Kto z was grał?

KRZYŚ.

Ja, panie.

Alem... ja... wierny.

NAPIERSKI.

Czy jest między wami

jakowy człowiek, co by był niewierny
i hetmanowi i sprawie?... Trzydzieści
marnych srebrników wziął-li Judasz...

CZEPIEC.

Panie!

takiego niema...

PIERWSZY GÓRAL.

Dla nas setka niczem!

My jak za buczi idziem i za haście,
to po tysiące — i nie po srebrniki,

ale po złoto. — Setkę my praśniemy
pierwszemu w drodze dziadulowi.

NAPIERSKI *do Krzysia.*

Krzysiu,
wierny mój Krzysiu! Bądź także posłuszny!
Choć ku muzyce wyskakuje dusza,
gdy grać nie wolno, niech smyczka nie rusza
dzielna dłoń twoja!... Dobra nasza sprawa
wymaga ciszy!... Schowaj do rękawa
te jaworowe gęśliczki, zapewne
wycięte z drzewa w kościeliskiej hali,
co na tę bystrą patrzyła królowną,
jak się na los swój szarym turniom żali
i jak zabija swe dziecko...

Napół do siebie.

Ej, gadki!

Ej, pieśni wasze! urok w nich jest rzadki,
chwytą za serce!

Do górali.

Ileż ja to razy
siadywał z wami pod ciemnymi głazy
przy zapalonych ogniskach i słuchał
waszych śpiewanek i patrzył, jak buchał
płomień z trzeszczącej kosówki!...

W zadumie.

Prawdziwie,

życie człowieka jest jak to igliwie:
spłonie, nim biedny człek się spostrzedz zdoła.
Niebezpieczeństwo czyha tu dokoła:

do Krzysia

trza mieć otwarte i uszy i oczy,
ażali ku nam śmierć chyłkiem nie kroczy.
Wierny mój Krzysiu!... zagrasz jej do tańca,
gdy spojrzysz na nas z zamkowego szańca.

Podał mu rękę, którą ten całuje.

KRZYŚ.

O, pięknie proszę, niechże mnie ich miłość
wezmą z watahy Czepcowej.

NAPIERSKI.

Dlaczego?

KRZYŚ.

Boję się, panie!...

NAPIERSKI.

Hetman się nie boi...

Wszyscy jesteście towarzysze moi
i przyjaciele... Niczem się nie straszę,
więc i ty zostań przy Czepca wataże.

KRZYŚ.

Choćby dla tego, przejasny hetmanie!
byś w ciężkiej chwili usłyszał me granie:
serce-ć ucieszy i doda otuchy.

NAPIERSKI.

A czy cię chętnie puszcza twoje druhy?

SZÓSTY GÓRAL.

A niechże idzie, kiej pomiędzy nami
cno mu się robi... Pan hetman dla niego
słodkie ma słówka, a dla nas?...

NAPIERSKI.

Goryczki

i wam nie podam...

GONIEC *wpadając na scenę.*

Panie naczelniku!

Wróg już pod zamkiem... za chwilę uderzy
w mosiężne surmy, zagra na strzelbicach...

Z trudem przedarłem się przez gąszcze dzikie,
ledwie się dorwał do furtki... Niestety! Sawka
pobity na głowę, a walczył, jak orzeł, w chmurach szumiący!... Oddziały
marszałkowego syna i Jarzabka starte na miazgę, a oni polegli!...
Poległ i Horny, i Jędrak Mocarny,
i mój przyjaciel Józef Gąsienica,
Tatar i Brzega, Stopka i Marduła,
Roj i Mateja i Wala — ci wszyscy legli,
jak kłody smreków w Małolącznej.
Na ten bój wielki niby rysie biegli,
a dzisiaj wszyscy polegli, polegli!
Oczy im zgasły, mrok ich objął siny,
a duch uleciał do innej dziedziny.

NAPIERSKI *do Krzysia.*

Pospiesz, mój Krzysiu, zbudź pana marszałka
i Radockiego...

Do Czepca.

Czepcze, do szeregu!

Broń wschodniej bramy... ja... ku zachodowi...

Do gońca.

A ty, mój gończe, strudzone masz nogi!
czas ci wypocząć z tej śmiertelnej drogi...

GONIEC.

Niema spoczynku, gdzie się losy wazą
naszej wolności!... Pójdę z twoją strażą,
z twym hufcem pójdę, by walczyć do końca,
choćbym nie ujrzał jutrzejszego słońca.

Za sceną pierwszy strzał.

NAPIERSKI.

Strzał!... Hasło śmierci albo i żywota!
Witam cię nocy, czy jutrzeńko złota!...

Wraca Krzys z Łętowskim Radockim i junakami.

Panie Łętowski! syn twój legł w chwalebnej
walce o wolność...

ŁĘTOWSKI.

Wiem to już od Krzysia...

Niechaj spoczywa!... My po nim do boju!...

NAPIERSKI *z zapamięt.*

O, tak! do boju!... A niech nam w tej chwili
na wielkie męstwo dusza się wysili!...
Wasza to sprawa, której bronić macie!
Aby swoboda weszła w majestacie
królewskiej pani na tę naszą ziemię,
w krwi swej upadać musi ludzkie plemię!
Trzeba niejedną zadać ciężką ranę
temu, co przez nas zostało uznane
za skarb najdroższy! Niejedną wycisnąć
trza łzę serdeczną i mieczem zabłysnąć
nad własnem gniazdem! Potrzeba niejedną
wywołać klątwę na tę głowę biedną,
co się w szaleństwie strasznem, czy rozwadze
przeciw wszystkiemu i wszystkim podniosła,
bo jej się zdaje, że Bóg ją za posła
wybrał swej wieści, niweczającej władzę
nierównej miarki! Zaginie ta siła,
co, by podnosić tamtych, tych gnębiła,
choć ci i tamci wyszli z bożej ręki
na równe szczęście i na równe męki...
Nie zginie dzisiaj, to jutro zaginie...

RADOCKI.

Nie jutro, panie! W dzisiejszej godzinie
świat się odmieni! Znaki są widome,
przepowiedziane jeszcze przed wiekami
w świętych prorocत्वach, że dzisiaj jest z nami

błogosławieństwo boskie i że chrome
będą zabiegi nieprzyjaciół nieba,
co ma zakwitnąć na ziemi...

ŁĘTOWSKI.

Potrzeba
tylko odwagi, bo przy nas jest prawo!

NAPIERSKI.

Trzeba odwagi i wiary! W tej dobie,
gdzie grób się może rozewrzeć przy grobie,
trza, iżby wszyscy braćmi się uczeni,
jak ci, co zbyć się umieją koszuli,
widząc, że brat ich stoi w mrozie nagi.
Tak! niech pochwyci dłoń za miecz odwagi
i niech od boku strach odpędza błady

znacząco do Czepca

i niech przystępu broni szeptom zdrady.
Czepcze Wasylu! wiem, żeś mi jest krzywy.
że głuchym buntem wzbiera twoje serce
przeciwko sercu mojemu... Nie dziwy,
gdyby się pożar wszczął przy tej iskiecce,
która jest wieczną, w takim, jak tve łonie!...
Światów jest milion, w światów milionie
wciąż wre i szumi i huczy i trzeszczy,
wciąż jeden z drugim toczy bój złowieszczy —
takie jest światów straszne przeznaczenie...
Czepcze Wasylu! szły i na mnie cienie
z głębi twej duszy, dziś nie czuję trwogi!
Jeśli cię zranił, przebac, bracie drogi,
i zanim jutro staniesz do rozprawy,
gdy tak potrzeba, ze mną, twoim bratem,
dzisiaj, nie dla mnie podnieś miecz swój krwawy
ponad ginącym i wstającym światem,
poprzez swe krzywdy i poprzez swe zyski —
ale dla tego dnia, co już jest blizki,

dla tej radości, co w niebo wystrzeli,
 gdy na padole zawładną — anieli,
 a jeśli trzeba, to i dla żałoby,
 gdy dla walczących otworzą się groby,
 nie wykopane rydłem zdradnej dłoni,
 ale odwagą, co swobody broni...

CZEPIEC.

Mało-ć ja z tego rozumiem, jej Bohu!
 choć do tej mowy nadstawiałem uszu,
 jako ten dzieciół, który popukując
 dziobem przy klonie, bacznie nadśluchuje,
 gdzie czerw go toczy, ot ten klon! — To jedno
 pojąłem tylko, że mnie wasza miłość
 raczy posądzać o zdradę... Ci wszyscy
wskazuje na otoczenie

znają mnie dobrze — i imć pan Radocki
 i pan Łętowski — niechże-ć wam powiedzą,
 panie hetmanie, czym ja kiedy zdradził...
 Serdecznym druhem był mi Jędrzej Sawka,
 taki człęk ruski, jak i ja, a który
 zginął w tej bitwie z imć panem Jarockim
 za waszą sprawę, mości pułkowniku!

Kłania się.

NAPIERSKI.

Za naszą sprawę, a nie za moją.

ŁĘTOWSKI.

Panie!

Nie śmiem Czepcowi przypisywać zdrady...
 Chętnie szedł z nami i tak się rozprawił
 z ciżbą hajduków, jako nikt na świecie.

RADOCKI.

Pamięta o tem, że go wasza miłość
 zbawiła ongi od śmierci... A dusza,

kiedy niewdzięczna — tak jest napisano —,
związana będzie grubymi powrozy
i w ogień wieczny rzucona.

NAPIERSKI.

Mój Czepcze!

Słysząc strzał już bliżki, — do otoczenia.

Bracia! na baszty... świeży strzał!...

Do Czepca.

Ty — druhu,

ku wschodniej bramie, ja — ku zachodowi.

Idzie z Łętowskim, Radockim i ich junakami na mury.

CZEPIEC *głośno do swoich.*

Do mnie, młodcy! w ordynek wojenny!

Walczyć będziemy — odważnie, jak rysie —
głosem przyciszonym

jak nasi bracia, którzy w ogień biegli
i zasię wszyscy jak kłody polegli...

TRZECI GÓRAL *z oddziału Czepca, półgłosem.*

Chyba-ć sam biskup niema lepszej gęby,
niż ten pan hetman, co na śmierć niechybną
wydał i Brzegę i Stopkę i Walę
i Mocarnego, Sawkę i Tatara
i wszystkich naszych druhów i przyjaciół...

SZÓSTY GÓRAL.

Mówi o zdradzie, a sam jest największy
zdrajca na świecie... Ty nas ratuj, Czepcze.

CZEPIEC, *który podczas tego ogląda niby broń swego oddziału etc.*

Abyście tylko wiernie stali przy mnie.

DRUGI GÓRAL.

Jak te jawory, które wrosły w ziemię,
że wiatr największy darmo się szamoce...

CZEPIEC *skończywszy wrzekome ogłędziny, głośno.*

Za broń, młodcy! i ku bramie!... strzelać —
odpędzać wroga od zamku...

*Ginie wraz z swym oddziałem w lewym rogu sceny, tym-
czasem słysząc strzały, szturm.*

NAPIERSKI, *stojąc na murach, z rapierem w rękę, do ci-
snących się ku basztom górali.*

Hej! wałem

stańcie na murach, moi bracia drodzy!

Do Łętowskiego, który stanął w miejscu najniebezpieczniejszem.

Panie Łętowski! Potrzeba-ć twej piersi
na dalsze lata, więc ją chroń! na kule
tak nie nastawiaj!...

Wskazując jedną z baszt, oddaloną ku prawej stronie sceny.

Śpiesz ku tamtej baszcie —

tam nie padają tak ogniste grady,
jak tu...

ŁĘTOWSKI.

Przysiągłem, że przy twoim boku
niczego w życiu się nie zlekne... Pozwól,
panie hetmanie, ażeby w tej porze,
gdzie śmierć z parowu aż po pierś nam rośnie,
tę pierś jej oddać przy tobie!...

Do tłumy.

Niech żyje

hryny Janosik, co powstał z mogiły,
aby się oczy naszych wrogów śmiły!

TŁUM.

O, haj! niech żyje!

RADOCKI.

Pierwszy i Ostatni,
co na to przyszedł, by z czartowskiej matni
świat ten wyzwolić grzeszny i nieprawy...

TŁUM.

O, haj! niech żyje Pierwszy i Ostatni!...

NAPIERSKI, *na murach, dowodząc, bacząc pilnie na postępy szturm i równocześnie mówiąc, odpowiednio zmieniając ton.*

Bracia! nie jestem ja ten wasz Janosik,
co walił góry i wyrywał smreki
i nieśmiertelny władać będzie wieki
pomiędzy wami...

Ręką dając roki. Tam! baczcie w tę stronę!
Niebezpieczeństwo ma lice zwrócone
ku tamtej wieży!...

Nie! jam zwykły człowiek,
któremu krzywda sen zganiała z powiek,
krzywda, wchodząca w progi waszych domów.
Mieczą dobyłem w tej chwili rozgromów,
aby ratować ostrzem białej stali
to, co się dzisiaj naokoło wali
od złości moźnych...

Do Łętowskiego. Marszałku! otuchy
dodajcie swoim... Już padają trupy!
już się po ziemi ścielą nasze cuhy!...

Od czasu do czasu ktoś padnie, trafiony kulą, z jękiem, z okrzykiem: Jezus! Marya! lub Boże! Boże! i t. d. Poległych usuwają górale.

ŁĘTOWSKI *do rozbiegających się górali.*

Trzymać się razem! do kupy! do kupy!
Mierzyć w sam środek brzęczącego roju!

RADOCKI, *na murach, rzucając kamienie na szturmujących, odwraca się ku tłumom.*

Błogosławiony, kto padnie w tym boju!

NAPIERSKI *j. w.*

W obronie tego, co w krwawej godzinie
dzisiejszych czasów sypie się i ginie,
by gruz roztarty — od bezmyślnej buty,
przez kraj idącej, jak oddech zatruty,
i nie widzącej w tym wzgardzonym tłumie
siły, co niszczyć i rozpręgać umie,
lecz pociągnięta do wspólnej roboty
wezwanem, pełnem miłości i wiary,
jedna ocali nasz przybytek stary,
albo zbuduje nowy!...

*Pierwsze promienie wschodzącego słońca oblewają Napier-
skiego i scenę.*

O dniu złoty!

GŁOS Z TŁUMU.

Słońce już wschodzi, a w słońcu jaśnieje
ten-ci nasz Pierwszy i Ostatni!...

NAPIERSKI *j. w.*

Bracia!

Bracia! nie jestem pierwszy i ostatni,
co ma wyzwolić świat z czartowskiej matni!
Byli przede mną i nastaną po mnie
godniejsi męże, co wierząc niezłomnie
w słońce zwycięstwa, prą nieustraszeni
przez kul nawałę, przez morze płomieni...

ŁĘTOWSKI *do Napierskiego, wskazując ku wschodniej
bramie, na lewo.*

Panie hetmanie! niechże wasza miłość
spojrzeć tam raczy, jak się Czepiec sprawia...

Trzyma się dobrze, a wyście o mało
nie pomówili go o chętkę zdrady.

NAPIERSKI *rzuciwszy okiem ku wschodniej bramie.*

Prawda!...

Przez walczących przedziera się Hanusia i staje przy Napierskim. Hanusiul... Tu, gdzie lecą kule?!

ŁĘTOWSKI.

Odejdź... do komnat... Tutaj śmierć!...

HANUSIA.

Haj! śmierci

ja się nie lękam! dla mnie strachu niema.

NAPIERSKI.

Cóż ty zamierzasz?

HANUSIA.

Walczyć przy twym boku.

NAPIERSKI.

I może zginąć?

HANUSIA.

Haj! gdy tak wypadnie...

Żyć mi li z tobą, mój orle, i razem
bojować z tobą...

NAPIERSKI.

Nie udźwigniesz broni.

ŁĘTOWSKI *walcząc na murach, jak i poprzednio.*

Szalona dziewczka! myśli, że tu hala,
w której wiatr szumi i łamie gałązki
limb...

HANUSIA *do Napierskiego.*

Nie udźwignę?... Haj! gdy nie udźwignę
jakiej strzelbiczki, są jeszcze-ć kamienie,
które mi wroga ugodzę... O, spojrzysz!
Rzuca na dół kamieniami.

RADOCKI *z pewnej odległości.*

Judyt na murach, czy nowa Debora,
albo dziewica ona-ć z Orleanu,
o której w starych wyczytałem księgach?!

JEDEN Z GÓRALI *wskazując na dopiero-co zrobiony wy-
łom w murze, ku stronie lewej.*

Wyłom! tam!...

HANUSIA *do Napierskiego, wołając.*

Stańmy na wyłomie!

NAPIERSKI *do tłumu.*

Chrystu
przynieść i cegieł... spieszniej! spieszniej!

ŁĘTOWSKI, *który, jak reszta starszyszy, to się wychylał
z tłumu, to w nim od czasu do czasu ginął.* Bracia!

Abyśmy, mówię, dzisiaj pamiętali,
że wam hajduki wypędzą dobytek
z waszej obory, jeżeli ulegniem,
jeśli przez wyłom przepuścimy wroga...
Miedze wam dworscy zaorzą, z Krzywiania
albo z Cubryny nie pozwolą żadnej
spuścić kozicy, ani żadnej ryby
złowić w Dunajcu! Pohańbią wam córki,
siostry i żony, a z wami do lochu!...

NAPIERSKI.

W kuchni niech wodę gotują i smołę.

JEDEN Z GÓRALI.

Już my im warem pomyjemy głowy!...

NAPIERSKI *podchodząc z Hanusią od zatarasowanego już
wyłomu ku środkowi sceny.*

Czujesz żal do mnie?... Nie wiem, poraz który
pytam się o to, a ty milczysz!... Dziecko,
czujesz żal do mnie?

HANUSIA.

Za co?

NAPIERSKI.

Żem cię uwiódł;

żem przyszedł do was w guni i serdaku,
by juhasować owcom twego ojca,
żem pił żentycę z jednego czerpaczka
i z jednej misy jadłem razem z wami,
a zaś cię zwiodłem...

HANUSIA.

Nie zwiedli! nie zwiedli!

Sama-m ci do nich lgnęła jak żywica...
Ich jasne oczy — panie pułkownika...

NAPIERSKI.

Mów mi »Janosik«, jak dawniej.

HANUSIA.

Nie mogę...

Wszystko minęło — ale mnie nie zwiedli. —
Choć na Rohaczach i Czerwonych Wierzchach
szklił się mróz biały, ja-ć w miesięcznych nocach
wysiadywałam sama przede drzwiami,
haj! czekająca, kiej wróci do domu
hyrny Janosik, co poszedł w gospodę,
między górali... Nie mogłam z tęsknoty

wielkiej zasypiać, a kiedym zasnęła,
tak-ci przed sobą widziałam ich postać
wielce zmienioną, jakby ze skrzydłami,
co unosiły mnie do niebieskiego,
wiedzą, sozrąbu, gdzie się gwiazdy świecą
i różne chmurki śrybelne i złote.
Ale nad gwiazdy były mi ich oczy —
te jasne oczy — panie pułkownika...

NAPIERSKI.

Mów mi »Janosik«.

HANUSIA.

Haj! Janosik!... Widzą:
niejeden suhaj zachodził do izby,
kłaniał się ojcu i matce całował
podołek sukni, a dla mnie jedwabie
i aksamity wyciągał z zanadrza,
ale się uwieść nie dała nikomu...
Nikt mnie nie uwiódł, choćby najwალniejszy
i najbogatszy. — Zawitał Janosik —
haj! mój Janosik — i już się odrazu
jak gdyby raje ozwały przedemną
nad tą niedolą, nad tą nocką ciemną...

NAPIERSKI.

Przyszedł i poszedł...

HANUSIA.

O haj! poszedł sobie,
a w banowaniu i gorzkiej boleści
dnie mi schodziły i nocki... Zaskrzypiał
płot przed chałupą, abo wiatr potracił
o drzwi izdebki, tom myślała sobie:
Wraca Janosik — ale czemu wraca
w tę mgłę tak czarną, w tę śnieżną kurniawę?
Gdzie mu wysuszę cuhę, kiedy w piecu

i na kominku wygaśł wszystek ogień?
Co mu dam spożyć i co dam mu wypić,
kiej chleb i mleko zamknęła mamiczka
w szafie na klucze?...

NAPIERSKI.

Dziecko! drogie dziecko!

Dopiero teraz czuję, że ma dusza
cała przy tobie! Dziś dopiero czuję,
żem cię mógł skrzywdzić, ciężko, krwawo skrzywdzić,
myśląc choć chwilę — o sobie. Nad wszystko
co jest na świecie wabne i uroczne,
ponad chęć zemsty i nad żądzę sławy,
nad tron i pałac królewski — ty jesteś!
Przebacz, że mogłem choćby jedną chwilę
otworzyć serce dla czego innego,
oprócz — dla ciebie...

HANUSIA.

Nie wiem, co przebaczać...

Kiedys tak do nas nie wracał, myślałam
w swym wielkim żalu: Niegodny Janosik!
porzucił swoją dziewczynę

szeptem

i jeszcze

jedną sierotę, co ma przyjsć, co — ojca
wcale nie zazna...

NAPIERSKI.

Hanusiu!

Tuli ją do siebie.

HANUSIA.

I wtedy

haj! po ciupagę sięgałam, by uziąć
głowę lubego, gdybym go spostrzegła
gdzieś na swej drodze... Ale dzisiaj widzę,

że mnie opuścił — mnie jedną, ażeby
wszystkich nas wyrwać z niedoli...

NAPIERSKI *do walczącego na murach Krzysia, w pół
objąwszy zawstydzoną Hanusię.* Hej! Krzysiu!

Odlóż tę strzelbę, a dobądź gęśliczek,
weselną pieśnię zagraj mnie, druhowi,
zwrócony ku walczącemu tłumowi
który wieczystą ślubuje tu miłość
i wierność córce pana Łętowskiego.
Skończy się wojna, pójdziemy przed ołtarz.

ŁĘTOWSKI, *na murach, odwracając się.*
Nie wiem, co myśleć o tem?... chyba żarty!

NAPIERSKI.
Któżby żartować śmiał w obliczu śmierci.

GŁOS Z TŁUMU.
Graj-że nam, Krzysiu! raźniej na śmierć pójdziem!
Hetman jest z nami!...
Krzysz dobywa gęśliczek.

NAPIERSKI.
Z wami —
do Hanusi i z Hanusią!

Chodźmy!...
Do Krzysia. Ty graj nam, graj nam weselnego!
Krzysz gra na nutę weselną.
Napierski i Hanusia idą ku basztom.

CHÓR JUNAKÓW *śpiewa im pieśń weselną.*
Idzie do ołtarza,
ledwie, że ukroczy,

przyklękła w kościele,
wypłakuje oczy.
Janiczku! Janiczku!
Czemu twej dziewczynie
w tej radosnej chwili
łezka z oczu płynie?...

JEDEN Z GÓRALI.

Cóż się tam stało?... Koło wschodniej bramy
na murach biała chorągiew...

INNY Z GÓRALI.

To zdrada!

*Na murach koło wschodniej bramy widać białą chorągiew
i słysząc ją mówi:*

CZEPIEC.

Haj! moje życie i życie mych druhów
i nasza wolność za życie hetmana
i onej reszty buntowuszczyków...

Z poza murów słysząc:

GŁOS JAROCKIEGO.

Masz je...

Szlacheckie słowo ci daję...

Krzyś równocześnie pada od kuli.

JEDEN Z GÓRALI.

Krzysiowi

wypadły z ręki gęśliczki — od kuli
zginął... haj, skończył swe granie.

CZEPIEC równocześnie, zwrócony z swym oddziałem ku
Napierskiemu, Łętowskiemu i innym, do swoich:

Powiazać!

Do Jarockiego za sceną.

Brama otwarta!

*Pomiędzy góralami na basztach zachodnich, niewiedzącymi
co się dzieje, słysząc:*

CHÓR.

Przyklękła w kościele,
wyplakuje oczy,
Janiczku, Janiczku...

JEDEN Z GÓRALI *z baszty zachodniej, widząc jak tłum
pędzi ku wschodniej bramie.*

Dokąd? Tu nas trzeba!
Wróg po drabinach już nam głowy sięga —
nie wytrzymamy już szturmu!... Na pomoc!...

INNY Z GÓRALI *równocześnie.*

Tam Czepiec zdradził!...

INNY GŁOS.

A nasz hetman ranny!
Kawał kuli armatniej rani Napierskiego w głowę.

ŁĘTOWSKI *wychylając się z tłumy.*

Cóż się tam stało?... Do czarta!... Stracona
już wschodnia brama!... A nasz hetman ranny!

NAPIERSKI *z baszty, chwiejąc się i chwyciwszy się za głowę.*

To nic, nic, druha... Krew się z głowy leje...
Lecz — zginęliśmy!...

TRZECI GÓRAL *z oddziału Czepca, wskazując na Na-
pierskiego, wśród zamętu, równocześnie.*

Wiązać ich — tych zdrajców!...

Śpiewa:

Panowie, panowie,
bądźciecie panami,

ale nie będziecie
przewodzić nad nami!...

Górale Czepca zwyciężają oddziały Łętowskiego, więżą starszyzną i t. d. — Wszystkie powyższe wypadki dzieją się prawie równocześnie, z błyskawiczną szybkością.

ŁĘTOWSKI.

Haj! ulegliśmy!...

RADOCKI.

Sam Bóg nas opuścił.

NAPIERSKI ranny, po bezskutecznej walce skrępowany, wskazując na Czepca.

On was uwolnił z ręki Biczynskiego,
a dziś skrępował...

HANUSIA tymczasem, wyrwawszy strzelbę jednemu z górali.
Nabita?

JEDEN Z GÓRALI.

Jakożby?...

Spróbuj!... nabita!...

Hanusia mierzy do Czepca — strzał.

CZEPIEC.

Chybiłaś!

Tymczasem wchodzi wschodnią bramą Jarocki z swem wojskiem.
Czepec do Jarockiego, wskazując na Hanusię.

To moja,

moja dziewczyna, którą —
wskazując na skrępowanego Napierskiego
ten mi uwiódł!

NAPIERSKI.

Nie była twoją i nie będzie twoją.

Patrząc na Hanusię.

A co się z naszej narodzi miłości,
szlachetne będzie i — wierne, choć może
powstało z grzechu...

HANUSIA.

Luby Janosiku!

Ranny!...

Wybiega.

JAROCKI *do Czepca.*

Tyś Czepiec?... Życie-m ci darował
razem z wolnością, teraz precz, ty — chamie!
Czepiec zdeprymowany odchodzi na bok.

Panie Napierski!... Oddaj mi swój rapier —
jesteś mym jeńcem wraz z twymi druhami.

NAPIERSKI.

Zdrada mi rapier wytrąciła z ręki —
stoję bezbronny...

JAROCKI *rozcinając mu pęta.*

Ja ci swoją szablą
rozetnę więzy... Wielce podziwiałem
twoją odwagę — i cześć jej! — Żołnierskie
moje rzemiosło, nie idące z najmu,
ale z miłości tej biednej ojczyzny,
na którą w szale, niepojętym dla mnie,
śmiałeś się targnąć — ty, królewski synu,
walor w mych własnych straciłoby oczach,
gdybym urągał chociaż jedną chwilę
twojej waleczności...

Zwracając się ku Łętowskiemu.

A i wy, Łętowski,
i wy, Radocki, staliście na murach

z otwartą piersią... Sprawiedliwość czeka
na wasze gardła, bo takie jest prawo —
ale-ć to mówię: szkoda krwi rycerskiej,
która wam płynie pod prostą siermięgą
i żar swój traci w rozboju i buncie,
choć-żaby mogła dokazywać cudów
w walce z wrogami, szarpiącymi ciało
naszej macierzy... Krzywda się wam dzieje?...

ŁĘTOWSKI.

Niema rachunku na te krzywdy nasze...
Choć my tam nieraz bronili szlacheckiej
sprawy na polach... ze Szwedem... i z Węgrem...
z Niemcem... i...

RADOCKI *przerywając*.

Prawda!... Niejeden Filistyn
zginął z rąk naszych, a przecie my ino
służkami dla was... Tak teraz my wyszli
szukać tej chłopskiej, zgubionej swobody.

JAROCKI.

Dobrze! lecz droga nie tędy prowadzi —
cel miała blizki, ale wymięła
wszelką uczciwość...

NAPIERSKI.

A waść jaką drogą
wszedłeś do zamku?... Wszakże zdradą! zdradą!...
Wykorzystałeś jedną z tych ponurych,
tajemnych potęg, które acz są wieczne
i z przeznaczenia idzie ta ich ślepa
i prawie niema konieczność, to przecież
ci, co w swe ręce wzięli — bądź z przypadku,
bądź nawet może z ślepej konieczności —
te szale prawa, wciąż się wahające

nad globem świata, powinni zdobywać
glob ten uczciwie...

JAROCKI.

Może jestem winien,
żem się zapomniał, że musiałem szukać
skończenia dzieła w tem, co zawsze-ć lichem
i zawsze niskiem było i zostanie...

HANUSIA *wraca z okładem, chcąc zawinąć ranę Napier-
skiemu.*

O Janosiku! Krew obetrę twoją...
Raniłeś starca, a teraz...

NAPIERSKI *łagodnie odsuwając okład.*

Me dziecię!
Odejdź, niech krew ta cieknie...

HANUSIA *z żalem i rozpaczą.*

O mój hyrny!

NAPIERSKI *łagodnie, odprowadza ją, prawie omdłając,
na stronę.*

Spocznij...

*Hanusia machinalnie siada na gruzach, zrozpaczona, napół
martwa.*

NAPIERSKI *do Jarockiego.*

Posłuchaj, mości pułkowniku,
Jedno słoweczko — nim na pal powiesz:
Jest w przyrodzeniu naszym coś, co siłą
nazwać-by można i grzechu i zbrodni —
jeśli tak zechcesz —, a czego istota
leży w tem właśnie, że się w pewnych chwilach
zapominamy... Z tego zapomnienia
rodzą się wielkie klęski lub zwycięstwa,

wielkie się rodzą cnoty lub występki —
 śmierć albo życie... Ty, będąc na służbie
 tego, co w oczach twoich jest przeświętem
 i nietykalnem, a co z tej przyczyny,
 że jest przeświętem, gardzić winno środkiem,
 płamiącym ludzką naturę — ty, panie,
 żeś się zapomniał, doszedłeś do celu,
 który wyprawy twej jest uwieńczeniem:
 masz w swoim ręku tę twierdzę zdobytą
 prędzej, niż może wziąłbyś ją uczciwie...
 I ci się także — widzisz — zapomnieli —
 jeśli tak zechcesz — i szli bronić tego,
 co dla nich zawsze będzie równie świętem
 i nietykalnem. I oby tak było
 na wieki wieków! Inaczej wy wszyscy
 musielibyście zginąć, jak chrabąszcze,
 które w majowy wieczór, na przydrożu,
 lada przechodzień rozmiażdża swą stopą...

JAROCKI.

Mości Napierski! Nie jestem ci wrogiem,
 acz na śmierć wiodę twe męstwo rycerskie
 i twoją wiarę w to, co choćby nawet
 ze zapomnienia wyszło, zawsze będzie
 grzechem i winą...

Wchodzi Mojsze z Surą i czterema żydkami.

MOJSZE z chlebem i solą, wraz z towarzyszami ubrany
 odświętnie, kłaniając się.

Wielki jenerale!

My biedne żydki...

Wskazując na Surę i żydków.

To jest moja Sura,

a to są nasi żydkowie...

JAROCKI.

I owszem.

MOJSZE.

My biedne żydki, co nas te gałgany,
wskazując na *Napierskiego i resztę*
te buntownicy...

NAPIERSKI *wybuchając serdecznym śmiechem.*

Hahahaha! Mojsze...

JAROCKI *do żydów.*

Precz stąd!

MOJSZE.

Przepraszam... ja chciałem powiedzieć,
co my tu przyszli powitać naszego
wielkiego zbawcę, który nas wyzwolił
z ziemi egipskiej, od tych Faraonów,
nu, od tych zdrajców...
Podaje Jarockiemu tacę z chlebem i solą.

JAROCKI *wcale nie odbierając tacy.*

Odejść mi!...

MOJSZE *zwracając się z tacą w rękę ku wyjściu, napół
szepem.*

Aj! aj! aj!

My biedne żydki... Aj! aj! aj!

SURA *wzrokiem pełnym współczucia, spojrzawszy na Na-
pierskiego.*

Joszua!...

Wychodzą.

JAROCKI *do swoich.*

Jeńców pod strażą trzymać, po żołniersku,
bez krzywd i obelg, a tych, co polegli,
godnie pochować!... A potem — do drogi!

NAPIERSKI.

O jedną łaskę proszę, jeśli wolno:
Wskazując na Łętowskiego, Radockiego i resztę swoich.

Każ im rozwiązać te hańbiące pęta,
To moi bracia, najwierniejsi bracia...

JAROCKI *do swoich.*

Uwolnić z więzów pana Łętowskiego
i Radockiego i resztę — a zaś
do komnat odwieść to dziewczę...

HANUSIA, *kłóca przez cały czas siedziąca na boku jak martwa, teraz nagle zrywając się.* Nie pójdę!

Ostanę tutaj... haw! przy moim ojcu
i mym Janiczku!

JAROCKI *dawszy znak, aby zostawiono ją w spokoju, do Napierskiego.* Gości pułkowniku!

Wskazując na Łętowskiego, Radockiego i t. d.

Żal mi ich bardzo, że się zapomnieli...
żał mi ich szczerze...

Daje znak żołnierzom, aby Łętowskiego Radockiego i innych jeńców odprowadzili.

NAPIERSKI.

Pozwól im pozostać
przy mnie do końca — razem na śmierć pójdziem,
nierozłączeni...

JAROCKI *daje odpowiedni znak; ujrawszy żołnierzy, wprowadzających Salkę Nieznaną na scenę.*

A tam co?

JEDEN Z ŻOŁNIERZY.

Pod zamkiem
schwycili nasi tę wiedźmę... Żebraczka
albo wróżycha... zawsze-ć podejrzana...

SALKA NIEZNANA.

Komu powróżyć?... Jasny królewiczu!
wróżyłam tobie... Pamiętasz przypowieść:
Raz przeznaczenie...

JAROCKI *do Napierskiego.*

Czy to może jedna
z twych wysłanniczek?...

HANUSIA *podczas tego tuląc się z przerażeniem do ojca, stojącego w pewnem oddaleniu, szeptem, napół nieprzytomna, do siebie.*

Salucha!... Salucha!...

Łuna świeci...

Krew się leje...

A w zamieci,

a w zawieje

junak leci...

A tu na szyi... a!... czerwona plama,

jakby od miecza...

Napierski nie chcąc zdradzić Salki, milczy.

SALKA *odpowiadając Jarockiemu.*

Bieda, panie, bieda,

nie wysłanniczka... a może... a może...

pszczołka na wrzosach... Chodząca po żebrach,

stara wróżyła...

CZEPIEC *przecisnąwszy się przez tłum żołnierzy, do Jarockiego.*

Panie pułkowniku!...

JAROCKI.

Odejść!... Warować, aż go zawołają!...

CZEPIEC *spojrzawszy na Salkę, żegna się zabobonnie, ze strachem.*

Tfu!... W imię Otca i Syna i Ducha...

SALKA.

Komu powrócić?...
Do trzymających ją żołnierzy.

Nie szarpacie łachmanów!...
Nie stać na nowel... a krzywda jest krzywdą...
Lepiej grosz dajcie starej babulinie
lub kroplę wina... albo kromkę chleba...
Krzywda jest krzywdą...

JAROCKI.

Wypędzić ją z zamku,
niech sobie idzie!...

SALKA.

O tam! ku Krakowu —
aby popatrzeć, jak będą na palu
gnać królewscy synowie... Powrócę...
Na znak Jarockiego, żołnierze ją wyprowadzają.

SALKA *prowadzona przez żołnierzy, szklanemi oczyma pa-
trzy w przestrzeń.*

Na czarnych piórach przylecą... rozdziobią...
nic nie zostanie... tylko srom i hańba...
i wielka nędza... i wielka niedola...
Na czarnych piórach przylecą... Aj, panie,
panie Jarocki...

Znika w tłumie żołnierzy.

JAROCKI.

Krzywda zawsze-ć krzywdą!...
Przecież nie wolno nikomu dochodzić
krzywdy tej — buntem... Jest prawo... A prawo
na bunt ma turmy, a zaś dla przewodców
miecz i pal ostry, albo szubienice.

NAPIERSKI.

Bezdzusne prawo i okrutne!..

Zwracając się do Łętowskiego, Radockiego i reszty.
Bracia!

Proszę — przebaczcie!...

ŁĘTOWSKI do Napierskiego. A cóż wam przebaczać?
Na śmierć idziemy, jakby na wesele,
miecz pal i słupy wcale nam nie straszne.

HANUSIA budząc się z odrętwienia.

Miecz, pal i słupy?! dla kogo? dla kogo?
Dla Janosika i dla mego ojca?!

Do Jarockiego.

Ty ścinać będziesz?... ty będziesz nabijał?
Ty będziesz wieszał? — zbrodniarzu!

NAPIERSKI do Jarockiego.

O, wybacz

ten głos rozpaczy!...

HANUSIA z zaciśniętą pięścią.

Zbrodniarzu!

NAPIERSKI.

Bądź cicho,

cicho, ty, dziecię...

RADOCKI.

Nie bój-że się o nas!

Pójdziem odważnie, wszak my chrześcijanie:
jak katakomby była nasza dola —
dość było czasu nawyknać do śmierci...

HANUSIA napótł nieprzytomna, do siebie.

A kto kołysać będzie nasze dziecię?

Napótł szepłem.

Hej! uleciał orzeł,
ku słońcu się rzucił

i do swojej żenki...
nie wrócił... nie wrócił...

NAPIERSKI *tuląc Hanusię.*

Dziecko!... spokoju!... Tak... panie Jarocki!...
Na pal mnie prowadź, miecz czy szubienicę...
Padłem wraz z tymi... Ta moc mnie zwała,
co w szumie wichru halnego wywraca
jodłę, stojącą pośród jodeł... Czemu?
Pytać daremnie. Takie przeznaczenie...
Jeśli w tem dziele, które wy zechcecie
buntem nazywać, była czyja wina,
to tylko moja... A zasię największa,
gdy syn królewski, urodzony z krzywdy,
miał kiedy własną osobę na względzie...
Ale to przeszło w sam czas, by nie skazić
tego, co świętem jest i nietykalnem
w tym naszym... bunciel...

JAROCKI *do swoich, rozkazując.*

Czas się wam gotować
w drogę...

ŁĘTOWSKI *do Hanusi, żegnając się z nią.*

Powracaj, Hanusiu, do matki
i strzeż chudoby...

NAPIERSKI. I kołysz me dziecię...

JAROCKI *wskazując na Hanusię do żołnierzy.*

Teraz do komnat... aby sił nabrała,
zasię do domu bezpieczny dam konwój...

HANUSIA.

Nie, z ojcem pójdę i z moim Janiczkiem —
na pal...

Żołnierze *gwałtem ją odprowadzają.*

ŁĘTOWSKI.

Hanusiu! do domu!...

Słychać rozpaczliwy

GŁOS HANUSI.

Janiczku!...

NAPIERSKI.

Żegnaj me dziecię, na wieki! na wieki!...
Hej! Krzysiu, Krzysiu, skończyłeś na basztach!
Byłbyś mi jeszcze zagrał weselnego...
Ze śpiewką nie żal umierać!... Hej! Krzysiu!...

ŁĘTOWSKI.

Na pal! na słupy!... Nie żal!... My-ć walczyli
o nasz dobytek, o naszą swobodę,
o nasze żony, nasze córki młode,
o naszą przyszłość, którą świat ten gniecie...

RADOCKI *uroczyście.*

O to, by Chrystus zawładnął na świecie...

CHÓR GÓRALI ŁĘTOWSKIEGO *wychodzących pod kon-
wojem żołnierzy Jarockiego.*

Od bucza do bucza,... zasię do jawora!
czeka nas w Krakowie więzienna komora!
My, junaki młode,
giniem za swobodę!... Haj!...



III

BAŚŃ NOCY ŚWIĘTOJAŃSKIEJ

PROLOG NA OTWARCIE TEATRU MIEJSKIEGO WE LWOWIE

OSOBY.

AKTOR.
WOJTEK.
DOKTOR.
MEFISTO.
WOJEWODA.
SYN WOJEWODY.
STARZEC.
JEDEN Z ŚPIĄCYCH RYCERZY.
RYCERZ OBCEGO AUTORAMENTU.
KRÓL.
KALINA.
MUSZKA.
PSZCZÓŁKA.
JĘTKA.
MGIEŁKA.
I BŁĘDNY OGNIK.
II BŁĘDNY OGNIK.
III BŁĘDNY OGNIK.
LILLA.
RÓŻA.
PANI ZE DWORU.
OBŁĄKANA.
WDOWA.

Panny leśne. Błędne ogniki. Śpiący rycerze. Oddział chłopski. 12 harfiarzy. Śpiewacy. Służba wojewody etc.

AKTOR *przed kurtyną.*

Słów nam potrzeba wielkich i natchnionych,
by godnie uczcić tę dzisiejszą chwilę!
Lecz gdzie ich szukać, gdy mistrze potężni
dawno umilkli pod darnią zieloną,
lub pod wiązaniem kamiennych grobowców,
które na cześć ich wznosi podziw świata?
I oto stoję przed wami, bezradny,
z tą maską w ręku, symbolem mej sztuki,
i, na to świetne patrząc zgromadzenie,
nie wiem, jak witać mam przemożną Panią,
w ogniach tryumfu wkraczającą dzisiaj
do tej wspaniałej świątnicy... Czyż zakłąć
bóstw olimpijskich skostniałe szeregi,
by marmurowych zbawiwszy się chłódów,
przyszły tu pokłon oddać Zwycięzczyni?...
Próżny wysiłek i dziś już spóźniony!
Żaden Pigmalion ciepłem pocałunków
życia w umarłych nie obudzi statuach;
muzy nie zejda z frontów pałacowych,
a wódz ich, ongi tak jasny i dumny,
zagasł i zmałał wobec nowych kształtów,
które duch ludzki w swym wielkim pochodzie
nie poprzestaje tworzyć z nieśmiertelnych
promieni Boga... Przebaczcie zuchwalstwu,
że zanim zabrzmia stąd czarowne słowa
liśćmi wawrzynów uwieńczonych piewców,
śmie, lutnię dzierżąc w niedołężnej dłoni,
pozbierać dźwięki z ich harf niezegranych

i łączy dźwięków tych milknące echa
w nikłą i słabą uwerturę... Jedno
chciejcie atoli wierzyć: miłość pieśni
i cześć bezbrzeżna dla wielkich jej twórców
srebrny wam księżyc zapali nad cichą,
senną polaną dziewiczego lasu,
który łyskliwa wyobraźnia ludu
zapełnia tłumem uroczych rusałek.
Śród nich na własne zobaczycie oczy,
jak się objawia potęga tej pieśni —
która niech będzie u was w czci i chwale
na wieki wieków! — : jak przemienia serce,
choćby najprostsze i najrubaszniejsze,
w czerwcowych wiewów grające narzędzie,
i jakie wokół wskrzesza bohaterstwo
i jakie blaski i jakie zarysy
nada je ciemnym, gdzieś w głębiach natury
drzemającym siłom, budząc je do życia...
Cień Ajschylosa przemknij wam zdaleka,
albo też migną w odbiciu swych ogni
Szekspir i Goethe, wraz z błyskawicowym
i rozróżnionym Słowackim, i inni,
co zanurzywszy się w bezbrzeżną topiel
duszy człowieka, umieli w niej złowić
wiekuistości niezmiennie pierwiastki
i zdumionemu pokazać je światu...
Pobłażliwymi bądźcie, gdy spełnienie
nie idzie razem z chęcią i zamiarem,
jeśli nie godnem jest tego przybytku
i tego koła wybranych słuchaczy.
A nam, chodzącym w masce cudzych uczuć
i cudzych myśli, nam, co na tych deskach
pozostawiamy całą swą istotę,
okażcie względy i dzisiaj i nadal.
Podnieśmy zasłonę —
niechaj się pocznie hołd, składany sztuce.
Kurtyna się podnosi.

*Polana w dzikim, górskim lesie, turnie pomiędzy świerkami.
W dali wysoki, śnieżny szczyt. Noc księżycowa, później
poranek.*

Panny leśne: LILLA, MGIEŁKA, KALINA, PSZCZÓŁKA,
JĘTKA, MUSZKA, BŁĘDNE OGNIKI.

MGIEŁKA.

Daleko jeszcze do rana?

PSZCZÓŁKA.

Zanim jutrenka spłonie
na tego szczytu koronie,
nim jeszcze zorza rumiana
płomienny czar swój roztoczy
na tej śnieżystej uboczy,
niejedna chwila przeminie.

KALINA.

Więc mamy czasu dość,
ażeby znaleźć ten cudowny kwiat.
Gdzie on też może rość?...

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

W dzikiego lasu głębinie,
pomiędzy mchy i wykroty
chowa się skarb ten złoty,
kwitnący co siedem lat —
a dziś jest siódmy rok.

MGIEŁKA.

Lillo! znalazłam poziomkę!
Świeżemi usteczkami
wyciśnij czerwony z niej sok...
Nie chcesz?... Poziomka nie płami.

KALINA.

Ta nasza biała i cicha
woli pić rosę z kielicha
białej i cichej lilii.

PSZCZÓŁKA.

Aj! nadepnęłam na węża,
na główkę zielonej żmiji.

JĘTKA.

A ja na słomkę.

MUSZKA.

Skądże ta słomka być może
w takim dziewiczym borze?

KALINA.

Niech się twój rozum darmo nie wytęża!
Zaraz ci powiem, skąd ta słomka w lesie:
Wczoraj o zmroku,
kiedy już księżyc zajrzał do potoku,
wybiegłam z domu,
z stałaktytovej mej chaty — —

JĘTKA.

Pewnie przejeżdżać miał ten pan bogaty —
wiemy, polujesz na męża,
a on, uparty,
ma jakąś inną na oku. — —

KALINA.

A bierz was biesie nie-biesie
za takie żarty!
Nie powiem słówka nikomu.

MGIEŁKA.

Powiedz, niech zgorszy się Lilla,
ta nasza biała i cicha,
co pije rosę z kielicha,
białej i cichej lilii.

JĘTKA.

Maleńka chwila —
coś zaboląła mnie nóżka...
Może od żmiji?
Oprę ją sobie o listek kwiatuszka
i pod to światło miesięczne
zobaczę, jaka przyczyna.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

Nóżki masz wdzięczne,
nawet się kwiat nie ugina
pod ich pajęczym ciężarem.

PSZCZÓŁKA.

Barwę ich można zrównać z nenufarem.

KALINA.

Gdyby on stanął przed takimi cudy,
zaraz by mlasnął językiem,
ażby pociekła mu ślina!
zaraz wytrzeszczyłby ślepie
w tym swoim wielkim czerepie;
zarazby mu się ten chudy,
ten cienki karczek wydłużył.

JEDNA Z PANIEN LEŚNYCH.

On?

INNA.

On?

INNA.

Co zacz on?

KALINA.

Ano mówić przecie:
ten, co tę słomkę zostawił.

MUSZKA.

Coś się on z tobą zabawiał,
coś ci się dzielnie zasłużył,
kiedy tak wszystko pamiętasz dokładnie.
A może nawet, a może
w tym gęstym, w tym ciemnym borze — —
Kto wie, co z tego wypadnie?
Dzieją się rzeczy na świecie. — —

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

Pleciecie,
aż nasza Lilla, ta biała i cicha,
co pije rosę z lilii kielicha,
białej i cichej, rumieni się cała.

INNY.

Lillo, obłoczku złotawy,
promienny blaskiem miesiąca,
rosą opadasz na trawy,
a rosę wietrzyk otrąca.
Dlaczegoś taka milcząca?
Nudzą cię nasze zabawy?
Promienny blaskiem miesiąca,
ty nasz obłoczku złotawy!

PSZCZÓŁKA z niewinnemi drwinkami, znacząco.

W oczekiwaniu jest wielkiego dzieła.

KALINA.

Lilia rośnie ponad jej wezglówiem,
na przekór lilii wszystko wam opowiem,
skąd się ta słomka wzięła w takim lesie.
A więc tak było: z wieczora,
kiedy już zorze zagaśły,
a nasz srebrzysty królewicz
jął się przeglądać w tej wodzie,
co z pod mojego wypływa pałacu;
kiedy zaledwie dosłyszalny wiew
zabiera jedwab z mleczów
i w księżycowe wplata go przedziwa,
pobiegłam sobie do boru.
Pragnęłam, wiecie, zobaczyć robaczka,
tego, co kiedyś usiadł mi na dłoni,
taki świecący, jak gwiazdka.
Snuję się mgiełką
rosy na rosę,
czasem się iglic świerkowych uczepię,
czasem przykucnę na listku łopianu,
lub się przytulę do płatka dziewanny,
goniąc kochanka —
gdy wtem od strony jeziora
usłyszę granie ligawki.
Kto to być może
w tak późnej chwili,
gdy noc już zaszła głęboka?
Aha! zapewne-ć — pomyśle sobie —
ktoś szuka kwiatu paproci!
Bom zapomniała w tej mojej gonitwie
za świętojańskim owadem,
że dziś dopiero
to szczęsne zakwita zieleń...
Granie się zbliża — ja słucham —
i, wiecie,
taka mnie wzięła rozpusta,
że, niby echo,

poczną przedrzeźniać fujarkę,
ot tak — słuchajcie — jak teraz...

Echo fujarki.

MGIEŁKA.

Ej! nam się widzi inaczej!
Uciekł robaczek ci złoty,
tak chciałaś z wielkiej pustoty,
albo też z wielkiej rozpacz
przywabić dźwięk fujareczki —
a może tego, co wygrywał na niej...

KALINA.

O droga pani!
Nie z takiej becзки!
Szydzisz nie w porę!
Chyba twe serce jest chore,
bo moje to samo zdrowie.

PSZCZÓŁKA.

Nie przeszkadzajcie!... niech powie,
co było dalej... Co dalej?...

MUSZKA.

Jaka ciekawa! prawdziwie
niby to żdźbełko na niwie,
co się ku słońku dobywa z pod ziemi.
To ci się wcale nie chwali.
Patrz! nasza Lilla, ta biała i cicha,
co pije z rosę z lilii kielicha,
niby zakłęta, nie słucha.
Rosę fałdami strąca srebrzystymi
i na korony srebrnych młeczów dmucha
i szuka lilij, co tu nie wyrosły.

KALINA.

Lilia rośnie ponad jej wezglowiem —

na przekór lilii wszystko wam opowiem.
Otóż zbliżyło się granie,
że ino ręką pochwycić
każdziutki dźwięk.
A za dźwiękami — tfu! zgroza! —
jakieś straszliwe zjawisko;
W lot się ukryłam pod mech aksamitny
i patrzę:
utyka pośród korzeni,
pośród tojadów i ostów
z wierzbową puszczką w ręku —
nie wiem — parobek czy pastuch.
Przystanął, wytrzeszczył oczy
i wargi otworzył,
jak gdyby myślał, skąd się echo rodzi.
I począł drapać się w głowę
i z rozczochranych jął wybierać włosów
kawałki słomy.
A brudną koszulę
miał przepasaną powróśłem
i po kolana był zbryzgany błotem.

LILLA.

A więc ta słomka w tym lesie
to ślad człowieka?

KALINA.

Przeraźliwego!

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

Mnie tam nie przeraził!

MUSZKA.

I jabym także nie uczuła trwogi.
Żeby się tylko jeszcze raz ukazał!...

JĘTKA.

Jabym mu w oczy spojrzała —
i w śmiech tak głośny — hej! ażby się przeląkł.

PSZCZÓŁKA.

Jabym go, wiecie, szarpnęła
za to powróśło.

BŁĘDNY OGNIK.

A jabym — jabym
miała ochotę wyciągnąć mu sromkę
z tej rozczochranej głowy!

KALINA.

I ja też może
wysłabym z swego ukrycia,
gdyby nie jedna bardzo dziwna sprawa...
Wiecie:
gdy tak się tłukł po wykrotach
i po oślizłych kamieniach,
zaklął na naszą królowę,
że mu nie daje spokoju...
Pewno się kocha w nim!
Dzieją się rzeczy na świecie — — —
O wilku mowa, a wilk oto w lesie!
Słyszycie fujarki głos?
To on!...
Zaraz mu echem odpowiem.

Naśladuje fujarkę.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

A daj-że raz spokój!

KALINA.

O!... Któż to mówił, że nic się nie lęka?
Wchodzi

WOJTEK.

A to mnie wodzi to echo.

Panny leśne uciekają.

Dziewuchy!

To ja, to Wojtek z Przysiółka,
hań, od jeziora, na prawo...

Do siebie.

Widziałem jakieś ogniki...

Oddawnam słyshał, jako starzy ludzie
opowiadają, że tu gdzieś w tem miejscu
leżą zakłete pieniądze.

W noc świętojańską najlepiej ich szukać.
Trzeba — tak mówią — spalić wiecheć z buta
i poza siebie rzucić popiół z niego
na cztery wiatry, potem się położyć
gębą do ziemi i czekać:
pieniądze same się wtedy ukąą.

Do panien leśnych.

Nie uciekajta dziewczuchy, dyć razem
możemy tu się położyć i szukać
onego skarbu...

Do siebie.

Czemu te dziewczki uciekły!...?

Zrywa pęk trawy i obciera sobie nogi z błota.

Psiakrew!... Zalażłem w błoto, między trzcinę,
i tak się człowiek obabrał...

Zawsze tak bywa, kiej się ktoś zadaje
niby z figurą nie ze swego stanu...

*Na scenie błędne ogniki. Pokazuje się kółka panien leśnych
w kóstyumach sielankowych pasterek. Boją się.*

Haha! Paniunki! Paniunki! Paniunki!

Dyć się nie bójta! To ja, Wojtek Grabek,
wiecie, z Przysiółka, od stawu...

KALINA.

Ty, Mgiełko, naprzód!

MGIEŁKA.

Idź ty, mała Jętko!

JĘTKA.

Nie, nie, Kalinka, ona jest najśmielsza...

KALINA.

Albo najlepiej — niechże doń przemówi
nasza tęczowa, lśnistooka Muszka.

MUSZKA

Boję się ludzi!... Pszczółeczka niech frunie,
ona się przed nim obroni, żądęłko
dobre ma w pyszczku.

PSZCZÓŁKA.

Nie! nasza Lilla, ta biała i cicha,
co pije rosę z lilii kielicha,
niech zakosztuje sitowia...

WOJTEK.

A czemu się tak certujecie?
Jać wam nic złego nie zrobię.

KALINA z *liściem paproci*.

Ja pójdę pierwsza... Wojtuś! Wojtuś drogi!

WOJTEK.

Dyć ja myślałem, że to wej! dziewczuchy
przyszły gałęzie kraść z pańskiego lasu,
a to wej! same panienki ze dworu!...
Powiedzta mi też, skąd ta maskarada?

Czy dziś we dworze jaka jest zabawa?
W przebieranego? Boć to wielkie pany
lubią balować na różne sposoby.
Widać się panny mocno natańczyły,
kiej aż do lasu przyszły na ochłodę.

KALINA.

Przyszłyśmy szukać tu kwiatu paproci,
który zakwita tej nocy...
I już go mamy, ten złoty,
ten rajski, cudowny kwiat;
już ciebie mamy, Wojtusi!

WOJTEK.

Niby ja jestem kwiat paproci? Kpiny!
Przecie ja jestem człowiek, niby Wojtek,
który co noc tu wyjeżdża na paszę
z gospodarskimi końmi — tam za lasem —
niby na łąkę, wiecie, przy jeziorze.
A żem jest Wojtek, sam najlepiej czuję —
a wiecie, po czem? Ano, kiedy bąki
zaczną gryźć konia, tak ja klaps! od razu
pod brzuch szkapinę i zabijam bąka.
A koń nieboże, aby się obronić
od tych natrętów, macha ogoniskiem —
i tak się zdarza, że mnie prosto w ślepie.
Wtedy najlepiej czuję, żem jest Wojtek,
a nie tam jakiś kwiat paproci!...

KALINA z *afektacją*.

Cóż to za sielska prostota!... Wojtusi!
My cię kochamy!

WOJTEK.

Co? aż tyle naraz?
Jeszcze tam jedna — tobym i poradził — —

Zresztą figury ze dworu... Nie, wiecie,
mam tego dosyć... Niech panienki patrzą,
jakem się zbabrał.

KALINA *j. w.*

Najdroższy! najśladzsy!
Twoje gołębje serce, twoja dusza,
skąpana w rosie, twe oczy, błyszczące
światłem księżycy...

WOJTEK.

Jać rosy nie lubię,
zawsze to suche siano jest najlepsze!
A księżyc?... Niech go! Tumanie człowieka
i gdzieś po haściach wodzi... Ale zresztą,
gdy tak koniecznie — to chodźcie i w rosę,
nabieram niby ochoty...

Puszcza się za niemi w pogoń. Panny leśne uciekają na skały.

A! kozy!
Śmigły na skały w jednym okamgnieniu!
Jać się za wami drapać tam nie myślę...

KALINA *z poza turni.*

Wojtusi! Kocham! Kocham cię nad życie!
I ty mnie kochaj!...

WOJTEK.

Juścić chciałbym kochać,
ale po skałach włóczyć się za wami,
to nie na moje, wiecie, bose nogi...
Niechże panienka zlezie z tej opoki,
to zobaczymy.

KALINA *z afektacją.*

Miłość-li z wyżyny
przemawiać może...

WOJTEK.

Ja wolę obórkę:
ciepło jest, wiecie, przy koniach i krowach...

KALINA *j. w.*

Nie mów mi, luby, o koniach i krowach!
O tym promieniu mów mi księżycowym,
co po tych świerkach srebrne snuje przędze;
mów mi o rosie, co błyszczy na trawach
i błędne gwiazdy zamyka w swych kroplach;
mów mi o słodkich poszumach tej brzozy,
tej białej brzozy, czeszącej swe liście
na skraju lasu, nad głębią tej wiecznej,
tej przezroczystej, tej milczącej wody!
Mów mi o jutrzni porannej, o zorzy,
która swe ognie rozlewa czerwone
po śnieżnych szczytach, po łąkach, po zbożach,
rozkwitających lekkim, miękkim puchem
w te, pełne słodkich, miłosnych tajemnic,
czerwcowe noce!... Mów mi o tęsknicy,
która uskrzydla duszę i na niewnych
unosí chmurkach, na przędzach pajęczych,
na woni kwiatów i na drzew oddechu
w stronę, gdzie czeka ten luby, ten słodki,
ten roztęskniony kochanek!... Najdroższy!
Twa Julia ginie z miłości...

WOJTEK.

To pannie
na imię Julia?... Nie wiedziałem tego...
Ładnie panienka przemawia! Ja, wiecie,
takbym się nigdy gadać nie nauczył.
Prosty-m parobek, wychowany w stajni:
sama panienka widzi, że nie dla niej.

KALINA *j. w.*

Zamek, czy stajnia — to przesąd! to przesąd!

Niechaj miłości przesąd nie rozdziela.
Nasze od wieków poważnione rody
skojarzy w wielką, cudotwórczą przyjaźń
węzeł miłości. Chodź do mnie, mój luby!
Oto znalazłam złoty kwiat paproci:
za jednym jego dotknięciem opadnie
dawna skorupa z twojej duszy prostaczej.
Miłość, ta jedna, ta jedyna miłość,
wraz cię nauczy przemawiać poszumem,
szmerem, szelestem i wonią i ogniem,
jutrznią i zorzą... Miłość na ramiona
magnacki płaszcz ci zarzuci... Chodź do mnie,
drogi kochanku! O, chodź, pocałunek
słodkiej miłości czeka tu na ciebie.

WOJTEK.

Piąć się nie lubię, ale pocałunek
juścić wart tego, żeby się człek drapał
nawet po skałach... Jedno wam też powiem,
złota panienko, że te wasze słowa
to jak muzyka, a zaś do muzyki
tom jak wybrany. Kiej zagrają w karczmie...

KALINA.

Nie mów o karczmie... Chodź, chodź, mój jedyny...
*Wojtek gubi się w turniach, ażeby w tejże samej chwili,
przebrany przez panny leśne, zjawić się pomiędzy skałami
obok Kaliny w płaszczu i kołpaku à la Romeo w scenie
balkonowej.*

Już kwiat paproci dotknął się twych ramion,
i twe ramiona okrył płaszcz miłości,
wspaniały, świetny, drogi płaszcz królewski.
Kosztowny kołpak lśni na twych kędziorach,
a w piersi twojej, której kwiat się dotknął,
gorzej ogień nad ogniami... Kochasz?!...

WOJTEK.

Kocham!...

KALINA.

Całunek złóż na moich uścitech
i przemów do mnie przenajświętszem słowem
tej niezgłębionej, tej czystej miłości,
co rodzi cuda!

WOJTEK *pocałowawszy.*

Kocham! Kocham! Kocham!
Jakżeż rozkosznym jest twój pocałunek
i jak mi zmienił całą mą naturę!
Nie wiem, czy sen to, czy jawa: Przed chwilą
przed małą chwilą jeszcze mi się zdało,
żem jakiś prostak, żem jeden z tych ludzi,
których przyroda rzuca z swej kolebki
obdartych, nędznych i nierozwiniętych
na pośmiewisko i szyderstwo świata.
A teraz miłość tak mnie przekształciła,
że niech królowie do nóg mi padają,
niech cały glob się kurczy przed wielkością
mego uczucia i tej chwały mojej,
co spływa na mnie z twej jasnej, promiennej,
blaskiem wielkiego księżyca oblanej,
wdzięcznej postaci — — —

KALINA.

Kochasz?

WOJTEK.

Kocham! Kocham!

Warg twoich poszept jest jak poszept limby,
tej harfy bożej, rzuconej na skały,
gdy o jej struny wiew poranny trąca.
Albo jak ciche szmery tych potoków,
co z pod urwiska płyną w złotem słońcu

skwarne lata. Albo jak dalekie,
organne echo pieśni, wyśpiewanej
między turniami, nad zaklętym stawem
o tych niebieskich i czerwonych brzegach,
który w swej głębi zamknął błękit niebios,
ukoronowan wieńcem lśnistych szczytów,
poprzerzynanych białymi śniegami.

KALINA.

O mój jedyny! przemawiasz jak miłość!
Pocałuj-że mnie! pocałuj! pocałuj!

WOJTEK *całując.*

A pocałunek twój to jak melodia
tych tęcz przedziwnych, co grają z wieczora
na fioletach mgieł nad dolinami.
To jakby szumiał cały las dziewiczy,
ukryty w skalnych, szerokich rozłóżach.
To jakby zorze grały hen! na wirbach,
hen! na jeziorach i hen! na dalekich,
na nieprzebytych, na bajecznych morzach.
Szedłbym za nimi, za tymi dźwiękami —
za pocałunków twoich rajsą pieśnią —
przez wszystkie żleby, przez wszystkie przepaście,
przez wszystkie turnie, przez wszystkie urwiska,
przez wszystkie ciemne, kamieniste groty,
przez wszystkie długie, rozległe przestrzenie...

KALINA.

Pocałuj-że mnie, raz jeszcze pocałuj! —
Dopókiś przy mnie, póki kwiat paproci
w tym moim ręku będzie cię dotykał,
dopóty — — —

JEDNA Z PANIEN LEŚNYCH, *które przez cały czas
powyższej sceny — w ubraniu już pierwotnem, to z cieka-*

wością i zdumieniem zaglądały z poza turni, lub razem z błędnymi ognikami dyskretnie przebiegały scenę.

Nasza królowa! — — —

KALINA *znikając pomiędzy turniami — głośnym śmiechem.*

Hi hi hi!

JEDNA Z PANIEN LEŚNYCH.

A to ci dudek!

Znikają.

WOJTEK *wydobywając się z pomiędzy skał.*

Do pioruna! Poco

ja tutaj wlażłem!... Ot, zachciało mi się
świętojańskiego robaczka — — —

rozglądając się naokoło

Wojtaszku,

głupi Wojtaszku! Szukałeś paproci,
co to ma niby kwitnąć dzisiaj w nocy...
Łeb sobie-m rozbił, czy też co? Przytomność,
widać, straciłem: coś mi się zdawało,
żem miał na sobie jakiś płaszcz królewski,
a zaś na głowie — — —

maca się po głowie i wyciąga kawałki słomy

ot, słomsko i listki
trzciny.

Zjawia się

PANI ZE DWORU.

Mój luby!

WOJTEK.

Tfu! jasnie wielmożna
pani tu poco?

PANI ZE DWORU.

Uciekłeś z mych objęć!...

WOJTEK.

Mam już dość tego!... Od dzisiejszej nocy
już ja mam rozum trochę lepszy.

PANI ZE DWORU.

Zdradzasz?

Z kim to mówiłeś tam w górze? Na skale?
Cóż to tam była za dziewczka?...

WOJTEK.

Na skale?

Dziewka?... *Do siebie.* Poczekaj tylko, jasnie pani...
To była... była... moja narzeczona...
Julka, Józkowa córka, proszę pięknie,
tak!... gospodarska...

PANI ZE DWORU.

Przenosisz dziewczkę nademnie? Niewierny!

KALINA *zjawiawszy się z kilku pannami leśnemi.*

Nasza królowa, nasza piękna pani
czy potrzebuje dzisiaj naszej służby?

PANI ZE DWORU.

Idźcie na chmurki, zbierajcie złota
księżycowego!
Idźcie na łąki, zbierajcie woni
rozchodnikowej!
Idźcie ku potokom
i garść tych słodkich przynieście mi szmerów!...
Albo — trucizny wyciśnijcie z łądyg,
które się plenią na bagnach,
albo też młyński przytoczcie mi kamień!

KALINA *z odcieniem ironii.*

Trucizny?!

Albo też młyński kamień?!... Pani nasza...

PANI ZE DWORU.

Idźcie!

Znikają.

Do Wojtki.

Zdradliwy!

WOJTEK.

Proszę, jaśnie pani,
dać mi już spokój... Kompromitacya
przez to jest wielka... Przecie jaśnie pani
nie jest panienką, a ino ma męża,
pana dziedzica.

PANI ZE DWORU.

Mąż? ten wodnik stary,
ten siwobrody, niedołężny brzuchacz,
co mnie w pałacu zamknął kryształowym,
co mi na skronie dał dyadem z pereł,
kosztowne sznury koralu na szyję,
i bursztynowe przygotował łoże,
i tak kupiwszy mą dziewiczą młodość,
sądził w swej starczej, bezdennej głupocie,
że mi już skarby te zastąpią — męża?...
Niech mu ropucha albo piastogłówka
będzie tam żoną...

WOJTEK.

Zawszeć przykazanie — — —

PANI ZE DWORU.

Ja sobie jestem przykazaniem... Drogi!...

WOJTEK.

Niechże się też oni,

proszę, odczepia!... Nie chcę, by mnie dziedzic
przetrzepał kijem... abo żeby Julka
miała mnie przezto opuścić. —

PANI ZE DWORU.

Nikczemny!

Idę! Lecz słuchaj: zemsta moja sięga
dalej, niż myślisz...

WOJTEK *za odchodzącą.*

Zemsty się nie boję...
Na pożegnanie zaś wam tyle życzę:
Zróbcie znak krzyża świętego i Boga
weźcie na pomoc i więcej nie grzeszcie.
Złe was kusiło jak i mnie, więc trzeba
złe to odpędzić...
Te błędne ogniki
tak-ci migają, aż mi się tu w oczach
co nieco śmiło!... Ej, błędny ogniku!
ja się tam ciebie nie boję!... Dyć drzewiej
to starodawni gadali, że niby
taki płomyczek to jest duch, lecz teraz
wszyscy zmańdrzeli i we dworze uczą,
że to jest niby płomyk ze zgnilizny —
choć inni znowu to mówią, że w ziemi
tak się ukryty pali skarb i płomyk
tak się unosi ponad nim...

Do błędnego ognika.

A idźże!

Lepiej mi pokaż, gdzie są te zakłète
złote pieniądze, albo jeszcze lepiej
daj mi lekarstwo na miłość... Boć prawda,
że mnie ta Julka mocno wlaźła w serce,
ino że ona pogardzi koniuchą,
a ojciec, wielki gospodarz, owczarski,
widać, ma rozum: woli dyć swojaka,
co ma też morgi, niż taką chudzinę,

który wypasać musi cudze szkapśka
i nawet nie ma za co kupić butów.
Dyabliż mi, psiakrew, nadali to wszystko!
Duszę bym oddał czartu, żebym znalazł
jakie lekarstwo na taką chorobę,
co żre człowieka, jak ogień... Wcierniosty!...

Nagle zjawia się Mefisto i Doktor.

Wojtek przerażony nagłym zjawiskiem.

Któż to?

MEFISTO.

Człowieku, zbłądziliśmy w górach — — —

DOKTOR.

Wyprowadźcie nas z tego jaru.

WOJTEK *ochłonawszy.*

Poco

takim wej! panom włóczyć się po mrace
i po tych głupich skaliskach?... Nie lepiej
siedzieć to w mieście, w spokojnej komnacie,
na wyścielanych krzesłach, z fajką w gębie,
przy dobrym winku, a nie łamać nogi
i drzeć te piękne wej! buty po haściach
i po kamieniach?

DOKTOR.

Widzicie, mój bracie,
noc, noc przepastna jest istotą bytu,
i kamieniami najeżone drogi,
którymi człowiek przechodzi przez życie.

WOJTEK.

Tsia, mądre słowo! Ale ja wam powiem:
dla was za wiele, wiecie, jest dobrego,
tak jak znów dla nas za wiele jest złego.

DOKTOR.

Filozof z waści!... Za to ja wam powiem,
że filozofia prowadzi do piekła,
a człek przemądry głupszy jest od głupca.

WOJTEK.

To nie nowina: każdy prosty owczarz
będzie wam umiał, panie, wytłómaczyć,
że są na świecie bardzo mądry ludzie,
co wszystkie księgi połknęli odrazu,
a nie umieją odróżnić pszenicy,
kiedy kiełkuje, od żyta... A znowuć
stara jest prawda, którą już spisano
za dawnych czasów w świętej ewangelii,
że w niebie mało jest ludzi uczonych,
ino prostacy, a przecie największą
zawszeć mądrością dostać się do nieba.

DOKTOR *do Mefista.*

Z takim to trudna sprawa.

MEFISTO.

No, a w niebie

czy tam jest dobrze?

WOJTEK.

Niechby tylko krztynę
lepiej, niż tutaj na ziemi, to zawszeć
warto pozostać, widzicie, prostakiem,
by mu otwarto te niebieskie bramy.

Do Doktora.

Z was to zapewne wielki jest adwokat
albo też inny spekulant?

MEFISTO.

Mój pan jest lekarzem.

WOJTEK *do Mefista.*

To wyście u nich na służbie?

MEFISTO.

Na służbie.

WOJTEK.

Może do koni? Ej nie! Wyglądacie
coś na lokaja... Macie galoniki
i piękny kubrak... Ano, łatwa służba
i dyć popłatna...

MEFISTO.

Nie bardzo, nie bardzo —

do Doktora

za przeproszeniem jaśnie wielmożnego
pana doktora: — Tak się ciągle włóczyć
po stromych turniach i po czarnych zlebach,
we mgłach i chmurach, i tak wiecznie szukać
czego się, wiecie, nie zgubiło...

WOJTEK *przyglądając mu się z lekceważeniem.*

Prawda,

na przewodnika wyście nie stworzony...
I ten pan doktor, gdy tak lubi chodzić
po tych zawratach, mógłby sobie znaleźć
kogo innego... Wy tam nie zginiecie —
jużby się dla was służba wykręciła.

DOKTOR *do Mefista.*

Posłuchaj rady mądrego człowieka
i daj mi spokój —

WOJTEK *j. w. do Mefista.*

Pewnie, że mądrzejszy
chłop od lokaja, przynajmniej nie kradnie.
Umiecie chodzić koło koni?

MEFISTO.

Umiem.

WOJTEK.

Umiecie siodłać klacze i za cugle
zacie prowadzić, by się nie strachnęły?

MEFISTO.

Nie wielka sztuka.

WOJTEK *z lekką obrazą.*

Ano, jak dla kogo...
Ale kiej taki majster z jegomości
pana lokaja i chodzić niegodny,
to niech się poda, wiecie, na forysia
tam wej! do pani dziedziczki... do dworu!
Drogi są dobre, nawet bardzo dobre,
jeździć się będzie gładko, jak po maśle.

MEFISTO *znacząco.*

Widać, że drogi dobrześ wypróbował.

WOJTEK.

Co wam do tego?... Nie wścibiajcie nosa,
gdzie was nie proszą, abo, jak to mówią:
patrz każdy swego, a nie zaś kozucha,
wiecie, cudzego.

MEFISTO.

Proszą, czy nie proszą,
lecz co do prawa — może i mam prawo
i to ci zaraz pokażę.

WOJTEK.

E, mości
panie lokaju! Człek się despektuje,
gdy, *wskazując na doktora*, mając pana przed sobą,
z jego pacholkiem... [rozprawia

Do Doktora. Przepraszam, pan niby,
mówią, lekarzem?... A co też leczycie?

DOKTOR.

Duszę.

WOJTEK *podejrzliwie i drwiąco.*

E? duszę?... A powiedzcie mi też,
co tak, hań! patrzcie, lezie po tem niebie?

DOKTOR.

Jakiś obłoczek...

WOJTEK.

Ejże?! Mnie się zdaje,
że to jest szkapa, która wczoraj padła,
wiecie, Kubowa... A powiedzcie mi też,
co to tam świeci nad nami?

DOKTOR.

Tam? księżyc.

WOJTEK.

Prawda... A wyście byli na księżycu?

DOKTOR.

Raz się wybrałem w tę podróż nieszczęsną
i zawisnąłem w powietrzu, pomiędzy
niebem a piekłem.

WOJTEK.

E!? To mnie się lepiej,
wiecie, powiodło — bo ja, wiecie, byłem
na samym wirchu księżycy.

DOKTOR *nie spostrzegłszy się.*

Co? kiedy?

WOJTEK.

Ano, raz we śnie, alem wszystko widział
jakby na jawie.

DOKTOR.

A cóżeś tam widział?

WOJTEK.

Widziałem dobrze — wasz rozum...

DOKTOR.

Kpisz ze mnie?

WOJTEK.

Tak jak wy ze mnie... Bo kiejbyście rzekli,
że uzdolicie wykurować nogę
abo i rękę, juściłbym uwierzył —
jako że u nas bywają owczarze,
którzy to samo godnie wam uczynią
bez żadnej wielkiej nauki... A, mówię,
uwierzyłbym też, kiejbyście przedemną
tak się pochwalił, że i ból na wnętrzu
leczyć potrafisz, boć i u nas rosną
przeróżne zioła, a przedsię goryczka,
która uśmierza wszelakie cierpienia.
Ba, ja wam powiem, mój panie doktorze:
gdybyście rzekli, iż wam dosyć łacno
przedłużyć życie jakiemu choremu,
który miał umrzeć dziś, a zaś przez waszą,
widzicie, sztukę — jako że są różne
sztuki na świecie, dane nam przez Boga —
umrze za miesiąc abo i za roczek,
tobym uwierzył, inobym się zdziwił:
na co to wszystko? Bo kiej on jest biedak,
to się na ziemi dosyć nabiedował
i śmierć dla niego będzie wybawieniem.
A kiej jest bogacz, to się dosyć długo

nabiesiadował i dosyć nagrzeszył,
że śmierć go tylko może uratować
od jakiej większej choroby, na którą
niema lekarstwa. A zresztą, co znaczy
miesiąc i roczek, albo nawet więcej
wobec wieczności, co nas wszystkich czeka?
Mądry z was doktor, ino, że od śmierci
nie uchronicie nikogo. Bo takie
jest przeznaczenie: kiej człowiek ma umrzeć,
to już się umrze, a kiej, wiecie, umrze,
to szkoda nie jest zbyt wielka: na świecie
są niby ludzi całe miliony,
tak, że jak padnie jeden, albo drugi,
to niby mały robaczek, którego
teraz niechcący niby przydeptałem.
A co do duszy, to już mnie się widzi,
że to są żarty... Dusza nie umiera,
jako ją Pan Bóg stworzył nieśmiertelną
i choćby nawet chciał, to już nie zmienia
tej swojej woli, boby musiał zmienić
samego siebie i przestać być Bogiem.
A jak kto, wiecie, gazduje, to sam się
tego gazdostwa nie zbędzie.

DOKTOR.

Prostacza

to filozofia, ale daje spokój,
a ze spokojem szczęście... Świat przebiegłem,
do wszystkich jego zajrzałem tajników,
mądrościami szukałem w zapylonych księgach,
badałem głębokie świętej teologii
i praw pisanych cały znam alfabet.
Ziółkam rozszczeniałem i drobne ich włókna
pod mikroskopy kładłem, aż mi oczy
krwią zachodziły od ślęczeń nad nimi;
znam medycynę i chemię, na biegu
gwiazd się poznałem, a wszędzie, na wszystkich

drogach i ścieżkach mojego żywota
 lęk mnie poganiał i przestрах
 i rozpaczliwy ból mi szarpał duszę,
 tak, że na ustach miałem wciąż bluźniercze:
 być albo nie być...

WOJTEK.

Wiecie, to jest kara
 za wasz największy grzech, iżście chcieli
 kurować dusze. Znaie, tak rzekliście,
 wszelakie księgi i wszelką uczoność,
 a jedna księga jest wam niewiadoma,
 o której mówią, że gdzieś ją chowają
 w ukrytych miejscach pod siedmiu kluczami
 i siedmioraką pieczęcią. W tej księdze
 jest wypisano, że kiej dusza cierpi,
 to się tak czyści, jak w ogniu, a przecie
 to najgłówniejsza, aby dusza była
 czystą... I, wiecie, ja w to mocno wierzę,
 boć to jest prawda, że Pan Jezus Chrystus
 świat nasz wybawił przez cierpienie...

Mefisto wzdryga się.

Wojtek do Mefista.

Czemuś,

panie lokaju, tak się wzdrygnął?

Mefisto czyni odpowiedni ruch.

DOKTOR w zadumie.

Może,

może i prawda!... Prawda! Lecz dlaczego
 dziś mi dopiero ta prawda się zjawia
 w swej prostej szacie, kiedym wszystkie przeszedł
 męki i bole, kiedym już na siebie

do Mefista

ten twój straszliwy podpisał dokument?...

WOJTEK.

Mnie się tam zdaje, że od was mądrzejszy:
ja bym żadnego, wiecie, dokumentu
nie podpisywał... Czy chcecie wyjść z lasu?
Ja wyprowadzę... Tu pełno ogników
błędnych, więc drogę łatwo można zmylić...

DOKTOR *do Mefiſta:*

Zerwij ten kontrakt! Zostaw mnie w tej ciszy,
w tym świętym lesie, u stóp tego szczytu,
wskazując na szczyt

co w tym miesięcznym promienię blasku
i sieje spokój na duszę i serce!...
Zostaw mnie przy tym prostaku!...

MEFIŒTO.

Za późno!

Kto raz zaprzysiągł, że pójdzie już za mną,
dla tego niema powrotu... A chcecie,
panie magistrze, mieć tego prostaka
do towarzystwa, zaraz on się znajdzie
pomiędzy nami — podpisze cyrograf,
mimo przechwałek. A zresztą on — moim,
albo, by lepiej powiedzieć, on — naszym.

Do Wojtki.

Posłuchaj, bratku: chcesz pójść do nas w służbę?
Właśnie mówiłem z mym panem... Mądrzyście,
o bardzo mądrzy, więc się nam przydadcie.

WOJTEK.

Mądry nie mądry... Ino, wiecie, dzisiaj
noc świętojańska i paproć gdzieś kwitnie,
gdzieś tutaj blisko, przeto człek troszeczkę
niby i zmądrzał... A macie też konie?

MEFISTO.

Mamy, a takie, że ogniem parskają.

WOJTEK.

Ja ta im, wiecie, poradzę.

MEFISTO.

Więc dobrze —

W te tropy będzie gotowa ugoda...
wyciąga z zanadru zwój pergaminu i pisze
na pergaminie — a ty ją podpiszesz,
ty, — razem z nami...

WOJTEK.

Wiecie, nie podpiszę!

MEFISTO.

Czemu?

WOJTEK.

Ja zawsze godzę się na słowo...
Czytać nie umiem, więc byście tu mogli,
nie wiem, co spisać — tak po adwokacku,
po spekulanku, i kupić mnie z duszą...
Zresztą mnie żadna służba nie potrzebna...
Pono jest wojna... myślę iść na wojnę.

MEFISTO.

Coś ciebie gryzie... jakiś ból masz — w duszy,
choć takiś mądry...

WOJTEK.

Może tam i gryzie,
ale to, wiecie, Bogu na ofiarę...

MEFISTO *znacząco*.

Pewnie się kochasz?

WOJTEK.

Może się i kocham...

MEFISTO *j. w.*

A pewnie dziewczka cię nie chce — i ojciec
pewnie też twardy, widzi, żeś ubogi...

WOJTEK.

Może i nie chce... Umierać nie będę,
a mankołę, co mnie krztynę dusi,
wiecie, utopię na wojnie... Słyszałem,
że jest potrzeba ludzi; nieprzyjaciół,
słyszę, rabuje het! po naszym kraju —
ponoć i król jest w wielkich opresyach...
Poszli już inni, więc i ja też pójdę —
bo niby czemu nie mam iść?... Toć przecie
jestem w tych latach, że pałasz udźwignę...
I — dosyć mocny-m, chociaż tak wyglądam...

MEFISTO.

Zginiesz.

WOJTEK.

Niech zginę... Alboż to ja jeden
człowiek na świecie?

MEFISTO.

Lepiej przystań do nas,
opływać będziesz we wszystko... Pieniędzy
zarobisz kupę i dziewczkę dostaniesz...
Podpisz dokument.

Szybko podaje mu zwój.

WOJTEK.

Choćby i sto dyabłów
przyszło i chciało brać mnie na podpisy,
to, wiecie, swego nie dokażał!

MEFISTO.

Czemu?

WOJTEK.

Ano, bo pisać nie umiem. A, wiecie, jakbym położył według obyczaju święty znak krzyża na tym cyrografie, wszyscyby dyabli uciekli w te tropy!

DOKTOR, który z wielkiem zaciekawieniem i niepokojem śledził dyalog *Mefista z Wojtkiem*.

Widzisz, Mefisto, mądrzejszy odemnie, a i od — ciebie...

MEFISTO *do Doktora*.

Sprawa nieskończona.

Do Wojtką.

Z dyablami trudniej, zwłaszcza, jeśli człowiek ma grzech śmiertelny na duszy... Ty, bratku, masz grzech śmiertelny... z dziedziczką, myśmy widzieli to dzisiaj... przy stawie, przy tem jeziorze.

WOJTEK.

Chrystus Pan odkupił krwią wszystkie grzechy, więc i ja też myślę krwi swej utoczyć i zmazać na wojnie ten grzech śmiertelny... Za wiarę, tak mówią, i za ojczyznę, tak mówią! To będzie moja pokuta...

MEFISTO.

Zanim ją wypełnisz, jesteś w mych rękach na wieki!

Chce go porywać.

WOJTEK *szybko żegnając Mefistę.*

A, w imię

Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Idź precz, Szatanie! Bóg jest moją tarczą!...

Mefisto z Doktorem zapadają się, w tej samej chwili pojawia się Wojewoda, wlokący dziedziczkę za rękę, syn jego i kilku ze służby.

WOJEWODA *do dziedziczki, wskazując na Wojtkę.*

Więc to twój pazik, nędznico! Niech służba widzi tu całą, jakich ma kochanków jaśnie wielmożna pani...

SYN *dobytując szpady ruchem markiza z komedyi francuskiej.*

Ja tą szpadą

pomszczę twą hańbę, ojczyźnie...

WOJEWODA.

Schowaj szpadę!

To cham! parobek! *Do służby.* Brać go! wprzód wypotem przywiązać do konia... [chłostać,

Służba zabiera się do Wojtki.

WOJTEK.

Ja czartu-m

wyrwał się z ręki, a cóż wojewoda!

Wyrzywa smreczek.

Święta paproci, co kwitniesz tej nocy,

Dodaj mi siły! a! dodaj mi siły,

jak przed potęgą magiczną służba się cofa przerażona

a ja krwią swoją okupię mój grzech!...

Znika.

WOJEWODA *również cofając się.*

Gonić! pacholki! nędzni, podli tchórze!

Do Pani ze dworu.

A ty, aspani, nie przestąpisz progu
mojego domu...

Giną za sceną.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

A tośmy ludzi nawodziły!

KALINA, *która wraz z innemi nieco trwożliwie zjawia się
na polanie.*

Ja, wiecie, lubię tumanić.

MUSZKA *przy cichym akompaniamencie orkiestry.*

Ja bo sobie dziewczę jestem
jak ten cichy wiew,
gonić wolę za poszumem
rozmarzonych drzew.

Niechcę ludziom patrzeć w oczy,
męczy mnie ich świat,
rada jestem księżycowi,
tak jak on mi rad.

Pszczółka, motyl, szmer źródelka
i ta leśna woń
to ma rozkosz, to me życie,
za tem, serce, goń!

Przewija się w tańcu.

Dalej w tany, družki moje,
dalej za mną w ślad:
rade bądźmy księżycowi,
tak jak on nam rad!

PANNY LEŚNE *wiążąc się w kóło chórem.*

Rade bądźmy księżycowi,
tak jak on nam rad!

Czem są dla nas ludzkie oczy
i czem ludzki świat...

JĘTKA.

Porzuć smutek, siostró Lillo,
i chodź z nami w tan,
kwiat paproci tu się złoci,
świeżą rosą zlan.

LILLA.

Rzucam smutek i tęsknicę,
idę z wami w tan,
kwiat paproci gdzieś się złoci — — —

KALINA.

Cicho...

Koło się nagle rozrywa.

Widzicie siostrę Różę?
Zbliża się ku nam w purpurze,
ciemnej, jak ogień piekielny.

MUSZKA.

Zakłóci czas nam weselny,
czas nam radości zakłóci...

JĘTKA.

Może gdzieindziej zwróci
ten swój poważny krok...
Nie dla niej nasza polana,
nie dla niej nasze zabawy.

LILLA.

Nieprzejednana.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

Patrzcie, jak gną się trawy
pod jej stopami!

Patrzcie, jak listki zadrżały
na tej leszczynie!
Jak ten jelonek mały
skrył się pod krzew jałowcowy!

MUSZKA.

Źle będzie z nami!

PSZCZÓŁKA.

Ja się niczego nie boję.

JĘTKA.

Nie trwożne i serce moje.

KALINA *do widzialnej już Róży, schodzącej, od strony
szczytu, po turniach.*

Co ci też przyszło do głowy?
Czy może zwabił tu ciebie
ten jasny księżyc na niebie,
co jasne światło swe roni
na kwiaty, skąpane w woni?

RÓŻA.

Przychodzę obudzić ziemię!

MUSZKA.

W takiej godzinie,
kiedy te świerki i jodły
w błady się pomrok zasnuły?
Gdy nocy wilgotne brzemie
przygniata zioła?
Hej! do naszego tu koła
cóż to za myśli cię wiodły?
Jakiż to zamiar nieczuły
zagnał cię tutaj na skrzydłach powiewu?

JĘTKA.

Lepiej wraz z nami chodź szukać paproci;
co gdzieś w ukryciu się złoci,
albo się przyłącz do naszego śpiewu
i tańca!

KALINA.

Patrz! twoja siostra, ta biała i cicha,
co pije rosę z lilii kielicha,
swojego smętku nie baczy
ni swej tęsknicy
i wśród naszego ochoci się grona.

RÓŻA.

Ona-ć do lutni stworzona
i korowodu,
A mnie od młodu
dawano w rękę pochodnię i miecz!
Lillo!... czy widzisz tę łunę,
rozlewającą się płomienną rzeką
ponad strzelisty ten szczyt?...

LILLA.

To pewnie zorza poranna,
zwiastunka dnia błękitnego?!

MUSZKA.

Spieszmy się szukać paproci!

RÓŻA.

To dom się nasz pali!
Przyszedł odwieczny wróg,
rozbił kamienny mur,
ogień podłożył pod wielki nasz gród,
na ludzie naszym krwawą spełnił rzeź,
a ojca nam rzucił w loch,

pomiędzy węże go rzucił,
by mu ze zgrozy
ostatni pobiełał włos
i aby tego królewskiego starca,
który nam życie dał,
straszliwy uśmiercił głód.
Idź! ratuj! idź!

LILLA.

Czemże ratować go mam?!
Ja, com od młodu
do słodkiej lutni przywykła
i korowodu?...
...Dźwiękami gady ugłaszczę,
że wic się będą naokół mych rąk
i, zasłuchane w me pieśni,
dadzą wytchnienie memu rodzicowi.
A, spiesząc ku wieży,
lilii nazbieram nad cudowną rzeką
i oną rosą pożywną,
świecącą na dnie ich kielicha,
karmić go będę, ja córka,
godna naszego rycerskiego ojca,
chociażem tylko stworzona do lutni
i korowodu.
Poić go będę i karmić tą świętą,
tą białą rosą tych niewinnych lilij,
aby przetrzymał cios
i dożył chwały zbawienia.

RÓŻA.

A mnie od młodu
dawano w rękę pochodnię i miecz.
Pochodnią ziemię obudzę i mieczem!
Na wszystkich krańcach pozapalam stosy
i płomieniami znaczyć będę drogę
pomsty!...

Pod stopy mojem
walić się będą z trzaskiem dęby stare
o płonących wierzchołkach!
W posadach swoich zatrzęsną się skały
i pośród huku piorunów
i wycia burz
rozżagwionymi sypną kamieniami
na wroga ludu Wenedów!
Od tysiąclecia uśpionych rycerzy
zbudzę z ich ciemnych granitowych łóżnic...
W tę noc świętojańską
zakwitaj moja paproci!
Pokryj się niebo miesięczne
czarną powatą chmur!
Zahuczcie grzmoty!
Bijcie pioruny!
A wy, rycerze odwieczni,
wstańcie! wstańcie! wstańcie!

*Chmury, grzmoty, pioruny, z groty w turni obok wychodzą
Śpiący Rycerze.*

JEDEN Z ŚPIĄCYCH RYCERZY.

Kto nas obudził? czy nadszedł już czas?

RÓŻA.

Mój miecz was zbudził i moja pochodnia!
Pohańbion Wenedów lud!

Przez scenę przebiega Rycerz obcego autoramentu.

RYCERZ.

Konia! Królestwo za konia!

RÓŻA.

Pędź! giń! za tobą idzie pomsta boża!
z podbojuś wyrósł i z podboju giń!
Uderzcie w surmy! za mną! za mną! za mną!

Surmy w tańt pieśni bojowej.

Rycerze Śpiący idą za Różą, śpiewając. Pieśń wraz z odgłosem surm i grzmotów gaśnie za sceną.

PSZCZÓŁKA.

Dlaczego, siostry moje,
ludzie te krwawe toczą boje?
Czyż nad wojennej surmy głos,
nad ten mosiężny zew,
nie miłszy stokroć poszum drzew?
A ponad połysk martwej stali
czyż nie wspanialszy blask tych ros,
ten brylant, który w każdej kropelce się pali?

KALINA.

Bo ludzie nie są z mgły
ani z tej pary tęczowej
ani z miesięcznej tej przędzy,
która osrebrza nam głowy
i słodkie daje nam sny,
tylko powstałi z żelaza
i krwi,
ze zbytku i nędzy.
Marnego złota
nienasycony głód
i panowania chęć
duszą ich miota,
tak, że niezdolni naszych światów czuć.
I powrozami zawiści,
co w wnętrzu ich gości,
gna ich oślepy ten szal
nie po zdobycie nieśmiertelnych chwał,
lecz w straszny, zabójczy trud,
z którego strzela złowroga
ich miast i wiosek pożoga —
z którego rośnie zaraza
i płacz i jęk

i przeklinanie tych doczesnych dni
i próżne wołanie litości...

PSZCZÓŁKA.

Niech się mordują, niech palą,
niech sobie z wilczych wydzierają szczęk
zajuszonego mięsa
kłami zdobyty kęs,
tylko dla czego nadeszła ta chwila,
ten smutny czas,
że nasza biała i cicha,
ta nasza promienna Lilla
musiała rzucić nas?...

KALINA.

Poszła wybawiać świat.

JEDEN Z BŁĘDNYCH OGNIKÓW.

Rosą ocieka mi rzęsa.

INNY.

I mnie kropelka upadła z pod rzęs...

PSZCZÓŁKA.

Wróć do nas Lillo, wróć!
Niech świat kto inny zbawia!
Niech się dźwięk lutni twej szerzy
po tej miesięcznej rozścieży;
Niech się na blaskach niesie
po tym odwiecznym lesie,
po załomiskach tych turni!
I coraz górnij i górnij
płynąc nad ziemię, nad życie,
niech spocznie na tym śnieżnym niebotycznym szczycie!

JĘTKA.

Wraca.

MUSZKA.

To ona!

KALINA.

Nie! to ta szalona!

ta obłąkana — — —

ta — — topielica — — —

Ten pusty ogień prowadzi ją ku nam!...

Błądny ogień, za nim Obłąkana.

PSZCZÓŁKA.

A witaj nam, witaj!

Idziesz-li szukać zakwitłej paproci?

MUSZKA.

Z czego ta błądźliwość lic?

Z czego ten smutek w oczach?

OBŁĄKANA.

Czyż nie widzicie

tych oto płaczków, idących w mój ślad?

Orszak płaczków.

Przysłałam na ojca grób,

ażebym płakać i płakać i płakać...

Do płaczków.

Idźcie!...

Wasza królewna podąży za wami!

Weźcie tę urnę z mych rąk,

by moim oczom przygasłym,

tym źródłom wyschniętym,

przestała przypominać, że płakać nie mogą!

Czemużeś wielki, gromowładny Panie,

do takiej zbrodni dopuścił?

Wrócił w zbroicy chwały

i w domu swoim znalazł cudzołózcę!

A cudzołożna, podsyciwszy krew
żarem występnej miłości,
wyprawia do Hadesu, między wieczne cienie,
mego wielkiego, chwalebnego ojca.
Ziemia i morze płodzą niezliczony
zastęp potworów,
ale nad wszystko, co pełza,
co się wzajemnie pożera,
najpotworniejszym jest człowiek!...
A już gdy zechcą bogowie
pokazać hańbę świata
i nieprawości stek,
urągającej naturze,
niebu i ziemi,
to wybierają kobietę...
Ona podpala gród,
na pastwę wroga oddaje tysiące,
rabusia i złodzieja wprowadza w dom męża
i pośród zwalisk spokoju i szczęścia
kopie dla niego mogiłę...
Ale za zbrodnią w trop
pospiesza pomsta i nowa,
równie potworną płodzi zbrodnię,
która się znowu mści na pokoleniach...
O jakże straszną jest losów zawilść!
O przeznaczenie —
o nieugięta Ajzo,
o pani w niezniszczalnej wykowana miedzi!
Na karkach bogów kładziesz swoje stopy
i berła z rąk im wytrącasz,
a matkobójcę każesz bezlitośnie
ścigać piekielnym swym córom!...
Gdzie jesteś, bracie —
gdzieś mój Orestesie?!
Czyż krwawy orszak Erynyj
tak ci przytępił słuch,
że już nie słyszysz huku gwiazd, lecących

plómiennymi drogami
w bezdenną czelusć?!
Gdzie jesteś, jego wierny, nieodstępny druhu?
Gdzieżeś kochanku mój?! — —
Nie wróci! nie wróci!...

Śpiewa.

Na mogile darń zielona,
nad nią brzoza biała
zapłakane, smutne listki
rozwiąła, rozwiąła...
Ach!...
Przyszedł do mnie o północy,
przyszedł o poranku:
bierz me serce, bierz mą duszę,
kochanku! kochanku!
A on mi na to: »Idź-że do klasztoru!
Albowiem piękność twoja
jest jako trup ten, porzucony w słońcu,
którego toczy robactwo.
Na co ci mnożyć grzeszników —
i tak za dużo występnych na świecie!«
Ach!...
A kto ci mówił, że jestem występna?
A kto ci mówił, że to, co się ze mnie
narodzi w bólu godzinie,
będzie kłamliwe, zdradne i nikczemne?...
Czemuś mnie łudził?
Czemuś złotemi słówkami
nad brzeg przepaści prowadził mą duszę?
W zapamiętaniu
czemuś rozdzierał mi suknię?
Czemuś całował białe, grzeszne łono?
Precz! precz! precz!

Śpiewa.

Poszedł luby, poszedł sobie
hań na krańce świata — — —

A ja do wody na wieki! na wieki — —
Ach!

Zaduma.

STARZEC *za sceną.*

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!
Wchodzi wdowa, prowadząca ślepego Starca.

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!

WDOWA.

Jesteś, ma córko? Szukam cię po nocy,
aż moje siły zdarły się na strzępy,
tak, jak ta suknia, w którą mnie ubrano!
Pod moją krzywdą ziemia się ugina,
a przed cierpieniem mojem gwiazdy bledną
i księżyc traci swe złociste światło — — —

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!

OBŁAKANA *głęboko wzdycha.*

Ach!

WDOWA.

Podłym służalcom wymierz sprawiedliwość!
Oto wygnano mnie z naszego zamku —
nawet mi kromki chleba poskąpili,
a włos mój siwy, ten włos twojej matki — —

OBŁAKANA *nagle z głębokiej budząc się zadumy.*

Milcz, ty zebraczkco!
Kolebka moja stała wyzłocona
śród wspaniałego, królewskiego zbytku,

a nie w twej brudnej i ciemnej chałupie!...
wyszczuć ją psami! — — —

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!
A wy, niebioso, pochłońcie swą klątwą
wynaturzenie natury człowieczej!

WDOWA.

Córko!

OBŁĄKANA.

Wyszczuć ją psami! psami! psami!

STARZEC *do Wdowy.*

Dobra kobieto, nie hańb się żalością! — — —

OBŁĄKANA.

Wygnać i tego doradcę —
tego ślepego wygnać podszczuwacza,
niech darmo chleba nie zjada!
Dość się nanosił królewskiej purpury,
ręka mu zwisa od dzierżenia berła
i zwiędłe palce tak mu się skurczyły,
że nie obejmą już złotego jabłka,
by już nie mówić o mieczu,
którym potrzeba strzedz państwa.

WDOWA.

Córko!

Niech twoje serce nie będzie z kamienia —
niechże nie będzie ulane z podłości — —
Piorunem karze Bóg wyrodne dzieci!

STARZEC *do Wdowy.*

Dobra kobieto,
coś mi podała rękę w mojej nędzy,

kiedym napróżno macał tym kosturem,
by znaleźć ścieżkę
z tego dzikiego pustkowia, z zamętu
tej rozszalałej, tej okropnej burzy:
Nie widzę kształtów tej dziewczki, bo gromy
i błyskawice wyżarły mi oczy,
a niechęć ręką czystą, nieskałaną
dotykać lic jej, ni skroni, ni włosów,
bo z tych przepięknych, przyrodzonych darów
wyczułbym chwilę, kiedy mi się stało
to moje wielkie, nadludzkie nieszczęście!
Ale nasz Stwórca, snąc by mnie pokarać,
żem w grzesznym szale spłodził taką sukę,
dotąd mi jeszcze nie zalepił uszu:
Po jej krających, piekielnych wyrazach
słyszę, że jest to jedna z mych wyrodných,
nielitościwych córek,
które na hańbę wszemu człowieczeństwu
precz wypędziły królewskiego ojca — — —

WDOWA.

Mylisz się, starcze! Z mojego to łona
ten kwiat trujący wyrósł i zakwitnął...
Matką jej była obmywaczka zmarłych,
a ojciec grabarz!
Na cmentarzysku stała jej kolebka...
A jeśli miałeś kiedy takie dziecko,
to wszystkie dzieci wyrodne jednakie...

OBŁĄKANA.

Wyszczuć ją psami!
Król był mi ojcem! Oto sam się przyznał!
Długom czekała na taką metrykę!
A jeśli nawet popełniła zbrodnię,
to nie żałuję, bo dzisiaj z tej zbrodni
łysnęło dla mnie to wielkie wyznanie!

STARZEC.

Czemu, naturo, tak idziesz na opak?
Czemu robactwo płodzisz w ogniu słońca?
Czemu w gliniane garnki wlewasz pychę,
tak, że pękają od tej wrzącej cieczy?
Oto jest potwór,
co dla wyrodnej ambicyi
czelnie się chełpi zbrodnią, popełnioną
na swym królewskim ojcu. —

WDOWA.

Starcze! starcze!

I ciebie, widać, groźny chwycił obłęd!
Jakimś ty królem? Znałam cię! W sąsiedniej-ś
gazdował wiosce, a jeśliś ciężarem
stał się dla dzieci, jeśli cię twe dzieci
wygnały z domu w to bezludne pole,
przeklinaj własny ród!... To moja córka!
Patrz, ta niezmyta plama krwi na czole!
Zamordowała moją młodszą córkę,
mój kwiat paproci!

Do Obłąkanej.

A gdzież twa siostra?... Słuchaj, zabójczyni!
Gdzie twoja siostra?

OBŁĄKANA.

Ach!
Gdzie moja siostra?
W tym zielonym gaju,
przy cichym ruczaju,
pod malinowym krzakiem...
Nie! nie! nie mam siostry!
Nigdy ja siostry nie miała!
Krew na mem czole?...
Nie! na mych rękach krew!
Ach! której obmyć nie mogę!...

Gdzież jest to źródło czarowne,
by ręce obmyć
z tej krwi królewskiej?...
Zabiłam króla!...

STARZEC.

Bijcie, pioruny! pal się, błyskawico!

TOPIELICA.

Przybył k'nam z orszakiem,
spoczął w komnacie, spokojny,
siwy, jak gołąb,
i ja go zabiłam — — —
temi rękami — —
i las się poruszył — — —
Zabiłam króla!...

WDOWA.

Skały, słuchajcie! Wysłuchaj, ty lesie,
skargi nieszczęsnej matki!
Oto zbrodniarka, co zabiła siostrę,
a moją córkę — — !

STARZEC.

A ja oskarżam — słuchaj, ty poblady,
smutny księżycu!
Słuchajcie, wy gwiazdy
przygasające!
Ja ją oskarżam
o królobójstwo!
Gdzież jest ten sędzia, co godnie ukarze
taką ohydę?!...

OBŁĄKANA.

Ach!...

WDOWA.

Gdzież jest ten sędzia?

*Dzień. Odgłos surm. Król z orszakiem. Róża w wieńcu róż.
Lilla z liliami na głowie. 12 harfiarzy. Doktor. Mefisto.
Wojewoda. Jego syn. Pani ze dworu. Rycerze. Wojtek na
czele oddziału chłopów etc.*

WDOWA *do króla.*

Panie i królu!

KRÓL.

Już mnie dobiegło echo waszej skargi,
na ścianach turnic odbite, niesione
na tej jutrzence złotołśnistych pyłkach.
W moim orszaku stańcie,

do Starca

ty, mój bracie,

do Wdowy

i ty, ma siostró,

do Obłąkanej

i ty, córek moich

wierna spółniczko, droga towarzyszek.

Wszystko to było snem!...

do Wojewody

I twoja krzywda

złudą-li była, mości wojewodo!

do Doktora

I ty, mój mistrzu, nadworny lekarzu,

do Mefista

i ty, trefnisiu, coś sobie przypawił,

różki Mefista z niewinnej pustoty —

wszystko to było snem i snem i złudą.

Moje wietrznice — hej-że, do orszaku!

noc wasza przeszła! — me błędne ogniki
taką igraszkę uczyniły sobie
w tej pełnej czarów świętojańskiej nocy,
w której zakwita rajski kwiat paproci.
Dla nas on zakwitł, bo jeśli na świecie
pleni się zbrodnia, to dziś ją wygania
ma biała Lilla i płomienna Róża
i ci rycerze, uśpieni przez wieki
w zaczarowanej tej skale, w tej ziemi
smutku i trudu, radości i chwały,
i ten mój prosty, siermiężny bohater,
wskazuje na Wojtkę

który wylaniem swojej krwi serdecznej
wywalczył sobie rycerskie ostrogi.
Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
niech się nam święci biały, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cień.
Harfiarze moi! starce siwowłosi,
z Lillą i Różą, kochankami pieśni,
uderzcie w struny na chwałę zwycięstwa!
A wy, śpiewacy, wtorujcie im w cześć
kwiatu paproci i nowego dnia —
w cześć onej wielkiej i wspaniałej pieśni,
co sobie nowy wystawia przybytek,
by dać w nim siłę ludzkim namiętnościom,
a skrzydła złote tym ludzkim marzeniom —
by nam pokazać prawdę tych postaci,
których zaledwie nikłe, blade cienie
zobaczyliśmy przed chwilą...

CHÓR.

Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
Niech się nam święci wonny, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
który tak długo obleczon był w cień.

Niech się nam święci w nieprzerwane lata
tej naszej pieśni wszechpotężna moc.
Ona blask sieje po rozłogach świata
i ze serc ludzkich ciemną płoszy noc.

Z miesięcznych mgławic lotne widma tworzy,
z piany potoku i z poszumu drzew.
Przez nią przemawia odwieczny duch boży,
jak świst wichury lub jak jezior śpiew.

Ona to z duszy wywabia prostaczej
miłosnych szeptów słodki, wonny czar;
głos daje zbrodni, cnocie i rozpaczy,
jest matką czynów i wspaniałych mar.

Rycerzy budzi, uśpionych przez wieki,
śród krwawej łuny prowadzi ich w bój
i dzień zwycięstwa przybliża daleki
i w tryumf zmienia tysiącletni znój.

O boża pieśni! o cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień twój złoci,
nieustającej chwały jasny dzień.



SPIS RZECZY.

OBRAZY DRAMATYCZNE.

I. Świat się kończy	3
II. Bunt Napierskiego.	99
III. Baśń nocy świętojańskiej. (Prolog na otwarcie Teatru Miejskiego we Lwowie)	147



117

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 330



330